

GDY WYDAJE SIĘ, ŻE WSZYSTKO STRACONE
ŻE SZCZĘŚCIE ODESZŁO I JUŻ NIE WRÓCI,
ONA POJAWIA SIĘ JAK...

Kropła nadziei

KATARZYNA
MICHALAK

Katarzyna Michalak

Kropla nadziei



znak *litera
nova*

KRAKÓW 2018



*M*ała, najwyżej czteroletnia dziewczynka siedziała w kącie niewielkiej sali i słuchała, jak delikatnie opadają tęczowe mydlane bańki. Najpierw ciche dmuchnięcie, a potem ten dźwięk, tak niezwykły, niedostępny dla tych, którzy widzą... Każde inne dziecko wyciągnęłoby rączki i ze śmiechem zaczęłoby łapać tęczowe cuda, ale nie Tosia. Ona trwała bez ruchu, oczarowana, zapadnięta w wyobraźnię i... słuchała.

Ding-dong – niczym najcichsze uderzenie zegarowego serca – tak właśnie brzmiały mydlane bańki, gdy dotknęły okna, parapetu czy podłogi. Dziewczynka wyciągnęła ku nim ręce, by zachować je choć na chwilę, dotknąć opuszką palca tego, co zachwycało jej małe czteroletnie serduszko. Zamrugła niewidzącymi oczami, tak pięknymi, że to aż niemożliwe, niesprawiedliwe, że nie widziały!, i zapagnęła podzielić się swym zachwytem z najukochańszą istotą na świecie.

– Mamo... – wyszeptała. – Mamuniu...

Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

Mamy nie było.

ROZDZIAŁ I



Nataniel siedział na skraju polany, niegdyś zielonej i pełnej słońca, teraz poczerniałej i okrytej całunem smutku. Patrzył na zgliszcza. Widok tego, co zostało ze starej chaty, którą pokochał i nazwał swoim domem, łamał jego i tak już zdruzgotane serce. Oczy chłopaka były puste i suche. Wypłakał chyba wszystkie łzy, jakie zostały mu po śmierci matki. Śmierć Marty Kraszewskiej bolała nie mniej...

Są ludzie, którzy wprowadzają chaos do twojego życia, są też tacy, którzy wnoszą spokój i harmonię, scalają rodzinę i skupiają przy sobie przyjaciół. Gdy tych drugich zabraknie, świat rozsypuje się jak układanka trącona kocią łapą. Do nich należała doktor Kraszewska. I Nataniel tak się właśnie czuł: jak rozbity witraż. Nie był synem Marty, zaistniała w jego życiu kilkanaście miesięcy temu, ale przecież pokochał całym sercem tę dobrą, współczującą kobietę, która w jakiś sposób zastąpiła mu mamę. To dzięki doktor Kraszewskiej znalazł swoje miejsce na ziemi, a wraz z nim spokój i poczucie bezpieczeństwa.

To wszystko przysło w jedną noc...

O ile jeszcze za śmierć Marty mógł obwiniać się tylko w połowie – gdyby nie stawał się tak Markowi Sidle, może nie doszłoby do tragedii – tak strasznie ciążyła mu strata Trusi, małego, cichego, oślepionego przez podłych ludzi pieska, którego zwęglone ciało znalazł w pogorzeliisku. Gdyby zabrał Trusią tamtej nocy ze sobą... Tak, była niewidoma, tak, bał się, że w ciemnościach straci ją z oczu i suczka zabłądzi, więc zamknął ją w domu, ale przecież mógł wziąć ją na ręce i dziś Trusia żyłaby... bezdomna jak on i Emilka... Co za parszywy los...

Patrzył na pogorzeliisko oczami człowieka pozbawionego nadziei.

„Tak właśnie wygląda moje życie” – myślał. „Nie mam już siły odbudowywać go ponownie”.

Ani siły, ani pieniędzy. Całkiem niedawno przyszło mu do głowy, by ubezpieczyć dom od zdarzeń losowych, ale w natłoku codziennych spraw ta myśl uleciała równie nagle, jak się pojawiła. Teraz mógł jedynie żałować, że nie zapewnił sobie i Emilce takiego zabezpieczenia. On jak on, zawsze znajdzie miejsce, gdzie za pracę dadzą mu miskę zupy i dach nad głową, ale małe dziecko? Co on pocnie z Emilką?! Dokąd zabierze dziewczynkę, gdy dom spłonął? Będzie się z nią tułał po Polsce od motelu do motelu?

„To za wiele. Mam dosyć...” Ramiona chłopaka opadły bezwładnie, plecy się przygarbiły. Noga rwała wściekłym bólem, jakby bólu w sercu było mało.

Naraz między sosnami poruszyła się ciemna sylwetka. Nataniel nawet nie podniósł oczu. Dopiero gdy ten, kto wyszedł z lasu, stanął dwa kroki przed chłopakiem, on rzucił:

– Odejdź. Po prostu odejdź.

– Słuchaj...

– Nie chcę cię słuchać. Nie chcę na ciebie patrzeć. Spaliłeś mi dom. Zabiłeś Martę. Odejdź.

Marek Sidło mimo tych słów usiadł na poczerńiałej belce obok Nataniela i zaczął beznamiętnym, chropawym głosem:

– Tamtej nocy kłusowałem. Tak właśnie: kłusowałem. Po wszystkim wyszedłem z lasu na drogę i wpadłem na Aśkę. Właśnie biegła od strony twojego domu. Powiedziała, że go podpaliła. Kazałem jej spieprzać i pobiegłem, żeby uratować, co się da. Bałem się... bałem się, że jesteście w chałupie. Ty i dziecko. Ale była tylko Marta. Szukała was w środku. Znalazłem ją, wyniosłem na zewnątrz, była przytomna. Całkiem przytomna. Wydawało się, że jest z nią dobrze. Że czuje się w porządku. Pognałem ratować zwierzęta. Nadjechała straż. Wróciłem do Marty, ale ona już... jej

już... – Głos mu się załamał. – Strażacy zaraz zabrali się do reanimacji. Naprawdę długo walczyli o doktor Kraszewską.

– Po co mi to mówisz? – Nataniel nawet nań nie spojrział. – Myślisz, że ci wybaczę, bo próbowałeś ją ratować? Gdyby nie ty, Marta żyłaby...

– To nie ja spaliłem ci dom! Nie ja mam śmierć Marty na sumieniu. Musisz mi uwierzyć!

– Dlaczego? – Nataniel uniósł nań pusty wzrok.

Długo patrzył Sidle w oczy, ale ten wytrzymał to spojrzenie i zaczął szybko:

– Słuchaj, Aśce odwaliło, spaliła ci chałupę. Ja nie miałem z tym nic wspólnego! Gdybym choć podejrzewał, co ta durna suka zamyśla...

– To nie ma znaczenia – przerwał mu Nataniel.

– Jak to nie ma?! Dla mnie...

– Tylko dla ciebie. Czy ty przyłożyłeś do podpalenia rękę, czy kto inny, nie ma to żadnego znaczenia. Marta nie żyje. Domu nie ma. Emilka została bez dachu nad głową, Oliwia bez matki. Ja, Mateusz, nawet Siergiej... Ty czy Aśka... Jakie to ma znaczenie, kto nas wszystkich skrzywdził?

– Dla mnie ma! – Marek Sidło poderwał się, pobladły na twarzy. – Nie jestem kryminalistą! Nie jestem podpalaczem ani mordercą! Musisz mi uwierzyć!

– Nic nie muszę – odparł Nataniel, powracając spojrzeniem do tego, co zostało z pięknego, starego domu. – I twoja spowiedź niczego nie zmienia. Domu nie ma, Marta nie żyje. Rozumiesz?

– Odbuduję ci tę pierdoloną chałupę – warknął Sidło. – Choćby ojciec miał zastawić ziemię, spłacimy cię. Skoro masz mnie przeklinać przez resztę życia...

– Nikogo nie będę przeklinał. Ani ciebie, ani Aśki. Pozostawiam to, co zrobiliście, waszym sumieniom. Idź już. Nie mogę znieść twojego widoku. –

Głos Nataniela wyprany był z wszelkich uczuć. Tak jak jego serce w tej chwili. Jeśli Sidło nie odejdzie, będzie nadal tu stał i pieprzył o winie i odkupieniu, on, Nataniel, będzie musiał wstać i ruszyć przed siebie, choć Bogiem a prawdą, nie miał dokąd pójść.

– Słuchaj, człowieku... – Sidło spróbował raz jeszcze. – Uratowałem Martę. Gdybym jej nie wyniósł, spłonęłaby żywcem.

Nataniel uniósł na niego zmęczone, piekące od niewypłakanych łez oczy.

– Jeśli to prawda, jestem ci wdzięczny.

– Pozwolisz nam... i ludziom ze wsi odbudować dom? – zapytał Sidło z nadzieją.

Naprawdę chciał jakoś zrekompensować Domoradzkiemu krzywdę, którą mu wyrządzono. Nienawidził go, owszem, chociaż nie wiedział właściwie za co, ale nie życzył mu przecież takiego losu.

– Ten dom był przeklęty. Powinien był spłonąć już dawno – odezwał się Nataniel, przypomniawszy sobie słowa Marty. – Nic od was nie chcę. Daj mi spokój. Zostaw mnie.

Sidło poderwał się na równe nogi. Zacisnął szczęki tak silnie, że ząb zgrzytnął o ząb, po czym odszedł kilka kroków i chwycił za jedną z na wpół spalonych krokwii. Szarpnął do siebie, a gdy puściły sąsiednie, zaczął ciągnąć ciężki kawał drewna na bok, tam gdzie strażacy odrzucili drzwi, by dostać się do środka płonącego domu. Sidło upuścił ciężar i wrócił po następny. Widać obojętność Nataniela zamiast zrazić sotłysiaka do odbudowy domu, przeciwnie, tylko go zdopingowała: jeśli tym zrobi chłopakowi na złość... Chwycił następną belkę.

Nataniel nie poświęcił jego wysiłkom nawet jednego spojrzenia. Parę chwil siedział bez ruchu, patrząc przed siebie, tak jak zastał go Sidło, po czym wstał i ruszył w stronę jeziora, nie rzuciwszy tamtemu choćby słowa pożegnania. On z Senną skończył, czy ludziom ze wsi się to podoba czy nie.

Pytanie, czy Senna skończyła z Natanielem...

Komórka rozdzwoniła się akurat wtedy, kiedy powziął decyzję: oddaje Emilkę pod opiekę Zosi Micińskiej, a sam rusza przed siebie, zupełnie jak wówczas, gdy stracił mieszkanie w Warszawie. Dziewczyna kilkakrotnie proponowała, by Emilka została u niej, dopóki Nataniel nie odbuduje domu. Owszem, dziecko było wstrząśnięte i przerażone, śmierci Marty nie potrafiło zrozumieć i wciąż dopytywało, kiedy ciocia wróci, ale polubiło Zosię i jej mamę, przylgnęło do tych dwóch dobrych kobiet, próbując w ten sposób poradzić sobie ze smutkiem i opuszczeniem. W krótkim życiu Emilki opiekowało się nią tyle nianiek, że przywykła do zmian.

Nataniel za każdym razem dziękował Zosi za tę płynącą z serca propozycję i odmawiał. Emilka mieszka u niej chwilowo. On lada moment otrząśnie się, znajdzie jakiś kąt i zabierze dziecko. Przed chwilą jednak, wlokąc się drogą wzdłuż jeziora, postanowił: Emilka zostanie u Micińskich, on sam wyjeżdża.

Nie zdążył jednak poczuć ulgi, gdy wielki, nie do uniesienia ciężar spadł mu z serca. Dzwonił Siergiej, a telefon od tego typu oznaczał nowe kłopoty.

– Cześć, Nat – zaczął. – Nie pytam, jak się masz, bo pewnie parszywie, a za chwilę będzie jeszcze gorzej.

– To w ogóle możliwe? – mruknął chłopak.

– Możliwe. Musisz zająć się Oliwią.

– Co z nią? – zapytał Nataniel z całkowitą obojętnością. Do Oliwii nie czuł nic. Może powinien jej współczuć, nawet na pewno, ale po tym, jak traktowała własną matkę, gdy ta jeszcze żyła, w oczach Nataniela nie zasługiwała na litość.

Siergiej po pogrzebie zabrał półprzytomną z rozpaczony dziewczynę do siebie i od tamtej pory Nataniel nie wiedział, co się z nią dzieje. Czy nadal mieszka u Siergieja, czy wróciła... właściwie nie wiadomo dokąd... tam, skąd przyjechała.

– Myślę, że będziesz potrzebny – odparł z wahaniem mężczyzna.

– Po co? Nie radzisz sobie z nią? Czy cały cholerny świat nie może się beze mnie obyć?! – wybuchnął chłopak.

– Jesteśmy winni Marcie opiekę nad jej córką – uciął sucho Sodarow.

– Jest pełnoletnia! Ja zajmuję się pięcioletnią dziewczynką, twoją córką tak notabene, to nie wystarczy?!

– Emilka nie jest moją córką – odparł z naciskiem tamten, po czym dodał: – Widać nie wystarczy. Weź się w garść, bo ktoś musi zapanować nad tym chaosem, przyjdź do mnie i pogadamy.

– Oliwia tam jest? Nie chcę jej oglądać...

– Będziesz musiał. Albo już szykuj się na następny pogrzeb.

Nataniel zatrzymał się.

– Co to znaczy? Co z nią?

– Od wczoraj leży w łóżku i nie ma z nią kontaktu. Nie chce jeść, nie chce pić. Wstaje tylko do łazienki. Odbiło jej zupełnie. Boję się ją zostawić samą, a przecież muszę oporządzać zwierzęta. Jeśli wolisz, możesz zająć się końmi, ja będę siedział przy dziewczynie, ale musisz mi pomóc.

– Nic nie muszę – powtórzył z uporem słowa, które skierował do Sidły, lecz wiedział, jaka padnie odpowiedź:

– Musisz, Nat, musisz. Masz za dobre serce, żeby pieprznąć to wszystko i odejść gdzie oczy poniosą.

– Właśnie tak zdecydowałem: oddaję Emilkę, a sam...

– Więc zmień tę decyzję albo dzwonię po pogotowie i niech zabierają dziewczynę do psychiatrowa.

– Myślisz, że takim szantażem zmusisz mnie do...

– Nie, głupku. To nie szantaż. Gdy patrzę na jej puste spojrzenie wbite w sufit, naprawdę zastanawiam się, czy nie dzwonić już teraz.

– Daj mi godzinę. Odwiedzę dziecko, zapytam Zosię, czy nic im nie

trzeba, i idę do ciebie.

– Dzięki, Nat. – W głosie Siergieja zabrzmiała szczerza ulga. On również nie mógł pogodzić się ze śmiercią Marty. Też miał wszystkiego dosyć. A najbardziej dziewczyny, która zajmowała jedną z gościnnych sypialni. Odpychającej, zmanierowanej wiedźmy, którą strata zmieniła w dobrego człowieka jedynie na krótką chwilę.

ROZDZIAŁ II



Wielki dom, w którym mieszkała doktor Micińska z niepełnosprawną mamą, sprawiał miłe, przytulne wrażenie. Stał w ogrodzie, w którym wiosna ledwo się rozgościła, skąpany w promieniach kwietniowego słońca. Był to prosty budynek z dwuspadowym dachem, ale ganek z kolorowymi szybami i ładnie zdobione okiennice dodawały domowi uroku, którego mogła mu pozazdrościć niejedna willa bogatego letnika.

Lecznica mieściła się w wyremontowanym budynku gospodarskim i stamtąd właśnie dobiegały głosy kobiety i dziecka.

Nataniel stanął w drzwiach, gościnnie otwartych, i chwilę przyglądał się Emilce, która przygryzając koniuszek języka, nabierała wody do strzykawki.

– Wspaniale sobie radzisz – pochwaliła dziewczynkę swym miłym, pełnym ciepła głosem doktor Micińska, nie zauważywszy jeszcze Nataniela. – Przelej wodę do słoiczka, zrobimy płyn odkażający.

Dziewczynka z równym namaszczeniem co poprzednio spełniła polecenie. Kryształki nadmanganianu potasu zawirowały w naczyniu, pozostawiając smugi intensywnego fioletu. Emilka przypatrywała się im zachwycona. Miała na sobie odprasowaną, czystą sukienkę – pewnie z darów – ciemne włoski splecione w dwa warkoczyki. Wydawała się spokojna i radosna. Nataniel poczuł zarówno ulgę, że dziecko jest zadbane i nie rozpacza aż tak, jak się tego obawiał, jak i wdzięczność do Zosi za pomoc. Gdyby nie ona...

Pierwsze dni po pożarze i śmierci Marty były dla młodego mężczyzny niekończącym się koszmarnym snem, z którego mimo wysiłków nie mógł się obudzić. Poruszał się, mówił, wstawał i kładł się spać niczym prowadzona

przez lalkarza marionetka, ale jak właściwie minęły te dwa tygodnie...? Nataniel nie potrafił powiedzieć. Oliwia pogrzyżała się w żalobie, Mateusz zapijał się w leśniczówce na śmierć i jedynymi przytomnymi w całym tym obłędzie pozostali Siergiej Sodarow i Zosia Micińska. To oni zajęli się pogrzebem Marty, to pod dobre skrzydła lekarki trafiło oszołomione, nic nierozumiejące dziecko, a Sodarow odnalazł w sobie siły, by zająć się Oliwią.

On, Nataniel, przez cały ten czas próbował zapomnieć, że istnieje. Nie jadł, nie golił się, nie zmieniał podkoszulka ani spodni. Teraz, widząc zadbaną dziewczynkę, po prostu poczuł wstyd. Chciał się wycofać po cichu i wrócić tu, gdy ogarnie się, wykapie i doprowadzi do porządku, ale w momencie gdy zrobił krok w tył, Zosia uniosła nań oczy, ukryte za grubymi szklami okularów, i uśmiechnęła się ciepło, jak to ona.

– Nataniel! Zobacz, Milaszku, kto wpadł w odwiedziny!

Emilka natychmiast porzuciła słoik z nadmanganianem i strzykawkę, podbiegła do chłopaka i – gdy się pochylił, by chwycić ją w ramiona – zarzuciła mu rączki na szyję. Przytulił malutką z całych sił, czując łzy napływające do oczu. Szybko nad nimi zapanował. Emilka nie może zobaczyć jego smutku.

– Wujku Natanielu, tęskniłam... – wyszeptało dziecko łamiącym się głosem. – Bałam się, że i ty odeszłeś, jak ciocia Marta.

– Odszedłeś – poprawił ją odruchowo. – I nie mam zamiaru nigdzie odchodzić.

Spojrzała mu w twarz poważnie jak dorosły człowiek, a nie pięcioletnie dziecko.

– Ciocia też nie miała takiego zamiaru, a jednak odeszła. Kiedyś do nas wróci? – zapytała z odrobiną nadziei.

Pokręcił głową, gasząc ten płomyk.

– Umarła? – Dziecko zajrzało mu w oczy. Z trudem zdobył się na przytaknięcie. – Umarła... – westchnęła Emilka. – Jest w niebie i patrzy na

nas z góry, strzeże nas, tak mówi ciocia Zosia, ale jakbyśmy polecieeli samolotem, wujku Natanielu, może moglibyśmy ją odwiedzić? Choć na chwilkę?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał błagalnie na Zosię.

– Niebo jest ogromne. – Pospieszyła mu z pomocą. – Trudno byłoby odnaleźć doktor Kraszewską, ale... Kiedyś spotkasz ją, Milaszku, jestem pewna. Kiedyś...

Dziewczynka, dla której „kiedyś” było równie abstrakcyjnym pojęciem jak „za tydzień”, poweselała.

– Nie płacz, wujku Natanielu – rzekła, dojrawszy jednak łzy w kącikach jego oczu. – Niedługo się z ciocią spotkamy. – Poklepała go po ramieniu. – Mogę wracać do domu?

Spojrzał na nią zaskoczony, przeniósł spanikowany wzrok na Zosię. Emilka jeszcze nie wiedziała, że chata doszczętnie spłonęła. Próbowali oszczędzić dziecku kolejnego wstrząsu. Tamtej nocy pozostawił ją u Zosi, a sam pognął na drugą stronę jeziora, gdzie łuna bijąca od płomieni zaćmiła światło spadających gwiazd. Emilka została u doktor Micińskiej do pogrzebu i po nim. Nikt do tej pory nie miał serca powiedzieć dziecku, że tak naprawdę nie ma dokąd wracać...

– Jutro – odezwał się Nataniel nieswoim głosem – jutro wszystko ci wytłumaczę. Dziś zostaniesz jeszcze tu, u doktor Zosi, dobrze? – Spojrzał na dziewczynkę błagalnie.

Ona chciała coś powiedzieć, może sprzeciwić się, ale Zosia odezwała się szybko:

– Pewnie! Zaopiekujemy się Milaszkiem. Chodź, kochanie. – Wyciągnęła rękę do dziewczynki. – Mamy jeszcze tyyyyle do zrobienia!

Emilka pobiegła do niej, zaraz jednak obejrzała się na Nataniela.

– Nie jest ci smutno, wujku, że ja tu zostanę, a ty będziesz sam? – musiała zapytać.

– Wujek ma na głowie mnóstwo spraw do załatwienia. Wiesz przecież, że opiekuje się twoją mamą. I Oliwią.

Mała kiwnęła głową. Nataniel podziękował dziewczynie spojrzeniem. W tamtą noc, gdy patrzyli na gwiazdy, a dziecko usnęło, opowiedział Zosi niemal wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich siedmiu lat. Od wypadku w górach, który zaważył na jego życiu, przez odkrycie Sennej, poznanie Marty, przygodę z Iwoną – jednak bez pikantnych szczegółów, bo było mu po prostu wstyd – po przyjazd Emilki i Oliwii w wigilijną noc, na kolejnej przygodzie, tym razem z Oliwią, skończywszy.

Nie miał pojęcia, dlaczego jest aż tak szczery z Zosią Micińską, którą poznał przecież parę miesięcy temu, ale jej cicha obecność, uważność, z jaką słuchała tej spowiedzi, i to, że nie ocenia go i nie potępia, były jak balsam na poranioną duszę młodego mężczyzny. Leżała obok, wpatrzona w granatowe niebo, i po prostu słuchała... Czuł jej życzliwość. Prostą ludzką życzliwość. Bezcenną.

Gdy powracał wspomnieniem do najtrudniejszych chwil, śmierci mamy, wygnania z domu, bolesnej zdrady Iwony, a potem Oliwii, i głos mu się rwał, Zosia lekko dotykała dłonią jego ramienia, a on odzyskiwał spokój i mógł mówić dalej. Doktor Micińska była przyjacielem przez duże P. Nie miał co do tego wątpliwości. Jak Marta, Mateusz, a przedtem jego mama. Ani o Oliwii, ani o Iwonie nie mógł tego powiedzieć. Mógł się z nimi kochać, mogła mu odbić palma na punkcie jednej i drugiej, ale żadnej nie darzył takim zaufaniem jak tej cichej, skromnej, niemal niewidocznej dziewczyny.

Podszedł do niej, ujął jej smukłą dłoń i ucałował.

– Dziękuję – rzekł z głębi serca.

Splonęła się, chciała cofnąć rękę, ale powtórzył:

– Dziękuję za wszystko.

– Naprawdę, Natanielu, to drobiazg. Cieszę się, że mogłam jakoś pomóc – odparła z zawstydzonym uśmiechem.

– Czy Emilka mogłaby tu zostać na trochę dłużej? Kilka tygodni, może nawet miesięcy? Potrzebuję... tego czasu, żeby się pozbierać. Ogarnąć jakoś to wszystko.

Nie śmiał spojrzeć tej dobrej dziewczynie w twarz, prosząc o tak wiele. Był jej przecież zupełnie obcy! Dziecko, od którego odwróciła się rodzina, również! Ale Zosia Micińska zacisnęła palce na jego dłoni i odrzekła cicho, serdecznie:

– Masz tyle czasu, ile trzeba, by się ze wszystkim uporać. Mama i ja naprawdę się cieszymy, że Milaszek jest z nami. To grzeczne, kochane dziecko. – Przygarnęła dziewczynkę do siebie i ucałowała jej ciemne włoski. – Niczego jej tu nie zabraknie. Nie martw się o nią, nie martw się o nas. Tu. Jest. Dobrze. – Dokończyła tak dobitnie, by między wierszami zrozumiał, gdzie dobrze nie jest i dokąd powinien się teraz udać.

Najpierw do Sodarowa – to wiedział – potem do Iwony. Dziecko musiało mieć matkę. Zdrową, wolną, kochającą matkę.

– Wrócę. Gdy tylko będę mógł, wrócę... – zaczął, nadal trzymając dłoń Zosi w swojej, jakby ta dłoń była jedyną stałą łączącą go z normalnym, bezpiecznym, spokojnym światem. – Poszukam rzeczy dla dziecka... Bluzeczek, sukienek... Może w dworku Marty się coś uchowało...

– O nic się nie martw. Wszystko mamy. Ludzie z Sennej zorganizowali pomoc

Nataniel obojętnie kiwnął głową. Nie był im wdzięczny. Prawdę mówiąc, wolałby ich nigdy więcej nie oglądać. Pragnął zrobić to, co postanowił po drodze: prosić Zosię o opiekę nad Emilką, a samemu odejść, zniknąć. Włączyć się po świecie, pracować za marne grosze, dach nad głową i pełną miskę. Grosze odsyłać Micińskim, samemu nie myśląc o niczym więcej. Jednak Sodarow – niech go szlag! – miał rację. Marta pozostawiła pod jego opieką swoje dziecko. Oliwię. Nataniel nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby dziewczynie coś się stało. Nosila przecież pod sercem jego dziecko...

Zacisnął powieki na to wspomnienie. Westchnął głęboko, jak człowiek

pokonany. Ramiona mu opadły, plecy przygarbiły się. Nigdy już nie będzie wolny. Nigdy nie będzie panem swojego życia. Za kilka chwil rozkoszy i zapomnienia w ramionach gorącej dziewczyny przyjdzie mu płacić przez najbliższych kilkanaście lat...

– Pójdę już – odezwał się zduszonym głosem. – Bądź grzeczna, Emilko.

– Jestem grzeczna! – oburzyła się dziewczynka.

Uśmiechnął się z trudem, bo doprawdy nie miał w sercu za grosz radości, pożegnał spojrzeniem doktor Micińską i wyszedł.

ROZDZIAŁ III



*P*owinien się spieszyć – bądź co bądź zostawił Siergieja samego nie tylko z Oliwią, ale i ze swoimi zwierzętami, które też wymagały opieki i karmienia – ale szedł coraz wolniej. Chora noga rwała takim bólem, że miał ochotę rzucić się na ziemię i wyć.

Usiadł wreszcie na pniu powalonej przez wicher sosny i zaczął rozcierać udo, jakby mogło to cokolwiek pomóc. Zaciskał przy tym zęby, żeby nie kłąć albo, co gorsza, nie rozpłakać się bezradnie niczym małe dziecko.

„Mam dosyć” – powróciła niedawna myśl. „Już dość, już wystarczy. Ile bólu człowiek może znieść?”. Rozejrzał się wokół półprzytomnym wzrokiem, jakby gdzieś tu, na brzegu jeziora lśniącego niczym płynne srebro, mógł znaleźć remedium na cały ten parszwy los. Ale wodna toń była gładka i spokojna, las dookoła trwał niewzruszony, tylko ptak zawołał gdzieś w oddali albo nad lustrem wody plusnęła ryba. Nikogo nie obchodziło cierpienie Nataniela.

Telefon rozdzwonił się nagłąco. Chłopak nie musiał patrzeć na wyświetlacz, by wiedzieć, kto domaga się jego uwagi. Nie zdążył rzucić nawet: „Czego chcesz?”, gdy Siergiej zaczął ostrym tonem:

– Słuchaj, stary, prosiłem, żebyś przyszedł jak najszybciej, a ty...? – Nie czekał też na odpowiedź. – Gdzie jesteś?! Kiedy będziesz?! Nie mogę zostawić tej dziewczyny nawet na chwilę! Boję się, że coś jej odpieprzy, pojmujesz to?! A konie trzeba chociaż napoić, że nie wspomnę o podsypianiu owsa czy wyrzuceniu gnoju! Kiedy, do cholery, raczysz się pojawić?!

– Szedłem do ciebie... – zaczął Nataniel.

– Ale nie doszedłeś!

– Noga... Noga mnie boli – wykrztusił chłopak.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Wreszcie Sodarow zaczął powoli, z niedowierzaniem:

– Nat, racz mi to wytłumaczyć, bo nie pojmuję. Mamy sytuację kryzysową. Ja od tygodnia zajmuję się obcą mi zupełnie laską, która właśnie popadła w obłąd albo jest tego bliska. Oprócz tego mam na głowie zwierzęta, swoje i twoje, które stoją w stajni wkurwione, bo głodne, a ty mi mówisz... że boli cię noga? Wybacz, stary, ale pierdolę twoją nogę i moje konie również ją pierdolą. Masz się wziąć w garść i dotrzeć tu, przylecieć, przypełznąć, co tylko chcesz, byle szybko! Zrozumiałeś?

Nataniel z każdym jego słowem coraz mocniej zaciskał palce na telefonie. Gdyby miał teraz przed sobą Sodarowa, z przyjemnością zacisnąłby je na gardle tego skurwiela.

– A jeśli nie? – wycedził, gdy tamten w końcu umilkł. – Co mi zrobisz, jeśli nie przyjdę? Nie szukam wymówek, noga naprawdę cholernie mnie boli...

– Dostałeś dwa tygodnie, by się otrząsnąć – odparł Siergiej cicho. – Mnie nie dano nawet jednego dnia. Nie opłakałem Marty, tak jak bym pragnął. Nie zamknąłem się w czterech ścianach i nie zapijam rozpaczony wodą jak ten żaloszny pętaś Mateusz. A chciałbym płakać, Nat, chciałbym pożegnać miłość swojego życia tak, jak na to zasłużyła. Ale nie. Musiałem się zająć pogrzebem, bo nie było chętnych... Tobą, bo nie wiedziałeś, dokąd pójść... Teraz skaczę koło Oliwii niczym pieprzona niańka... Czy ktoś, do kurwy nędzy, może się zająć chociaż moimi końmi?! – Głos mu się załamał, a Nataniel zrozumiał nagle, nie, nie tylko zrozumiał, ale poczuł całym sobą ból tego mężczyzny. Jeśli Siergiej Sodarow był bliski łez, znaczyło to, że jest z nim naprawdę źle.

– Masz rację. Przepraszam. – Nataniel wstał, nie bacząc na uginającą się pod nim nogę. – Daj mi kwadrans. Doczołgam się do ciebie, jak to określiłeś, i pomogę we wszystkim, w czym zdołam.

Mimo że ból nie zelżał ani odrobinę, Nataniel ruszył pospiesznie w kierunku rancza.

Siergiej, niech go szlag, miał rację. Wydawał się silny i nieporuszony, więc wszyscy uznali, świadomie bądź nieświadomie, że dźwignie rozpacz nie tylko własną, ale i tych, którzy sami udźwignąć jej nie potrafili. Jednak wytrzymałość ludzka, nawet tak zahartowanego w życiowych bojach faceta jak Sodarow, ma swoje granice. Zbyt wiele ciosów naraz złamie także jego.

Nataniel zapomniał o swojej chwili słabości, o tym, jak parę minut wcześniej chciał uciec, dokąd nogi poniosą, i teraz spieszył na pomoc przyjacielowi, chociaż to słowo zupełnie nie oddawało rzeczywistości. Sodarowa darzył niechętnym szacunkiem, może podziwem, wszystkim, tylko nie przyjaźnią! Lecz innego określenia na tego człowieka nie potrafił znaleźć.

Mężczyzna stał na schodach ganku. W splewiałych dżinsach, wyświechtanej koszuli, nieogolony... Mogli z Natanielem podać sobie rękę. Marta odeszła. Siergiej nie miał już dla kogo pachnieć dobrą wodą po goleniu, prać spodni i prasować koszul. Zaś Nataniel... był pogorzelnem. Na dobrą sprawę miał tylko to, co na sobie.

Siergiej z rękami splecionymi na piersiach patrzył bez cienia współczucia, jak chłopak się zbliża, mocno utykając, a gdy dotarł w końcu przed dom, warknął:

– Idź do niej. Spróbuj namówić tę histeryczkę, żeby coś zjadła. Wykap ją czy chociaż umyj. Nie wstaje z wyra od dwóch dni.

– Dlaczego? – wyrwało się Natanielowi. – Nazajutrz po pogrzebie wydawała się spokojna. Pogodzona ze śmiercią Marty. Co się stało, że...

Sodarow zszedł ze schodów i stanął naprzeciw chłopaka. Spojrzenie miał zimne i odpychające.

– Powiem ci szczerze jak na spowiedzi: szukała u mnie pocieszenia i cóż... nie znalazła.

Nataniel zaniemówił, a potem wykrzyknął z niedowierzaniem i złością:

– Jak to „nie znalazła”? Nie potrafiłeś przytulić pogrążonej w żałobie dziewczyny?!

Tamten zmrużył czarne oczy i uśmiechnął się krzywo, chociaż bynajmniej do śmiechu mu nie było.

– Kochany, niewinny niczym dziewica Nataniel... – zaczął z gryzącą ironią. – Szukała pocieszenia w moim łóżku, być może nie bardzo zdając sobie sprawę z tego co robi, ale ja, owszem, byłem w pełni świadom. I nie, Nat – uciszył chłopaka, bo ten już otwierał usta, by skwitować jego słowa – nie będę „pocieszał” laski, choćby tak ponętnej jak Oliwia, dziesięć dni po śmierci kobiety, którą kochałem. Sorry, ale nie wymagaj tego ode mnie. Wiem, że masz mnie za niezłego skurwiela, co to żadnej „Iwonce” nie odpuści, ale Martę... moją Martę... naprawdę kochałem. – Urwał, bo znów głos zaczął mu się łamać.

– Rozumiem – odparł cicho Nataniel.

– Nie rozumiesz, chociaż doceniam, że próbujesz. Mam parszywe poczucie winy. I straty. Nie wiem, co bardziej mnie rozpieprza. Posiedź przy Oliwii. Mnie potrzebna jest teraz ciężka fizyczna harówka.

Minął chłopaka i ruszył ku stajniom.

Natanielowi nie pozostało nic innego, niż wejść do środka.

Mimo że pokoje w tym domu były duże, wysokie i słoneczne, poczuł, jakby nagle zapadł mrok. Niewypłakane łzy Siergieja i ich nadmiar u Oliwii niemal czuło się w powietrzu. Rozpacz i niewykrzyczany ból wsiąkały w ściany przez wszystkie te dni.

Nataniel z czasu, gdy opiekował się końmi Siergieja i miał klucze do domu, pamiętał, gdzie znajdują się trzy gościnne sypialnie, i tam właśnie się skierował.

Dziewczyna leżała w jednej z nich.

Był to ładny, urządzone ze smakiem pokój, którego po nieokrzesanym Sodarowie raczej nie można się było spodziewać. Jednak pozory mylą,

Siergiej miał dobry gust, zarówno jeśli chodziło o kobiety, jak i o wystrój domu. Prostota połączona z elegancją – to rzucało się w oczy komuś, kto miał chęci i czas podziwiać to domostwo. Nataniel nie miał ani tego, ani tego.

Podszedł do łóżka. Drobne ciało Oliwii niemal ginęło wśród kołder i poduszek. Siergiej obłożył ją nimi, jakby chciał w ten sposób odgrodzić dziewczynę od świata. I może tak właśnie było. Musiał wychodzić z pokoju choć na krótki czas, być może wierzył, że tak uchroni Oliwię przed zrobieniem sobie krzywdy.

Nataniel pochylił się ku niej i aż wciągnął powietrze z nagłego przerażenia. Siergiej nie przesadzał... Dziewczyna była wychudzona i śmiertelnie blada, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Leżała zupełnie nieruchomo. Wielkie, niegdyś błyszczące życiem oczy miała szeroko otwarte, wzrok utkwiony w suficie. Usta zacisnęła tak mocno, aż pobielwały. Albo rzeczywiście oszalała z żalu po matce, albo... chciała wyglądać na szaloną. Nataniel sklął się w duchu za takie podejrzenie, po czym zaczął przyciszonym głosem:

– Oliwio, jestem przy tobie.

Przysiadł na brzegu łóżka, ujął zimną, lekką jak skrzydło pisklęcia dłoń dziewczyny i próbując choć trochę rozgrzać tę rękę, mówił dalej, cicho i łagodnie:

– Wiem, że jest ci ciężko, wiem, jak bardzo rozpaczasz, i jestem przy tobie. Nie zostawię cię samej z tym bólem. Oliwio?

W pierwszej chwili wydawało mu się, że ona nie słyszy. Jest gdzieś daleko, zapadnięta w rozpacz bliską szaleństwu, a może już szalona, lecz nagle jej dłoń drgnęła, spojrzenie przeniosło się z sufitu na chłopaka.

– Ty nic nie rozumiesz – wyszeptała popękkanymi z pragnienia ustami. – To kara. Kara za to, co mi zrobiłam.

– Siergiej nie ma do ciebie pretensji, wierz mi. Miałaś prawo... szukać u niego odrobiny współczucia. On to rozumie. I zależy mu tylko na tym, byś

wyzdrowiała – zapewnił pospiesznie Nataniel, wierząc szczerze, że tak właśnie jest.

Dziewczyna... zachichotała. Piskliwie. Niczym wiedźma. A chłopakowi ten chichot podniósł włosy na karku.

– A co ma do tego Siergiej? To bydlę? – rzuciła. – Ja zrobiłam to jemu. Rozumiesz?

Nie. Nataniel nie rozumiał.

– Naszemu dziecku – wyjaśniła więc, a chłopak nagle poczuł, że robi mu się zimno.

– Co zrobiłaś dziecku? – odezwał się nieswoim głosem.

– Zabiłam je!

Zacisnął palce tak silnie, że niemal zmiażdżył dłoń dziewczyny. Jęknęła. Próbowwała wyszarpnąć rękę. Zmusił się, by rozewrzeć uścisk.

– Usunęłaś ciążę? – rzucił, jeszcze nie wierząc.

Nie chciał tego dziecka. Owszem. Ale przecież pokochałby je, gdyby przyszło na świat! Jeśli nie mógł mieć kochanej i kochającej żony, normalnej, pełnej rodziny – a z Oliwią byłoby to niemożliwe – chciał zostać przynajmniej dobrym ojcem dla tego biednego, niechcianego dzieciaka.

– Dzień wcześniej, rozumiesz? Dzień wcześniej pojechałam do Czech i się go pozbyłam.

– „Pozbyłam się”?! – podniósł głos do krzyku. – Pozbyć można się niechcianego mebla, ale nie dziecka!

– Właśnie! I za to zostałam ukarana. Straciłam i dziecko, i matkę. I ciebie.

Zacisnął szczęki tak silnie, aż pobieleły mu wargi. Brakło słów, którymi w tej chwili chciał poczęstować tę bezmyślną, bezduszną sukę. Próbowalby zrozumieć jej decyzję, gdyby rzeczywiście została sama jedna, bez środków do życia i pomocy kogokolwiek. Ale Oliwia żyła jak pączek w maśle, utrzymywana przez ciężko harującą matkę. Matkę, którą ta harówka wreszcie

wpędziła do grobu. Matkę, która z radością zajęłaby się jej dzieckiem, a swoim wnuczkiem czy wnusią. Przygarnełaby je pod swój dach i wychowywała z całą miłością, jaką odtrąciła Oliwia. Więcej: oprócz Marty był jeszcze on, Nataniel! On również zajęłby się tym maleństwem, gdyby dostał taką szansę! Jednak Oliwia, ta podła, ze wszech miar egoistyczna kreatura, wolała usunąć ciężę, zabić dziecko, zamiast pozwolić mu żyć u Marty czy Nataniela! Nie zapytała o zdanie ojca dziecka, nie poprosiła o pomoc własnej matki, po prostu... „pozbyła się”.

A teraz co? Domagała się współczucia? Od Nataniela?!

– Zająłbym się nim – wykrztusił, czując, jak gardło ściska mu się z żalu za straconym maleńkim istnieniem i z wściekłości na Oliwię. – Nie zostawiłbym cię i zająłbym się tym dzieckiem.

Zmrużyła oczy.

– Serio? A przypomnieć ci twoje ostatnie słowa, jakimi mnie uraczyłeś? „Nie ożenię się z tobą”. Pamiętasz?

– To nie znaczyło, że wypieram się tego dziecka! Nie chciałem ciebie, a nie jego!

– Więc teraz ty nie masz dziecka, a ja matki. Jesteśmy kwita – ucięła.

Nataniel spojrział na nią ze zgrozą. Ona traktowała to wszystko jak jakąś chorą rozgrywkę! Śmiercią niewinnej istoty mściła się na nim, Natanielu, chociaż to ona skrzywdziła jego, a nie na odwrót. I nawet specjalnie nie obwiniła się za tę śmierć! Rozpaczała tylko dlatego, że czuła się ukarana! Może jeszcze niesprawiedliwie i za niewinność?!

Nagle poczuł do dziewczyny bezgraniczną odrazę. Chciał wyjść stąd, natychmiast! Z tego pokoju, potem z domu, i uciec daleko stąd. Biec przed siebie dotąd, aż zostawi w przeszłości podłą, zepsutą do szpiku kości Oliwię z jej bezgranicznym, zimnym i wyrachowanym egoizmem.

Teraz też – był tego pewien – dziewczyna próbuje coś z nim ugrać. Wziąć go na litość, wzbudzić w nim poczucie winy, żeby co...? Jaki ta suka ma cel,

by tak go dręczyć?!

Uniosła się nagle, wpiła palce w jego ramiona i zaczęła go do siebie przyciągać. Wielkie, złote oczy, w których swego czasu się zakochał, błyszczały gorączką i szaleństwem.

– Nie mogę być sama, rozumiesz? Nie mogę! – wyszeptała, po czym przywarła ustami do zaciśniętych warg chłopaka.

Odepchnął ją ze wstrętem, teraz dokładnie wiedząc, co czuł Siergiej. Oliwii, temu trującemu bluszczowi, było wszystko jedno, dookoła kogo się owija. Byle nie stracić żywiciela. Byle nadal ktoś ją karmił, ubierał, dawał na czynsz i „na waciki”. Dziecko, matka... Śmierć tego pierwszego nie miała dla niej żadnego znaczenia. Nataniela i tak straciła. Natomiast śmierć Marty okazała się dla Oliwii tragedią: oto zostawała bez środków do życia, zdana sama na siebie. O ile ktoś, ktokolwiek...

– Marta była ubezpieczona – padło nagle od progu.

Siergiej stał w drzwiach – Nataniel mógł tylko zgadywać, ile zobaczył i usłyszał – i patrzył na dziewczynę lodowatym wzrokiem.

– Marta parę lat temu wykupiła polisę na życie. Nie martw się, będziesz bogata. Nie potrzebujesz ani Nataniela, ani mnie, żeby przez jakiś czas, dopóki nie przepieprzysz tych pieniędzy, żyć w dostatku. Potem znajdziesz pewnie kolejnego frajera, który będzie cię utrzymywał.

Oczy dziewczyny zogromniały.

– Ja... Ja nie... Nataniel, ty chyba nie myślałeś, że ja... Że mi chodzi o pieniądze. Nie mogę być sama! Boję się! Straciłam matkę... Ojca nie obchodzę. Jak możecie być tak bezduszni, żeby... – Po policzkach płynęły jej łzy jak grochy, ale i Nataniel, i Siergiej patrzyli na nie obojętnie. Nie to, żeby nie wierzyli w szczerłość tych łez, jednak rozpacz dziewczyny przestała ich wzruszać. Oliwia nie żałowała matki ani dziecka. Żałowała jedynie siebie.

– Nat, zabierz mnie stąd. – Próbowwała pochwycić dłoń chłopaka. – Sodarow, bydlak jeden, ma na ciebie zły wpływ. Wierzysz w każde

oszczerstwo, jakie na mnie rzuca ten mściwy skurwiel, ten zboczeniec. A wiesz, za co się mści? Zaraz po śmierci mamy próbował się do mnie dobierać. Wyobrażasz sobie?! Zwabił mnie tutaj tylko po to...

– Wychodzę – syknął Sodarow, poblady z furii. – Wrócę, jak dom będzie pusty. Nie życzę sobie obecności tej kłamliwej suki pod moim dachem.

– Widzisz! – wykrzyknęła Oliwia. – Nawet nie zaprzeczył! Mściwe bydło.

Nataniel też miał dość. W łgarstwa dziewczyny nie wierzył nawet przez sekundę. Siergiej mógł być łajdakiem i babiarzem, jednak w tym przypadku chłopak wierzył jemu, nie tej odstręczającej, zepsutej do cna dziewczynie. Nie mieściło mu się tylko w głowie, jak Marta, dobra, serdeczna, współczująca doktor Kraszewska, mogła wychować kogoś tak podłego jak Oliwia... Chyba że córka wdała się w ojca, a nie w matkę.

Wstał, mimo że dziewczyna uczepiła się jego ramienia, próbując go zatrzymać.

– Ubieraj się. Wracasz do dworu. Siergiej nie ma obowiązku dłużej przy tobie skakać – rzucił sucho.

– Ta. Pewnie. Do dworu. Będę sama mieszkała na tym zadupiu, sama paliła w piecu, sama sprzątała tę ruderę... Jeszcze czego. Wracam do Warszawy! Pierwszym pekaesem! Nie zatrzymasz mnie tutaj! Sprzedam ten dwór, gdy tylko... tylko... – Rozplakała się ponownie.

Od czasu do czasu nawet do jej czarnego serca docierała okrutna prawda: nie ma już matki, jest sierotą, Marta zmarła i nigdy więcej Oliwia jej nie zobaczy. Po matce, po tej ostoi, która zawsze przy Oliwii była, został tylko spadek. Pieniądze – nie wiadomo jak wielkie – i stary dwór, którego nie chciała już nigdy oglądać na oczy.

– Może odkupisz go ode mnie? – Podniosła pełne łez oczy na stojącego w milczeniu Nataniela. – Straciłeś dom. Jeśli chciałbyś tu zostać...

– Za co? Wiedziałaś, że nie jestem bogaty, jeszcze wtedy, gdy udawałaś zakochaną. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Siergiej ma pieniądze. Może

powinnaś postawić na niego?

– Sodarow o nikim innym nie myśli, tylko o mojej matce. I będzie tak przez najbliższych kilka miesięcy, jeśli nie lat, a ja muszę żyć tu i teraz – odparła sucho.

Nataniel skrzywił się tylko. Pragnął jak najszybciej odprowadzić tę dziewczynę na przystanek pekaesu i o niej zapomnieć...

– Może chociaż wynajmiesz ode mnie tę chałupę? Przecież nie musi stać pusta, skoro ty nie masz gdzie mieszkać – spróbowała raz jeszcze. – A ja nie mam za co żyć. Jak na razie – dodała, jakby się tego nie domyślił.

Już miał odrzec, co Oliwia może sobie zrobić z tą jakże wspaniałomyślną propozycją, gdy zrozumiał, że nadal jest – wobec Marty – odpowiedzialny za tę dziewczynę. Ona potrzebuje pieniędzy do czasu, gdy otrzyma spadek, on dachu nad głową, jeśli zdecyduje się zostać. Była jeszcze Emilka, o której Nataniel zdawał się zapominać, a która potrzebowała tego miejsca, szczególnie po stracie ukochanej cioci Marty.

– Dobrze. Zdobędę pieniądze na czynsz, o ile nie będziesz zbyt pazerna – odezwał się niechętnie.

– Potrzebne mi dwa tysiące miesięcznie, nie więcej. Mam trochę kasy, odłożonej na wyjazd do Stanów, a jeśli Sodarow mówił prawdę o ubezpieczeniu...

„Dwa tysiące...” – tylko tyle Nataniel usłyszał. „Skąd ja ci wytrzasnę dwa tysiące miesiąc w miesiąc, mając na utrzymaniu dziecko, gdy mój cholernie drogi laptop trafił szlag, nie mam ciuchów na zmianę, nie mam nawet co do gęby włożyć, bo lodówka wraz ze spiżarnią spłonęły... Skąd wezmę dwa tysiące na czynsz...?!”

Znów, jak wiele razy od tamtej nocy, poczuł piekące łzy w oczach i odwrócił się gwałtownie, by Oliwia tych łez nie dojrzała.

Jeszcze tydzień temu miał w komodzie trzydzieści tysięcy, które Iwona przysłała mu na wychowanie Emilki, ale i te pieniądze uleciały z dymem. I to

dosłownie...

– Zdobę forszę – powtórzył przez zaciśnięte gardło. – Dwa tysiące. Co miesiąc. – I wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Oślepiiony wściekłością i łzami, nie widział Siergieja, który przyglądał mu się z drugiego końca korytarza. On odprowadził chłopaka zamyślonym spojrzeniem, po czym sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Musimy pogadać – rzucił, gdy odebrano połączenie. – O pewnym długu i nie tylko.

ROZDZIAŁ IV



Nataniel – nie bardzo wiedząc, co ma teraz ze sobą zrobić, bo domu nie miał, a do dworu wracała Oliwia, z którą nie chciał przestawać ani sekundy dłużej – ruszył do stajni. Tam zawsze było coś do roboty. I Siergiej miał rację: w takiej chwili przyda się fizyczny wysiłek, harówka do utraty sił, tak żeby nie myśleć, nie wracać do przeszłości i nie martwić się o przyszłość. Żyć tylko tu i teraz, od wbicia wideł w kostkę siana do wbicia w następną...

Stajnia ze swoimi cichymi mieszkańcami, z których czasem tylko któryś parsknął czy zarżał krótko na powitanie, była dla zdruzgotanej duszy ukojeniem. Chłopak zrzucił koszulę, chwycił łopatę i zabrał się do uprzątnięcia nawozu z końskich boksów. Pracował w milczeniu, starając się nie myśleć o niczym. Ani o nikim. Tylko on i konie, które trzeba oporządzić. Chora noga dokuczała mu bardzo, ale do bolącego uda doszedł po jakimś czasie zdrowy ból zmęczonych mięśni i Nataniel zapomniał o tamtym drugim.

– Nieźle ci idzie – usłyszał głos Sodarowa, ale nie podniósł głowy, nie spojrzał na mężczyznę.

Pracował dalej.

– Co zamierzasz? – padło pytanie.

– Wyszprzątać wszystkie boksy – odmruknął Nataniel.

– To ci się chwali. Trzymaj, Nat. – Sodarow rzucił mu butelkę z wodą.

Chłopak podziękował spojrzeniem, odstawił łopatę, usiadł na kostce świeżej słomy i upił duży łyk.

Siergiej stał oparty o drzwi boksu i przyglądał się młodemu mężczyźnie lekko zmrużonymi oczami.

– Co zamierzasz? – powtórzył nieco ostrzejszym tonem.

Nataniel posłał mu zmęczone spojrzenie. „Odpieprz się” – mówiły błękitne oczy chłopaka, ale Sodarow nie dał się zbyć. Nie tym razem.

– Przestań się nad sobą użalać – rzucił sucho. – Nie ty pierwszy straciłeś w pożarze dorobek całego życia i nie ostatni. Ludzie nie pozwolą ci zginąć, spokojna głowa.

– Pieprzę ludzi – odwarknął Nataniel.

– Wolno ci – Siergiej kiwnął głową – ale pomocy odrzucać już nie.

– Nic nie chcę. Ani od ludzi ze wsi, ani od ciebie.

– Takiś hardy? – Sodarow uniósł kącik ust w uśmiechu. – Przypominam, że jest ktoś, kogo powierzono twojej opiece. Nie mojej, nie Zosi Micińskiej, a twojej, Nat. Emilka. Pamiętasz ją jeszcze? Taka mała, uroczą dziewczynka, która od Wigilii mieszkała u ciebie, a teraz pęta się po obcych. Straciła ciocię Martę, straciła dom, choć jeszcze o tym nie wie, a koniec końców może stracić ukochanego wujka Nataniela. Weź się w garść, stary, albo już teraz szukaj dla dziecka zacnego sierocińca, w którym spędzi ono następne dwa lata.

– Może ty zajmiesz się Emilką, skoro tak się o nią troszczysz?

– Ja mam swoje zobowiązania, ty swoje. I nie, ona nie jest moją córką.

Natanielowi w tym momencie przypomniały się słowa Iwony: Siergiej ma dokumenty...

– Ty wiesz, kim jest jej ojciec? – To było raczej stwierdzenie niż pytanie. – Znasz go.

Sodarow pokręcił głową.

– Nie znam. Ale owszem, wiem, kim jest. Raczej kim był, bo nie żyje.

Nataniel poczuł absurdalne rozczarowanie. Zupełnie jakby przez sekundę rozważał oddanie Emilki typowi, który porzucił dziecko.

– Miał jakąś rodzinę? – Jeszcze próbował. Jeszcze miał nadzieję, że gdyby on oszedł... ruszył w Polskę, tak jak pragnął tego godzinę wcześniej, ktoś by się dzieckiem jednak zaopiekował.

– Miał – padła krótka odpowiedź. – Emilka również ją ma.

Nataniel prychnął drwiąco w tym momencie.

– Owszem, ma rodzinę, jaką czułą i opiekuńczą! Przywiozła ją do mnie siostra Iwony i zostawiła ze słowami: „Nie będę się opiekować bękarcikiem”. Oprócz „kochającej” cioci Emilka ma również dziadków, tylko oni się wypięli i na własną córkę, i na wnuczkę. Jeśli miałeś mnie tym pocieszyć...

– Nie jestem od pocieszania, Nat – uciął Sodarow krótko i bez krzty współczucia.

Nataniel nie potrzebował litości, a wstrząsu większego niż śmierć Marty. I taki wstrząs Siergiej mógł mu zafundować. Pytanie tylko: czy teraz, czy też nieco później? Chłopak jest gotów do dalszej walki z parszywym losem czy jeszcze mu odpuścić?

Nagle podjął decyzję, bo on, Siergiej, mógł się nad młodym mężczyzną ulitować, ale los? Zapomnij.

Trzeba więc iść za ciosem...

– Zastanawiałeś się kiedyś, jakim cudem Iwona trafiła do ciebie? I czy to rzeczywiście był przypadek?

Słowa te sprawiły, że Nataniel powoli uniósł wzrok i spojrzał w poważną, niemal surową twarz Siergieja.

– Podwoził ją jakiś zboczeniec, wyskoczyła z samochodu niemal w biegu, chciała dojść do wsi, ale zabłądziła – rzekł, bo tamten najwyraźniej czekał na odpowiedź.

– Droga do wsi jest o wiele prostsza niż do chaty nad jeziorem, ukrytej głęboko w lesie – zauważył Sodarow. – Idziesz asfaltem, skręcasz, gdy zobaczysz kierunkowskaz: „Senna 1 km”. Nic skomplikowanego. Jednak

Iwona trafiła prosto pod twój dach. Zupełnie jakby wiedziała, że czeka na nią wyposzczony chłopaczek, którego owinie sobie wokół palca. A na do widzenia podrzuci mu dziecko, bo już wtedy miała świadomość, że wcześniej czy później trafi do kryminału. Nigdy cię nie zastanowiło, dlaczego na opiekuna Emilki wybrała właśnie ciebie?

W oczach Nataniela pojawił się ostry błysk.

– Widać nie trafiła na większego naiwniaka – odparł chłodno. Doprawdy... Sodarow mógłby mu oszczędzić tych podłych pytań.

– Naiwniaków większych nawet od ciebie obrobiła na grube pieniądze. A jednak... Chata nad jeziorem, uroczy, kochany Nataniel, a potem...

– Pieprz się, Sodarow – warknął chłopak, poderwał się na równe nogi i chciał minąć tego drania, wyjść ze stajni i nie wracać, ale mężczyzna chwycił go za ramię i szarpnął z powrotem.

– Usiądź, Nat. Jeszcze nie skończyłem.

– Postoję.

– Okej, za chwilę, gdy usłyszysz kolejną rewelację, usiądziesz, wierz mi.

– Nie chcę słuchać twoich rewelacji! Twoich kpin i obelg również nie!

– Obiecuję, że z tym skończę. Od tej chwili suche fakty.

Chłopak strącił z ramienia dłoń Sodarowa, po czym usiadł zrezygnowany na kostce słomy i sięgnął po butelkę z wodą.

– Widzisz, stary, Iwona dokładnie wiedziała, dokąd idzie i z kim chce się spotkać. Znała twoje imię i nazwisko, znała adres. Szukała ciebie, a nie kolejnego naiwniaka.

Nataniel uniósł brwi w bezbrzeżnym zdumieniu. Zatkąło go. Szukał w spojrzeniu Sodarowa kpiącego błysku, mając nadzieję, że to jakiś ponury żart, ale mężczyzna wyglądał na śmiertelnie poważnego.

– S-skąd? – zająknął się. – Kto jej o mnie opowiedział? Ty? Znałeś ją wcześniej?

– Nie! Takim skurwielem, żeby ją na ciebie nasłać, nie jestem! – zachnął się Sodarow.

– Rzeczywiście, ty ją tylko... – Nataniel zawiesił głos.

– Seks to co innego – uciął tamten.

– Jeśli nie ty mi ją podsunąłeś, to kto? Powiesz wreszcie?!

– Arkadiusz Szponder. Twój ojciec.

Nataniel zakrztusił się własnym oddechem. Wstał powoli, żeby patrzeć Siergiejowi prosto w twarz, a jeśli ten zełgał, żeby mu w tę twarz przywalić.

– Co o nim wiesz? – rzucił Sodarow.

– Niewiele. Siedem lat temu dostałem list...

Wrócił wspomnieniem do dnia, gdy trzymał w rękach zwykłą białą kopertę zaadresowaną do niego. Wyglądała tak niewinnie... Odebrał list z poczty tuż przed wyjazdem w góry, włożył do kieszeni i zapomniał o nim. Dopiero w Betlejemce, gdy zdejmował kurtkę, by wyschła przy kominku, przypomniał sobie o kopercie ze swoim nazwiskiem. Nadawcą był Arkadiusz Szponder. Nic mu to nie mówiło. Usiadł niedaleko ognia, rozkoszując się ciepłem i tańcem płomieni na dębowych polanach, rozdarł kopertę i uniósł do oczu kartkę zapisaną kanciastym pismem.

Pierwsze słowa listu sprawiły, że dwudziestoletni wtedy Nataniel po prostu stracił oddech.

„Drogi Synu...”

Ręka z listem opadła bezwładnie. Chłopak przez długą chwilę siedział nieruchomo, próbując opanować emocje, jakie wzbudziły w nim te dwa słowa. Spojrzał ponownie na kopertę, może to pomyłka? Może imię się nie zgadza albo adres? Ale o żadnej pomyłce nie mogło być mowy. Gdyby jeszcze nazywał się Jan Kowalski... Ale Natanielów Domoradzkich w Polsce zbyt wielu nie było. Prawdę mówiąc, tylko on jeden nosił to imię i nazwisko. Ten, kto pisał ten list – i te słowa! – wiedział, do kogo je kieruje, a więc... po

dwudziestu latach milczenia odezwał się jego ojciec!

Pierwszy szok minął. Nataniel powrócił do listu.

Drogi Synu

nie wiem, co naopowiadała ci o mnie twoja matka, ale pewnie same kłamstwa...

Oczy Nataniela zogromniały. Spodziewał się różnych słów na „dzień dobry”, ale nie takich!!! Facet, który porzuca dziecko jeszcze przed narodzinami, przypomina sobie o nim po dwóch dziesięcioleciach i w pierwszych słowach wyraża się obelżywie o matce, która sama to dziecko wychowywała? Co za tupet! Co za bezczelny kawał drania! Nataniel chyba nie chciał czytać dalej. Jednak uniósł kartkę do oczu...

Kochałem ją, ale nie byłem gotowy na stały związek, na bycie mężem i ojcem. Prosiłem i błagałem, żeby uważała, ale ona nie. I widzisz. Stało się. Czy można mnie potępić, że nie udźwignąłem tego obowiązku? Odeszłem i przez długie lata byłem sam. Ale dzisiaj dojrzałem, żeby zmierzyć się z ojcstwem. Napisałem do twojej matki, że chcę się z tobą spotkać, zapoznać. Chcę zobaczyć na własne oczy mojego synka. Odpisała, że bym zwrucił się z tym do ciebie, nie do niej. No i widzisz. Więc piszę: każdy chłopak potrzebuje ojca, prawdziwego ojca, a nie pszyszywanego, bo nie wiem, czy twoja matka jest sama, czy kogoś ma. Ty masz ojca – mnie. Możemy ustanowić rodzinę, jeśli tylko zechcesz, bo ja chcę. Ale bez twojej matki, bo to źle z jej strony mnie obwiniać za wszystko. Możemy więc we dwóch się widywać, spotykać na piwku, czy co tam lubisz. Ja nie jestem z tych, co opiekują się dziećmi, ale ty jesteś już dorosły. Nie bój się, będę fajnym tatą. Tylko na żadne pieniądze nie możesz liczyć, bo wydatki i tak mam za duże, ale ty chyba pracujesz? Tak więc czekam na twoją odpowiedź, gdzie możemy się spotkać. Podaj mi swój telefon, to się dzwoniemy.

Twój ojciec

Nataniel, jeszcze bardziej zszokowany niż przed chwilą, doczytał ostatnie słowa, ciesząc się, że jest w pokoju sam i nikt nie widzi szoku i odrazy na

jego twarzy. Ten list, pełen błędów, zupełnie pozbawiony uczuć do niego, Nataniela, i szacunku do jego mamy... Po prostu chamski! Czy rzeczywiście mógł napisać takie coś jego ojciec?! Czy mama mogła związać się z kimś takim?! Kto chce „ustanawiać rodzinę, ale bez twojej matki”, spotykać się „przy piwku”, ale na jego, Nataniela, koszt, bo tamten „wydatki ma duże”? Ten list był największym upokorzeniem, jakie spotkało go w życiu.

Tyle razy wyobrażał sobie, że odnajdują się z ojcem, spotykają... Że jego ojciec jest porządnym, kulturalnym człowiekiem, facetem na poziomie, bo przecież mama z byle kim by się nie zadawała... Ojciec na dobry początek przeprosza Nataniela, że go odrzucił, opuścił mamę, gdy ta była w ciąży, Nataniel wielkodusznie mu wybacza i... no tak, tu wyobraźnia chłopaka się kończyła. Nie miał pojęcia, czy mama przyjęłaby skruszonego winowajcę z powrotem, ale wiedział jedno: on ojcu przebaczyłby na pewno.

Lecz ojcu z wyobrażeń, a nie autorowi listu!

Zmiał kartkę, czując wściekły gniew. I jeszcze rozczarowanie. Straszne, dojmujące rozczarowanie. Nie chciał widzieć tego faceta na oczy! Nie spotka się z nim „przy piwku”, nie da mu telefonu, zapomni o liście i człowieku, który go napisał.

„Mamo, jak mogłaś?!” – jęknął w duchu. „Ty i »morzemy«?!”.

Musiał coś zrobić. Wyjść z gorącego pomieszczenia, schłodzić głowę, uciszyć wściekle łomocące serce. Zapomnieć.

Czuł się wewnętrznie rozbity jak po wypadku. Jego uporządkowany, znany świat roztrzaskało kilka zdań skreślonych ręką tamtego człowieka. I to właśnie dziś, w Wigilię... Poczul łyzy napływające do oczu i siłą je powstrzymał. Nie da tamtemu satysfakcji! Nie rozpłacze się z powodu jednego podłego listu! Ale z mamą porozmawia poważnie, gdy tylko wróci z gór...

Narzucił na ramiona kurtkę.

Marzenka, pszenicznowłosa piękność, która od rana słała mu zalotne

uśmiechy, teraz dotknęła jego ramienia i zapytała:

– Wychodzisz? Masz dyżur?

A gdy zaprzeczył, dodała z niepokojem:

– Coś się stało?

Owszem, właśnie podeptano jego marzenia. I dobre imię mamy.

Wyszedł w mroźne wigilijne popołudnie, nie wiedząc, że za kilka godzin jego świat naprawdę zostanie roztrzaskany. O skalną ścianę. Po jego życiu, całkiem do tej pory przyjemnym, zostaną zgliszcza i ból, który nie odstąpi go chyba aż do śmierci...

Dziś, siedem lat później, pociemniałymi oczami wpatrywał się w Sodarowa.

– Tak, to by do niego pasowało... – zaczął powoli, czując, jak tamten gniew powraca. – Podsunąć mi taką kobietę. Ja pieprzę, jak nie piwko to prostytutka...

– Przybastuj, Nat. Nic nie wiem o piwku, ale Iwony za ostro nie oceniaj. Prawdę mówiąc, dziwkę zrobił z niej właśnie on, Szponder.

Chłopakowi ponownie odebrało mowę. Jego ojciec nie dość, że był kawałem bezczelnego bydlaka, to jeszcze sutenerem?! No nie... Sodarow miał rację: te rewelacje zwały z nóg. Usiadł z powrotem, sięgnął po wodę, żeby choć trochę zyskać na czasie. Nie chciał słyszeć, jakie jeszcze niespodzianki Sodarow trzyma w zanadrzu.

– Nie opowiedziała ci swojej historii? – zapytał tamten domyślnie.

– Nie mieliśmy czasu na rozmowy – odburknął chłopak, rumieniąc się mimowolnie z zażenowania.

Gdy tylko Iwonę widział, gdy była blisko, po prostu się na nią rzucał jak niewyżyte zwierzę. Pragnął się z nią jedynie kochać, kochać i kochać, będąc pewnym, że kiedyś, gdy już się nią nasyci, będą mieli czas, całą resztę życia!, by wysłuchać jej opowieści. A ona do zwierzeń również nie była chętna.

– Ale widzę, że ty poznałeś ją dogłębnie. – Nie omieszkał wbić

Siergiejowi szpilki.

– Tak jak ty, może nawet lepiej – odgryzł się tamten. – Ja miałem czas, żeby jej posłuchać, a nie tylko... – Teraz on zawiesił znacząco głos.

Nataniel spuścił wzrok, ponownie czując, jak płoną mu policzki. W tym temacie lepiej nie wchodzić w polemikę z Sodarowem...

– Oświeć mnie – odezwał się. – Cóż takiego na swoją obronę miała do powiedzenia Iwona?

– Nie musiała się bronić. Ja jej nie atakowałem. Po prostu paliłem papierosa, słuchając uważnie, a ona mówiła. Miała przechlapane dzieciństwo, bo jej starzy czekali na chłopaka, a urodziła się córka. Potem było jeszcze gorzej, bo okazało się, że jest śliczna, powabna i potrafi owinać sobie wokół palca każdego, kogo zechce. Najpierw ojciec zaczął ją wyzywać od dziwek, potem matka, a ona była po prostu piękną dziewczyną, która lubiła towarzystwo przystojnych chłopaków. I, możesz w to wierzyć albo nie, dość długo zachowała niewinność. Chyba na przekór wyzywającym ją od najgorszych starym. Miała bodajże dwadzieścia lat, jak wpadła po raz pierwszy. Z kumplem z technikum. Starzy, gdy tylko się o tym dowiedzieli, bez pytania, czy ona tego chce czy nie, zawieźli ją do jakiegoś pokątnego lekarzyny, czy też raczej rzeźnika, który rozwiązał „problem”. Mówiła mi, że nigdy w życiu nie czuła takiego bólu jak wtedy, gdy ten bydlak usuwał płód. – Sodarow urwał, sięgnął do kieszeni po papierosa, ale nie zapalił. Byli przecież w stajni, w pomieszczeniu wypełnionym słomą... – Uciekła z domu, gdy doszła do siebie. Włóczyła się po świecie przez następne dwa lata, wieszając się na co bogatszych „sponsorach”, ale jeszcze się nie prostytuowała. Była utrzymanką, ale nie dziwką.

– Jakby to robiło różnicę – mruknął Nataniel.

– Utrzymanka daje jednemu, dziwka każdemu – zauważył ostrym tonem Siergiej.

– Dlaczego tak jej bronisz?!

– A dlaczego ty ją atakujesz?

– Pytaj mnie jeszcze... To wy dwoje wbiliście nóż w plecy mnie i Marcie. Twojej ukochanej Marcie. Pamiętasz ją jeszcze?

Oczy Sodarowa pociemniały. Zacisnął szczęki. Przez chwilę wydawało się, że odwróci się na pięcie i odejdzie, o ile wcześniej nie przywali Natanielowi w zęby, ale zapanował nad gniewem. Bądź co bądź chłopak miał rację. Mimo to ostrzegł:

– Jeszcze jeden taki tekst, stary, i nie dowiesz się, jaki udział w twoim życiu miał Arkadiusz Szponder, a wierz mi: chcesz wiedzieć.

Nataniel uniósł dłonie w pojednawczym geście.

– Przepraszam, trudno mi tego słuchać. Dla ciebie Iwona była przelotną miłością, dla mnie całym życiem.

– Oliwią pocieszyłeś się dosyć szybko – zauważył złośliwie Sodarow, a Nataniel musiał przełknąć tę złośliwość, bo rzeczywiście niezbyt długo pozostał sam. – Wracając do Iwony: skakała z kwiatka na kwiatek, opuszczając kolejnych sponsorów, gdy tylko się jej nudzili, lecz któregoś dnia się zakochała. Zgadnij w kim? – Siergiej uniósł kącik ust w uśmiechu, a Nataniel... On domyślił się odpowiedzi.

Już miał rzec: „Oczywiście w Arkadiuszu Szponderze, moim ojcu”, gdy pewna myśl, pewne podejrzenie... ścięło mu po prostu krew w żyłach. Pobladł, jakby zaraz miał zemdleć.

Sodarow spojrział na niego ze współczuciem i pokiwał głową.

– Widzę, że dotarło... Tak. Iwona poznała twojego ojca, zakochała się w nim do szaleństwa, jak mi wyznała, mimo że facet był od niej starszy o dobre ćwierć wieku i... cóż... wpadła po raz drugi. Ale tym razem, choć najpierw próbował ją na skrobankę namówić, potem do niej zmusić, nie usunęła ciąży, o nie... Urodziła śliczną dziewczuszkę, Emilkę.

Nataniel podniósł się powoli, błagając Sodarowa, by ten zaprzeczył, jednak mężczyzna dodał głosem cichym, ale dobitnym:

– Emilka jest twoją siostrą, Nat.

Już raz Nataniel czuł się tak jak w tej chwili: gdy przeczytał list od ojca. Jakby cały świat nagle runął i rozsypał się w proch. Wszystko, co było stałe, wszystko, w co wierzył, do czego był przekonany, okazało się fałszem, prawdą ukrytą w nieprawdzie. Musiał przytrzymać się ściany, bo chora noga nagle się pod nim ugięła. Siergiej chwycił go za ramię, ale odtrącił mężczyznę z całych sił.

– Ej, chłopcze, jestem tylko posłańcem! Przykro mi, że piórę brudy twojej rodziny, lecz ktoś musi to zrobić. Z drugiej strony... jeśli spróbujesz znaleźć jasny punkt w tym wszystkim: nie jesteś już sam, Nat. Masz siostrę. Emilkę. Jest twoją najbliższą rodziną.

Młody mężczyzna spojrzał nań pociemniałymi z bólu oczami i powiedział cicho:

– Masz rację. Szkoda tylko, że dowiaduję się o tym od ciebie, a nie od Iwony.

– Bała się. Przecież gdy byliście razem, nie mogła się przyznać, że wcześniej... z twoim ojcem... Trusią byś ją poszczuł. A właśnie, co z twoim psakiem? Nie widziałem go od ładnych paru dni.

Nataniel poczuł, jak serce mu się ściska z żalu.

– Spłonęła. Zamknąłem ją w domu w tamtą noc, żeby nie zabłądziła, idąc za nami, i... spaliła się żywcem.

Sodarow spochmurniał.

– Szkoda zwierzaka. Jeszcze jedna niewinna ofiara tego skurwiela. Chciałbym dorwać Sidłę, gdy tylko wyjdzie z pierdła, i odpłacić mu za śmierć Marty, za twój dom, wreszcie za małą, biedną Trusię...

– Wypuścili go – wpadł mu w słowo Nataniel.

Siergiej poderwał głowę. Wbił pytające spojrzenie w twarz chłopaka.

– Był u mnie, to jest w miejscu, gdzie stał dom, jakieś dwie godziny temu.

Wypuścili go, bo nie on podpalił tę chatę.

– I ty mu uwierzyłeś?! – Siergiej gotów był teraz, w tej chwili biec do wsi, szukać Marka Sidły i spuścić mu łomot, gdy tylko go dopadnie.

– Sidło nie miał żadnego powodu, by spalić mi dom.

– No tak... Miłował cię jak brata...

– Szczerze nie cierpiał, z wzajemnością zresztą, ale nie aż tak, by ryzykować, że razem z domem spali mnie i dziecko. Nie jest bandytą, cokolwiek o nim sądzić.

– Jeśli nie on, to kto?!

– Aśka Jarząbek.

Siergiej oniemiał na moment.

– Dlaczego?!

– Odbiła jej palma na moim punkcie, a gdy raz dałem jej kosza, potem drugi, wreszcie zwymyślałem i kazałem się jej od...stosunkować, cóż... chora miłość przerodziła się we wściekłą nienawiść. Sidło natrafił na dziewczynę w lesie, gdy wracał z kłusowania. Biegła od strony mojego domu. Pochwaliła się, że podłożyła ogień. Marek kazał jej uciekać, a sam ruszył nam z pomocą. To jego słowa. Wyniósł ze środka Martę. Jeszcze wtedy żyła. Nic jej nie było. Zostawił ją w bezpiecznym miejscu i pobiegł ratować zwierzęta. Dzięki niemu Marta nie zginęła w płomieniach. Zmarła na serce. Nie spaliła się żywcem. – Dokończył rwącym się głosem.

Sodarow milczał długą chwilę, też walcząc ze łzami. Dopóki nie powracał wspomnieniem do tamtej nocy, mógł sobie roić, że Marta żyje. Czeka nań w dworku nad jeziorem. Wystarczy pobiec tam i znów poczuje ją w swoich ramionach, wtuli twarz we włosy ukochanej, przeciągnie dłońmi po jej karku, plecach... Poczuje żywe, spragnione miłości kobiece ciało. I zapach bzu, który kochał, bo kochała go ona...

– Wierzysz mu? – zapytał cicho, gdy już mógł wydobyć z krtani głos.

Nataniel wzruszył ramionami.

– Jakie ma znaczenie, czy mu wierzę czy nie? Marcie to życia nie wróci, mniejsza z tym, kto podłożył ogień.

– Sprawcę trzeba ukarać! Przyczynił się do jej śmierci!

– Ukaraniem Sidły czy Aśki, jeśli to rzeczywiście ona zrobiła, zajmie się sąd. Chociaż pewnie uznają ją za niepoczytalną i zamkną w szpitalu psychiatrycznym. Wyjdzie po paru miesiącach, czy nawet latach, i włos jej z głowy nie spadnie. Ani ja, ani ty nie mamy tu nic do powiedzenia. Nie dokonamy na niej samosądu. Prawda, Siergiej? Nie będziesz próbował się mścić na Jarząbkach?

– Zabili Martę – powtórzył z uporem Sodarow. – Oko za oko...

– Przestań pieprzyć takie banały, człowieku! Aśkę co najwyżej zamkną w szpitalu, ty trafiłbyś na parę lat do więzienia. A jesteś potrzebny. Tutaj. Nie zostawisz mnie z tym całym szambem? Przyjaciel by mi tego nie zrobił, a ponoć nazwałś mnie przyjacielem.

Sodarow niechętnie przyznał mu rację. Nie miał nic przeciwko przyjaźni z Natanielem Domoradzkim, ale z faktem, że Aśka Jarząbek prawdopodobnie uniknie kary, trudno się było pogodzić.

– Mów dalej – odezwał się chłopak. – O Iwonie. Rany boskie, spałem z dziewczyną mojego ojca! Matką mojej siostry! To jakieś cholerne kazirodztwo!

– Właśnie dlatego słówkiem o tym nie pisnęła. Pogoniłbyś ją, a ona szukała domu dla Emilki – skwitował jego wybuch Sodarow.

Trudno było zaprzeczyć tym słowom.

– Iwona popełniła w życiu parę grzechów, narobiła masę głupstw, ale swój rozum miała – ciągnął. – Wierzyła, że pokochasz Emilkę, a wtedy, bez względu na gorzką prawdę, nie odrzucisz dziewczynki. Nie oddasz do sierocińca. Nie będzie się pętała po obcych, bo... Bo taki jesteś, Nat. Masz dobre serce. Przygarniesz każdą sierotę losu.

– Dlaczego zabrzmiało to jak kpina, a nie komplement?

– Jesteś przewrażliwiony. Musiałem nieco się uśmiechnąć, żebyś nie popadł w narcyzm.

Chłopak skrzywił się.

– Taaa, bezdomny, bezrobotny, do tego kaleka, którego raz po raz laski w konia robią... Rzeczywiście mam powody do samouwielbienia.

– Teraz z kolei nie doceniasz swoich przymiotów. Jesteś inteligentny, nie poddajesz się przy byle niepowodzeniu. Dasz sobie radę i teraz. Postawisz nowy dom...

– Zapomnij! To miejsce było przeklęte. Tak mówiła Marta. Nawet gdybym uzbierał pieniądze na odbudowę, nie wróciłbym tam. Nie ma mowy! Mówiłeś, że Iwona... – Chciał zmienić temat, ale Siergiej spojrzał nagle ponad jego ramieniem i rzucił półgłosem:

– Nie teraz.

Nataniel odwrócił się. W drzwiach stajni stała Oliwia. Widząc dwóch mężczyzn, weszła do środka. Była blada, zeszczupiała przez te dwa tygodnie, ale mimo to wyglądała przepięknie. Jej jesienna uroda w połączeniu z porcelanową skórą mogła olśniewać. Gdyby miała kogo. Ani Nataniel, ani Siergiej nie byli jednak zainteresowani. Obaj patrzyli na dziewczynę wilkiem, mając świeżo w pamięci jej niedawny wybuch. Raniące słowa. Bezwzględny egoizm. Takie dziewczyny jak ona podziwiano się z daleka, na obrazku, z bliska czar pryskał, piękność ukazywała odstręczające wnętrze.

– Wracam do dworu. Podwiezie mnie któryś czy mam zasuwać taki kawał na piechotę? – odezwała się pełnym pretensji tonem.

– Nataniel cię odwiezie – odparł Siergiej, wyjął z kieszeni kluczyki i podał chłopakowi. – Wróc tutaj, Nat. Jeszcze nie skończyliśmy – dodał.

– Jasne.

Sodarow odprowadził wzrokiem dwoje młodych ludzi, którzy stanowiliby

piękną parę, gdyby jedno z nich nie było zbyt dobre, a drugie zbyt złe, żeby do siebie pasowali. Gdy zniknęli na zewnątrz i usłyszał warkot uruchomionego silnika, po raz drugi tego dnia wyciągnął telefon i wybrał ten sam numer co poprzednio.

– Masz coś dla mnie? – zapytał bez dłuższych wstępów, wysłuchał odpowiedzi, po czym odparł: – Chłopak musi mieć pieniądze już teraz. Został bez dachu nad głową, w tym, co miał na sobie w chwili pożaru. Dziewczynka jest w nie lepszej sytuacji. Ja nie mogę po prostu wcisnąć mu forsy do ręki, nie przyjmie jałmużny. Musi na siebie i dziecko zarobić. To honorowy drań, więc...? – Słuchał przez chwilę i rzekł w końcu: – To dobry pomysł. Zachęcę go, by sprawdził skrzynkę mailową. Ty do tego czasu przygotuj zapytanie ofertowe. Natusz będzie się musiał napracować, ale nie umrze z głodu i zarobi dwa tysiące na czynsz dla pewnej zimnej suki...

ROZDZIAŁ V



Siergiej sięgnął po łopatę i podjął przerwana przez Nataniela pracę. Chciał się tak zmęczyć fizycznie, potrzebował tego!, by nie myśleć... Trzymał się, udawał twardziela, ale w głębi duszy dławili go rozpacz i tęsknota za Martą. Ta pierwsza każdej nocy wyciskała mu z jedyne go oka łzy, a z gardła szloch, gdy – kryjąc twarz w poduszce – mógł sobie pozwolić na płacz. Na tę drugą nie było lekarstwa.

– Martuś... – wyszeptał, czując, jak w serce wgrzyza mu się ból nie do zniesienia. – Oddałbym wszystko, byś żyła. Tak strasznie żałuję, że wyrzuciłem ci tyle krzywd, że cię zdradziłem, zawiodłem, a po tym wszystkim uciekłem od ciebie... Zamiast cieszyć się twoją miłością i dawać ci swoją, straciłem podarowany nam czas. Tyle miesięcy, które mogliśmy spędzić razem, kochając się do utraty tchu... Przepieprzyłem je na wojnie... Zamiast być z tobą, *liubymyja moja*... – Potarł twarz dłońmi, by siłą powstrzymać łzy. Czyjeś kroki na podwórzu przed stajnią sprawiły, że poderwał głowę i ruszył w stronę drzwi.

Właśnie w nich stawał dawno nieoglądany w tych progach gość.

– Człowieku, jak ty wyglądasz?! – wyrwało się Siergiejowi na widok Mateusza, bo jego miał przed sobą.

Przez dwa tygodnie, które minęły od śmierci Marty, mężczyzna postarzał się o dziesięć lat. Miał szarą z wyczerpania i braku snu twarz, zapadnięte, przekrwione oczy, był zarośnięty niczym pustelnik i cuchnął, po prostu cuchnął potem, niemytym ciałem i wódką. Ubrany był w wymięte, brudne ciuchy, których nie zdejmował chyba od pogrzebu...

– Pożyczysz mi parę stów? – wychrypiał, nie siląc się na odpowiedź.

– Na wódkę? Żebym miał cię na sumieniu? Mowy nie ma! – Sodarow poczuł litość dla tego biedaka. On sam miał przynajmniej piękne wspomnienia, jego Marta zdążyła pokochać. Mateusz nie dostał od niej nic...

– Nie mogę spać. – Głos mężczyzny się załamał. – Ciągłe słyszę jej krzyk. Woła mnie, prosi o pomoc, a ja... Tamtej nocy, gdy umierała, spałem. Po prostu spałem jak zadowolony z życia wieprz. Ona, moja miłość, konała, a ja niczego nie wyczułem. A przecież powinienem był, skoro ją kochałem. No powiedz, Siergiej, powinienem był! – Z piersi wyrwał mu się łamiący serce szloch.

Sodarow pragnął objąć płaczącego mężczyznę, poklepać go po plecach, zapewnić... nie miał pojęcia o czym... że będzie dobrze? Że ból zelżeje i obaj powoli zapomną? Ale trwał bez najmniejszego ruchu, wiedząc, że Mateusz nie życzy sobie pocieszeń i uścisków. On potrzebował jednego i nie była to wódka.

– Poczekaj tu – rzucił Siergiej sucho, jakby tamten był w stanie dokądś odejść.

Szybkim krokiem ruszył do domu, wyciągnął z apteczki blister z pomarańczowymi tabletkami, które lekarz przepisał Oliwii, po czym wrócił do stajni.

– Bierz, dwie naraz. Popij. – Wcisnął Mateuszowi lek i butelkę z wodą. – Nie. Nie musisz wiedzieć, co to jest. Otruć cię nie otruję, spokojna głowa, nie stanowisz już dla mnie ani konkurencji, ani zagrożenia. Jedziemy na jednym wózku, stary. Oboje osieroceni przez doktor Kraszewską. Ja się trzymam, bo trzeba się zająć resztą sierot, córcią Marty, Natusiem – jej ulubieńcem, a teraz i tobą. Ty możesz się trochę porozklejać, ale przyjdzie dzień, że będziesz musiał wziąć się w garść, zapomnieć o wódce, wrócić do świata. Dlaczego? Bo masz dopiero... Ile ty właściwie masz lat? – Gadał tak i gadał, mając Mateusza na wyciągnięcie ramion, żeby w razie czego zdążył go pochwycić.

– Prawie pięćdziesiąt – wybełkotał mężczyzna, bo lek nasenny, który już zaczynał działać, splątał mu język. – Co mi podałeś?

– Coś lepszego niż alkohol. Przejdźmy do domu, dopóki możesz chodzić... – Nie dokończył zdania.

Nogi się pod Mateuszem ugięły i gdyby Sodarow nie był na to przygotowany, mężczyzna runąłby na ziemię.

Pochwycony wpół, wspierając się całym ciałem na ramieniu Siergieja, zdołał dotrzeć do domu i paść na łóżko. Chwilę później zasnął snem bez snów, czego wyczerpany do cna organizm domagał się od wielu dni.

Sodarow pokręcił głową.

– Dobrze, że wybrałaś się tu na piechotę, stary draniu. Samochodem mógłbyś siebie albo kogoś po drodze zabić. No, dawaj te buciory, już mniejsza o pościel, i tak cała pójdzie do prania, ale wygodniej ci będzie bez nich. – Ściągnął śpiącemu mężczyźnie cuchnące jak cała reszta półbuty, w których Mateusz był na pogrzebie, po czym nakrył go kołdrą, zaciągnął story i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Gdyby ktoś w tej chwili powiedział Siergiejowi, że zachował się jak prawdziwy przyjaciel, najlepszy na świecie, on uśmiechnąłby się krzywo albo wzruszyłby ramionami. Sam przed sobą by nie przyznał, że w głębi swej czarnej duszy jest tak naprawdę dobrym człowiekiem. Prawdziwie dobrym.

Nataniel wrócił na ranczo Sodarowa chwilę po tym, jak ten potraktował Mateusza silnym lekiem nasennym, i właśnie szedł do stajni, by dokończyć robotę.

– Dobrze, że jesteś z powrotem – odezwał się Sodarow na widok chłopaka. – Mam dla ciebie pilne zajęcie.

– Myślałem, że dokończysz historię Iwony...

– Najtrudniejsze za nami. Zniosłeś te rewelacje po męsku. Resztę ona sama ci opowie, gdy tylko się spotkacie, a przecież pojedziesz do niej do szpitala, no nie? Nie zostawisz jej?

Młody mężczyzna pokręcił głową. Wprawdzie od czasu pożaru i śmierci Marty aż do dziś nie poświęcił Iwonie nawet jednej myśli, ale widać

przeszość upominała się o nich wszystkich i trzeba było powrócić do świata sprzed tragedii.

– Jest tu Mateusz. – Siergiej wskazał za siebie. Nataniel uniósł brwi zaskoczony. – W strasznym stanie, dodam.

Chłopak otworzył drzwi, zajrzał do sypialni i zaniemówił na widok zarośniętego, cuchnącego mężczyzny, który mógł konkurować o tytuł najbardziej zapuszczzonego bradiagi z bezdomnymi z Dworca Centralnego...

Sodarow wyciągnął chłopaka z powrotem na korytarz i zamknął drzwi.

– Sorry, ale cenię sobie w domu miłsze aromaty. Widzisz, jak jest. Ten stary dureń przyszedł paręnaście minut temu prosić o pieniądze na wódę. Zamiast tego dałem mu tabletki na sen i ścięło go niemal natychmiast.

– To dobrze...

– Pewnie, że dobrze. Zobaczysz dokładniej, do jakiego stanu się doprowadził, gdy odeśpi ostatnie dwa tygodnie. Ale zanim on się ocknie, trzeba zajrzeć do leśniczówki, zobaczyć, czy ta rudera jeszcze stoi, bo może ją sfajczył albo sama się rozpadła, i... cóż, ogarnąć chlew, jaki zastaniesz w środku. Sam bym się tym zajął, ale tutaj mam pilniejszą robotę. Konie zaniebduję przez naszą księżniczkę od dobrych paru dni.

– Nie ma sprawy, zaraz tam pójde.

– Pojedziesz. Samochód nie jest mi na razie potrzebny, a szkoda czasu na włączęgi po lasach.

Suzuki Nataniela ocalał tylko dlatego, że tamtej nocy, nie chcąc męczyć Emilki długimi spacerami, pojechał nim do Zosi. Gdyby zostawił samochód na podwórzu, też by go pewnie stracił. Teraz oddał go Micińskim, które opiekowały się dzieckiem. Ich auto stało w warsztacie i nie wiadomo było, kiedy mechanik w końcu je naprawi.

Nataniel już wsiadał do samochodu, gdy Sodarow zawołał jeszcze:

– Aha, sprawdź pocztę. Zosia przesłała ci zdjęcie Emilki, jak mała karmi

kury.

Było to wierutne kłamstwo, ale w żaden inny sposób bez wzbudzenia podejrzeń Siergiej nie mógł zmusić chłopaka do odebrania wiadomości. Szczególnie tej z zapytaniem ofertowym od pewnej firmy. Było to coś, co – Siergiej nie miał wątpliwości – postawi Nataniela na nogi. Zarówno finansowo, jak i psychicznie. I chłopak już nie będzie myślał o ucieczkach i zostawianiu Emilki u obcych...

Wystarczyło teraz wysłać Zosi esemesa z prośbą o zdjęcie dziewczynki, koniecznie jak mała karmi drób, i... zadowolony z siebie Siergiej mógł zająć się końmi. Tego dnia nic więcej dla nikogo nie mógł zrobić. Limit dobrych uczynków wyczerpał.

Leśniczówka stała pośrodku polany niczym zadumana starsza pani, jakby czas się tu zatrzymał. To miejsce nie zmieniło się ani odrobinę, zupełnie jakby gdzieś w dalekim świecie nie umierali kochani ludzie, inni nie chcieli porzucić wszystkiego i wędrować gdzie oczy poniosą, niektórzy nie okazywali się jeszcze bardziej podli i wyrachowani niż parę miesięcy wcześniej, zaś ci, po których spodziewałaś się najgorszego, nie odkrywali swej najlepszej, najbardziej ludzkiej części.

Było tu tak samo cicho i pięknie jak za życia Marty. Jakby jej śmierć niczego nie zmieniła. Ale tylko na zewnątrz. W środku zaś... Nataniel aż jęknął. Słowo „chlew” było doprawdy zbyt delikatne... Reksio, wychudzony, o sierści skołtunionej i brudnej, rzucił się na chłopaka z niemal ludzkim zawodem, gdy ten tylko przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. I omal się nie przewrócił od straszliwego odoru, który buchnął mu w twarz. Pies musiał być tu zamknięty od kilku dni, niewypuszczany nawet za potrzebą...

– Mateusz, oszalałeś? – wyszeptał Nataniel, wstrząśnięty. – Wiem, że odejście Marty kompletnie cię załamało, ale miałbyś litość chociaż dla zwierzaka!

I od tego zwierzaka Nataniel zaczął „ogarnianie chaosu”. Zaprowadził psa

pod hydrant, wykopał go porządnie, tak jak Mateusz swego czasu czynił co miesiąc, przed każdą wizytą u ociemniałych dzieci. Psiak nie posiadał się z radości, znów mając kogoś, kto się o niego troszczy.

Po kąpeli razem przeszli do pomieszczenia przy obórcie, gdzie Nataniel nagotował psu kaszy z mięsem. Ostatnią puszkę znalazł w pobojuwisku, które kiedyś było piękną, lśniąca czystością kuchnią, teraz zaś lepilo się od brudu, rozlanej wódki i psich odchodów. Sprzęty były zdemolowane przez psa, który zbyt długo pozostawał w zamknięciu.

Nataniel, nakarmiwszy zwierzę, wziął się do sprzątanía. Dwie godziny później kuchnia zaczęła przypominać tę sprzed paru tygodni, chłopak mógł usiąść na progu domu, złapać oddech, napić się wody z hydrantu, a potem...

„Jak Ci się podoba nasza mała rolniczka?” – przyszedł wesoły esemes od Zosi, którą Siergiej wtajemniczył w uknuty przez siebie spisek.

No tak! Zosia przesłała mailem zdjęcie Emilki! Nataniel zapomniał o tym na śmierć, w momencie gdy zajrzał do wnętrza leśniczówki. Teraz wstał, wrócił do środka i starając się nie potykać o graty rozrzucone po salonie i nie oddychać zbyt głęboko, bo tutaj nie zdążył jeszcze sprzątnąć i odór był trudny do zniesienia, podszedł do stołu, na którym stał komputer. Uruchomił go, dziękując w głębi ducha Reksiowi, że ten z nudów nie przegryzł kabla.

Zalogował się do poczty i westchnął tylko. Wiadomości oraz spamu było co niemiara. Choćby dzisiaj przyszło ich osiem. Najnowsza od Zosi, z załącznikiem, ale to następna przyciągnęła uwagę Nataniela. Znał firmę, która ją przysłała: była to największa prywatna sieć sklepów spożywczych. „Lubaszka”. Tak uroczu nazwali ją właściciele. Sklepy i sklepiki spod szyldu wesołej żółtej śliweczki można było znaleźć jak Polska długa i szeroka w każdym mieście i miéscinie, na wielu wsiach też. I ten oto potentat przysyła do Nataniela maila zatytułowanego „Zapytanie ofertowe”?!

Wstrzymując oddech, otworzył wiadomość, przeleciał wzrokiem i... oniemiał. Jemu, Natanielowi Domoradzkiemu, proponowano opracowanie nowego logo dla firmy i wykonanie strony internetowej wraz ze sklepem

online. Wartość zamówienia oszacowano na osiemnaście tysięcy złotych i taką właśnie składano mu ofertę. Z zaliczką, płatną zaraz po podpisaniu umowy, która wystarczy na opłacenie czynszu za dwór przez pół roku!

Przeczytał wiadomość ponownie, jeszcze nie wierząc w swoje szczęście. Jeszcze podejrzewając głupi żart, ale... porównał adres, z którego ją przysłało, z adresem biura „Lubaszki” i wyzbył się wątpliwości. Nie wahając się ani chwili dłużej, napisał odpowiedź, że przyjmuje ofertę z radością, dziękuje za takie wyróżnienie, gotów jest podpisać umowę natychmiast i zasiadać do pracy, wysłał, a potem czekał ponad kwadrans z głośno bijącym sercem, wpatrując się w ekran. Już miał się poddać i wrócić do pracy, bo z podekscytowania nie mógł usiedzieć na miejscu, gdy... przyszła odpowiedź, że cieszą się z przyszłej współpracy, załączają projekt umowy, i jeśli on, Nataniel, nie ma uwag, może ją wydrukować, podpisać i przysłać kurierem. Pieniądze będą na jego koncie pod koniec tygodnia.

– Tak! Tak! Tak! – krzyknął, wyrzucając w górę pięści w geście zwycięstwa.

Reksio, który przyczłapał w międzyczasie do domu, rozszczękał się, nie bardzo wiedząc, czy chłopak krzyczy z radości czy wręcz przeciwnie.

Nataniel poderwał się, objął psa z całych sił, a potem ucałował czarny, zimny psi nos.

– Jesteśmy uratowani – wyszeptał. – Ja, Emilka, nawet ty, kudłaczu. Kupię ci kilo kurzych podrobów i ugotuję taki obiad, Reksiu, taki obiad...!

Najpierw jednak musiał dokończyć porządki w leśniczówce.

Późnym wieczorem, zupełnie wyprany z sił, Nataniel przeszedł się po wszystkich pomieszczeniach, wysprzątanym na błysk, wywietrzonych porządnie, w których na powrót można było mieszkać, i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku usiadł do komputera.

Obejrzał zdjęcie Emilki, podziękował Zosi za jego przysłanie, a potem przejrzał resztę nieodebranych wiadomości, odsiewając ziarna od plew, czyli

spamu. Kilka dotyczyło zaczętych i przerwanych przez pożar projektów – Nataniel musi jak najszybciej zdobyć nowy laptop!, to pierwsze, na co wyda część zaliczki od „Lubaszki”! – ale jedna z wiadomości ponownie przyciągnęła uwagę chłopaka. Pisał do niego jakiś Amerykanin z prośbą o więcej ilustracji.

Ilustracji?

Przez ostatnie miesiące Natanielowi weszło w zwyczaj opowiadanie Emilce bajki na dobranoc. Były to niekończące się przygody paczki przyjaciół-zwierzaków, które poszukiwały zaginionego Dziecka. Kim było owo tajemnicze, bezimienne Dziecko, Nataniel nie miał jeszcze pojęcia, historia dopiero się wykluwała, Emilka słuchała jej z wypiekami na buzi, a potem całymi dniami rysowała bohaterów tej opowieści. Natanielowi bardzo się jej rysowanie spodobało i sam zaczął ilustrować swoją historię uroczymi scenkami z poszukiwań zaginionego Dziecka. Pręgowany kocurek w stroju muszkietera, wiewiórka w różowej sukience, z przekorną bandanką na szyi, szczurek i nietoperz – dwa czarne charaktery, stojące bohaterom na przeszkodzie... Szkicowanie tych postaci, nadawanie im życia sprawiało Natanielowi czystą, dziecięcą niemal radość. A zachwyty Emilki, która pokochała jego ilustracje na równi z opowieściami – jeszcze większą.

Wrzucał urocze, pełne życia szkice na Pinterest, żeby nie zginęły w razie awarii komputera, i... śmierć Marty odebrała Natanielowi także tę radość. Porzucił paczkę wesołych zwierzaków, mając w sercu miejsce jedynie dla smutku i rozpacz. Ale zwierzaki nie dały o sobie zapomnieć! Oto spodobały się amerykańskiemu wydawcy – tego dowiedział się Nataniel z maila – i ten prosił o więcej ilustracji, jeśli jeszcze jakieś powstały. Wyrażał ostrożny zachwyty tymi, które znalazł na Pinterescie, a na koniec pytał, czy Nataniel jest ich twórcą i czy publikował swoje prace gdzieś jeszcze.

Na ten mail chłopak również odpowiedział natychmiast. Przysłano go dziesięć dni temu, już dawno wypadało napisać parę zdań, że – owszem – Nataniel osobiście stworzył te postaci, ilustracje są jego autorstwa i nie były publikowane nigdzie poza Pinterestem. Wysłał wiadomość, odetchnął

głęboko i wyłączył komputer. Na dzisiaj miał dość. I wrażeń, i pracy. Pora wracać... No właśnie, dokąd?

Jeszcze wczoraj nocował w dworku Marty. Dziś te drzwi były dla niego zamknięte. Nie chciał spędzić w towarzystwie Oliwii Kraszewskiej ani chwili dłużej niż to konieczne. Depresja po śmierci matki nie zmieniła charakteru tej dziewczyny ani na jotę. Zdążyła się z owej depresji otrząsnąć, bo dzisiejszego ranka, zaraz po przyjeździe do dworu zajęła się sortowaniem rzeczy na sprzedaż i tych, które nie przyniosą zysku.

Nataniel patrzył na to niemal ze zgrozą. Może tak Oliwia radziła sobie z rozpaczą – on sam, bądź co bądź, zabrał się do sprzątanania końskich boksów – a może zupełnie nic już nie czuła?

– Poradzisz sobie? – zapytał *pro forma*.

– A wzruszyłoby cię, gdybym zaprzeczyła? – odparła złośliwym pytaniem. – Jedź już, skoro tak ci spieszo. Lekareczka cię pocieszy.

Aż zgrzytnął zębami. Bez pożegnania wypadł z domu, wsiadł do samochodu i ruszył, buksując kołami. W lesie musiał się zatrzymać, by uspokoić myśli i oddech.

– Byłaś podła, jesteś podła i będziesz podła – odezwał się pod adresem Oliwii. – Śmierć matki obeszła cię tylko dlatego, że źródło pieniędzy nagle wyschło, ale gdy znów zaczniesz ciurkać, zapomnisz o niej. My o Marcie będziemy pamiętać, będziemy po niej rozpaczać i wspominać ją jeszcze długo po tym, jak ty o niej zapomnisz. Krzyżyk na nową drogę życia, Oliwio Kraszewska. Mam nadzieję, że trafisz na bogatego sponsora...

Już spokojny wrócił na ranczo, gdzie oczekiwał go Sodarow, ale zanim zdążył zamienić z nim parę słów, ten wysłał go do leśniczówki.

– I dobrze zrobiłeś, draniu! Jestem ci za to szczerze wdzięczny! – wykrzyknął, jadąc teraz samochodem z powrotem na ranczo. Może nie rzuci się Siergiejowi z tej wdzięczności na szyję, ale na pewno podziękuje mu, również w imieniu Mateusza. Mateusz ma wysprzątaną dom, a on, Nataniel,

zlecenie od „Lubaszki”, które po prostu spadło mu z nieba i... być może ciekawą propozycję od amerykańskiego wydawcy. Alleluja! Emilciu, jesteście uratowani!

Chwilę później z błyszczącymi radością i podnieceniem oczami dzielił się tą informacją z Sodarowem. Ten oczywiście słowem się nie zająknął, że zlecenie od „Lubaszki” wymógł na dawnym kumplu, winnym mu przysługę. Ów kumpel nowego logo i strony internetowej pewnie nie potrzebował, ale że zawsze spłacał swoje długi...

– Mateusz śpi? – zapytał Nataniel na koniec, gdy euforia opadła, a zastąpiło ją zdrowe fizyczne zmęczenie.

– Śpi. I jeszcze trochę to potrwa. Był naprawdę u progu śmiertelnego wyczerpania, a lek silny, myślę więc, że do rana będę miał go z głowy. Potem muszę porządnie drania nakarmić i napoić zdrowym wiejskim mlekiem, wymogę na nim, żeby się wykąpał i ogolił, przebrał w moje ciuchy i... cóż... wypuszczę, żeby znów mógł się umartwiać. Do niczego więcej nie będę w stanie go nakłonić.

– On musi odnaleźć cel w życiu – odezwał się chłopak zmartwionym tonem. Nie chciał patrzeć, jak jego serdeczny przyjaciel zapija się na śmierć. – Może... – Urwał, by uchwycić ulotną myśl, która przyszła mu do głowy. Miała związek z wykąpanym, pachnącym Reksiem, który siedział teraz grzecznie na tylnym siedzeniu SUV-a. – Może te dzieci choć trochę Mateusza pocieszą?

– Jakie dzieci? – zapytał Sodarow bez zainteresowania. Sam był równie zmęczony jak Nataniel, ale na pewno mniej niż śpiący w gościnnej sypialni Mateusz.

– Niewidome dzieci, które razem z Reksiem raz w miesiącu odwiedzał. Cieszyły go te spotkania. Może... – Zawiesił głos. Nie z Siergiejem powinien o tym rozmawiać, a z Mateuszem.

– Na razie nadaje się on li tylko na izbę wytrzeźwień, a nie do spotkań z dziećmi – odezwał się Sodarow ostrym tonem. – Na widok cuchnącego

oberwańca powyskakiwałyby z okiem.

– Nie widzą – przypomniał Nataniel. – Są ociemniałe.

– Ale węch mają dobry. Postawimy go na nogi, a potem rób, co chcesz. Możesz go wozić do tych dzieciaków. Pożyczę ci samochód.

Nataniel przyjrzał się mężczyźnie nieco uważniej. Było to li tylko rozdrażnienie, typowe dla zmęczonego człowieka, czy coś jeszcze?

– Przypominam ci, Nat, że masz na głowie Emilkę, szukanie dachu nad głową, odrobienie zaległości w pracy, również Iwoną musisz się zająć. Ja za ciebie tego nie zrobię. Naprawdę daruj sobie, przynajmniej w najbliższej przyszłości, dopóki nie ogarniesz najpilniejszych spraw, zbawianie Mateusza Józwicka. Jest dorosłym facetem. Sam powinien o siebie zadbać, bo w przeciwieństwie do ciebie ma tylko ten jeden obowiązek: żyć jak dawniej.

– Jego życie skończyło się wraz ze śmiercią Marty – odrzekł chłopak zduszonym głosem. Cała wdzięczność, jaką żywił do Sodarowa jeszcze chwilę wcześniej, ustąpiła miejsca wściekłości i rozczarowaniu. Wydawał się tak troskliwy i współczujący, gdy przyjmował Mateusza pod swój dach. Z tej troski i współczucia zostało dokładnie tyle, co z wdzięczności Nataniela.

– Będzie musiał się z tym pogodzić – uciął zimno Sodarow. – Ja też ją straciłem. Też po niej rozpaczam. Ale nie zapijam się na śmierć, bo mam pewne zobowiązania.

– Mateusz nie ma żadnych – zauważył cicho Nataniel. – Jego śmierć nikogo oprócz mnie by nie obeszła. Nikt by po nim nie rozpaczał. On ma tego straszliwą świadomość. Stracił coś więcej niż ukochaną kobietę. Nie ma po co i dla kogo żyć. Okaż mu choć odrobinę zrozumienia.

– Okażę, jeśli on okaże choć odrobinę zainteresowania życiem mimo wszystko – uciął Sodarow. – Pójdiesz wreszcie w cholerę? Późno jest, a ja mam dosyć na dzisiaj zbawiania przyjaciół i rozmów na tematy egzystencjalne.

Potraktowanemu takimi słowami Natanielowi nie pozostało nic innego,

niż życzyć Siergiejowi dobrej nocy.

– Tylko go nie uduś poduszką – nie mógł się powstrzymać od ostatniej uwagi.

– A ty pilnuj tyłów, żeby cię w tym lesie nikt nie zgwałcił, chłopaczku – odgryzł się mężczyzna.

Nataniel tylko zgrzytnął zębami ze złości i ruszył w noc.

– Nat! – zatrzymało go po kilku krokach wołanie tamtego. – Ty masz w ogóle gdzie przenocować?

– Pieprz się! Nie twój biznes! – odkrzyknął chłopak z wściekłością.

W odpowiedzi dobiegł go szyderczy śmiech. I to by było na tyle, jeśli chodzi o przyjaźń z Siergiejem Sodarowem...

ROZDZIAŁ VI



Garaz za bramą rancza Nataniel musiał się zatrzymać. Dokąd teraz? Miał trzy możliwości: poprosić o nocleg Zosię Micińską, pokornie wrócić do dworku i przeprosić się z Oliwią albo... przecież leśniczówka stała pusta! Nadal unosiły się tam resztki odoru, którym przesiąkły ściany, ale przy otwartych oknach można w niej spokojnie przespać tę noc, a pewnie i następną. I jeszcze jedną, dopóki Oliwia nie wyjedzie, oddając mu w najem dworek.

Już miał skierować się z powrotem do domu Mateusza, gdy nagle zapragnął przytulić... Emilkę. Swoją małą siostrzyczkę, jeśli wierzyć słowom Iwony i Siergieja. A czy tych dwoje mogło łączyć w sprawie tak ważnej nie tylko dla Nataniela, ale przede wszystkim dla pięcioletniej dziewczynki?

Poczuł ciepło w sercu na wspomnienie uśmiechniętej dziecięcej buzi i błyszczących, czarnych niczym węgielki oczu. Idąc szybkim krokiem w stronę jeziora, które musiał obejść, by trafić do Micińskich, przypominał sobie wigilijną noc, w którą mała Królowna Śnieżka, w swym białym kożuszku i takiejż czapeczce, weszła do jego domu i... już została.

Była promyczkiem słońca przez wszystkie te, czasem trudne, nieznośnie trudne, dni. Dziś to słońeczko nieco przygasło, posmutniało, bo też świat wokół dziecka pogrzyżył się w rozpacz, zniknął niemal zupełnie wujek Nataniel, odeszła – i już nigdy nie wróci! – ciocia Marta, mama też dawno temu przepadła i Emilka czasem popłakiwała z tęsknoty za nią, ale czas leczy rany, a dzieci szybko odnajdują w sobie radość, jeśli czują się kochane i bezpieczne. Emilkę kochano, zaś poczucie bezpieczeństwa wróci, gdy tylko Nataniel znajdzie dla siebie i dziecka nowy dom.

Dziecko... To słowo niosło zarówno radość, jak i ból. Radość, bo miał

Emilkę, ból, bo stracił swoje własne, nienarodzone maleństwo. Bez zgody Nataniela, nawet bez powiadomienia go o swoim zamiarze, Oliwia usunęła ciążę, zabiła maleństwo, które mogło przecież żyć. Byłoby kochane tak jak Emilka. Jeśli nie przez matkę, to przez ojca. Wyobraźnia podsunęła Natanielowi obraz maleńkich paluszków zaciskających się na jego dłoni i poczuł nieznośny żal w sercu. Naprawdę pokochałby to małe, gdyby tylko miało szansę się urodzić...

Los – w tym przypadku rękami matki – odbiera, ale i obdarowuje. Nataniel stracił własne dziecko, ale zyskał siostrę. Życie jest doprawdy pełne niespodzianek. Gdy myślisz, że już niczym cię nie zaskoczy, że przeżyłeś chyba wszystko, ono wyciąga z zanadru coś nieoczekiwanego, czego nigdy byś się nie spodziewał. Mała Emilka Bugaj siostrą Nataniela! Niesamowite! On, od śmierci mamy samotny, nagle zyskał rodzinę! Bo przecież Iwona staje się dla niego kimś na kształt macochy! Kimś, kto ma własną siostrę i rodziców! Oni oczywiście nie od razu pokochają Nataniela, nie będą go pewnie chcieli znać – był bratem bękarta, którego powiła wyklęta przez nich córka, ale... czas przecież leczy rany, zasypuje najgłębsze nawet przepaści. Miną lata, Emilka wyrośnie na śliczną, mądrą dziewczynę – którzy dziadkowie nie byliby dumni z takiej wnuczki?! Pozostało z nadzieją patrzeć w przyszłość i czynić wszystko, by wyglądała właśnie tak, jak sobie wymarzył: rodzina, rodzina, rodzina...

Cicho zapukał do drzwi domu Micińskich. Było późno. Na parterze, który zajmowała niepełnosprawna mama Zosi, panowały ciemności. Na piętrze paliła się lampka nocna. Starszy doktor kilka dni temu przekazał siostrzenicy lecznicę i przeniósł się do miasta, a zajmowaną niegdyś przez niego część niewielkiego domu przeznaczono teraz na pokoje gościnne, które Micińskie zamierzały w lecie podnajmować wczasowiczom. Senna była biedną wsią, jak wszystkie okoliczne, trudno było weterynarzowi wyżyć jedynie z opieki nad zwierzętami, Zosia i jej mama musiały szukać dodatkowych pieniędzy...

Dziś jeden z niewielkich, ale przytulnych pokoików zajmowała Emilka. Pewnie któraś z kobiet czytała jej teraz bajkę do snu. Nataniel wahał się

jeszcze przez chwilę, czy wolno mu zakłócać wieczorny spokój tego domu.

Już chciał się cofnąć, zniknąć w mroku nocy, gdy w tym momencie drzwi uchyliły się i stanęła w nich młoda pani doktor.

– Jesteś... – Uśmiechnęła się serdecznie do chłopaka. – Czekałyśmy na ciebie. Zawsze przychodziłeś, by utulić Emilkę do snu. Tym razem miała jednak tyle wrażeń w ciągu dnia, że odpadła wcześniej. Wejdz, zrobię ci herbaty, mama upiekła ciasto. Szarlotkę z bezą, przypominam, że za nią przepadasz!

– Przepraszam, że tak późno – odezwał się półgłosem. – Mieliśmy na ranczo mały problem... Potem w leśniczówce...

– Kładę się spać po północy. Wejdz, opowiesz mi wszystko. Jeśli oczywiście zechcesz.

Nie potrafił się oprzeć łagodności w jej głosie i życzliwości w uśmiechu. Chwilę później siedział w jasnej, pachnącej pieczonymi jabłkami kuchni, z kubkiem aromatycznej herbaty w dłoniach i talerzykiem z szarlotką przed sobą. Gdy skosztował ciasta i upił łyk napoju, odetchnął głęboko, czując przemożne zmęczenie tym długim, pełnym sprzecznych emocji dniem i radość, że dobiegał on szczęśliwego końca w tak miłym towarzystwie.

– Mateusz nie może się pogodzić ze śmiercią Marty – zaczął cicho.

Zosia oparła brodę na splecionych dłoniach i słuchała uważnie.

– Stan, do jakiego doprowadził dom i w jakim przyszedł dziś do Sodarowa... Brak słów. Boję się, że nie jest to li tylko depresja po śmierci ukochanej kobiety, Mateusz po prostu się poddał. On chce umrzeć.

Zosia słuchała bez słowa. Kto inny wtrąciłby w tym momencie: „Nie mów tak, ludzie rozpaczają po czyjejś śmierci, ale życie toczy się dalej”, ale nie ona. Nataniel nie potrzebował truizmów, lecz wysłuchania.

– Nie wiem, jak mu pomóc, bo prawdę mówiąc, sam ledwo się trzymam. Dziś rano... – Urwał, by zapanować nad smutkiem, jaki w tej chwili powrócił. – Ja też chciałem się poddać. Poprosić, byś zajęła się dzieckiem,

i po prostu odejść. Uciec. Wydam ci się pewnie niepoważnym, niedojrzałym mięczakiem, ale...

– Proszę, Nat, nie zgaduj, co w tej chwili myślę – przerwała mu. – Nie przyszło mi do głowy, by cię potępiać czy oceniać. Martwię się o Mateusza. I o to, że ty nie masz gdzie się podziać. Gdy opowiadałeś, przed tym wszystkim, o swoim domu, o chacie nad jeziorem, o tym, jak Marta z Mateuszem pomogli ci ją zdobyć, jak dzięki nim odnalazłeś swoje miejsce na ziemi, przyjaciół, może nawet miłość... oczy błyszczały ci szczęściem, dumą, po prostu radością życia. Dom spłonął, płomień w twoich oczach zgasł. Jak mogłabym uznać, że jesteś mięczakiem!? Nie wiem, czy istnieje większa strata, oprócz śmierci tych, których kochamy, jak widok doszczętnie spalonego domu. Pamiątek, rzeczy osobistych, zdjęć. Nawet albumu rodzinnego nie zdołałeś ocalić. Nikt, choćby najgorszy wróg nie śmiałyby cię potępiać za chwilę słabości, którą dziś miałeś. Owszem, może i chciałeś odejść, ale jesteś tu przecież, jak co wieczór, powiedzieć małej dziewczynce, z którą nie łączy cię właściwie nic, że nie została sama. Że ma ciebie i wrócisz jutro.

Uśmiechnął się z wdzięcznością. Sięgnął przez stół, ujął dłoń dziewczyny i uścisnął.

– Musiałeś bardzo kochać Iwonę, że tak bez wahania zaopiekowałeś się jej córeczką. Nie każdy zdobyłby się na takie poświęcenie...

Nataniel zarumienił się, mając w głębi duszy nadzieję, że Zosia zdradliwego rumieńca nie dostrzeże. Czy to, co czuł przez kilka pięknych miesięcy, można było nazwać miłością? Dzisiaj, z perspektywy czasu nie użyłby tak wielkich słów.

– Wtedy, gdy ją poznałem, wydawało mi się, że tak. Że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, ale dziś wiem, że bliżej temu było do obłędu niż do miłości. Oszalałem na punkcie tej dziewczyny i wcale nie jestem z tego dumny.

– Czemu?! – wykrzyknęła Zosia zdumiona. – Oszaleć z miłości... to

fantastyczne!

– O ile nie robi się takich kretyństw jak ja wtedy. Iwona... jej było daleko do jakichkolwiek wzniosłych uczuć. Grała zakochaną, by wykorzystać moje zaślepienie. I naiwność. Tymczasem za moimi plecami... – Urwał. Pokręcił głową. – Obłąd, w który popadłem, tłumaczę dziś sobie tym, że dzięki niemu na kilka miesięcy ta cholera odpuściła. – Z lekkim skrzywieniem ust klepnął chorą nogę.

Lekarka kilka razy widziała, jak Nataniel zaciska zęby z bólu i blednie, ale uznała, że nie ma prawa zadawać pytań. Nataniel kiedyś sam jej opowie o swoim cierpieniu i jego przyczynie.

– Bardzo boli? – odważyła się zapytać w tej chwili.

– Teraz nie. Ale bywa, że gotów jestem chwycić siekierę i odrąbać sobie nogę.

– W skali od jednego do dziesięciu?

Uśmiechnął się krzywo.

– Jedenaście.

Patrzyła nań przez długą chwilę, lekko mrużąc oczy. Znali się dość krótko. Właściwie bardzo krótko. Mimo całej sympatii, którą darzyła Nataniela – i mimo sympatii, jaką on czuł do niej, przynajmniej miała nadzieję, że chłopak ją lubi – wahała się z zaproponowaniem pomocy. A mogła pomóc. Tak. Było bardzo prawdopodobne, że potrafi Natanielowi przynieść ulgę w cierpieniu. Lecz jeszcze nie dziś. Była na to zbyt nieśmiała. Może... kiedy indziej. Za kilka dni czy tygodni, gdy Nataniel pozna ją, Zosię, na tyle, by nie doszukać się w jej propozycji dwuznaczności...

– Skoro więc jej nie kochałeś, dlaczego przyjąłeś nieznajome dziecko pod swój dach? Wiem, że masz dobre serce, ale to naprawdę więcej niż zwykła ludzka życzliwość.

– Nie dostałem wyboru. Emilkę przywiozła jej ciocia, wypakowała z samochodu pod moim domem, życzyła wesołych świąt i odjechała czym

prędzej, z obawy, że mogę dziecka nie przyjąć. Była to jednak najczarniejsza Wigilia w moim życiu. Pierwsza po śmierci mamy. Nigdy wcześniej nie czułem się tak samotny. To dziecko było mi potrzebne tak samo jak ja jemu. Potem dom zaroił się od ludzi. Przylecieli z Irlandii Marta z Mateuszem. Dołączyła Oliwia, o której myślałem przez ostatnich sześć lat. Najgorsza Wigilia w życiu zmieniła się w jedną z najradośniejszych.

– Marzyłeś o Oliwii sześć lat? Mam nadzieję, że ona równie długo marzyła o tobie. Nie chcę słyszeć, że to też była nieszczęśliwa miłość.

Nataniel zaśmiał się krótko.

– Myślałem, tylko o niej myślałem. Spotkałem ją w dniu wypadku. W górach. Przez sześć lat wyrzucałem sobie, że gdyby nie błąd, jaki popełniłem, próbując uratować jej chłopaka, tamten by żył. Okazało się, że dzieciak wrócił do schroniska o własnych siłach, ja ryzykowałem życie bez potrzeby i wyrzuty sumienia też nie miały podstaw. Pojawienie się Oliwii zdjęło mi z serca ogromny ciężar i za to jestem jej wdzięczny. Tylko wdzięczny. – Głos mu stwardniał.

Wspomnienie słów, jakimi Oliwia potraktowała go parę tygodni temu, gdy przyjechała specjalnie po to, by mu wyjawić „radosną” nowinę... i tego, co powiedziała dziś rano... co zrobiła jego nienarodzonemu dziecku, ich dziecku!, sprawiło, że musiał zacisnąć zęby, by nie wyrzucić z siebie paru gorzkich słów na jej temat.

– Dziś był dzień pełen niespodzianek – zmienił temat. – Dobrych i złych. Dobrą jest ta, że mogę wynająć od Oliwii dworek. Druga jest jeszcze bardziej niesamowita: poznałem pilnie strzeżony sekret Iwony. Zawsze powtarzała, że trafiła do Sennej, a potem pod mój dach przez przypadek. Ot, wysiadła w lesie, przypadkiem skręciła nie w tę drogę, co trzeba... Sodarow wyjawiał mi, że Iwona dokładnie wiedziała, dokąd zdąży, kogo szuka i ma nadzieję znaleźć. Widzisz... trochę niezręcznie mi o tym opowiadać... Kilka lat temu związała się z moim ojcem...

Zosia spojrzała nań ze zdumieniem.

– Mówiłeś, że nigdy go nie poznałeś.

– Zgadza się. Ale poznała go ona. Ponoć zakochała się w tym facecie, dużo od niej starszym, a potem zaliczyła z nim wpadkę. Ta wpadka jest dziś śliczną czarnowłosą dziewczynką o imieniu Emilka.

Dziewczyna nie potrafiła powstrzymać okrzyku.

– Chcesz powiedzieć, że Emilka jest... twoją siostrą?!

– Nieźle los ze mną pogrywa, no nie?

– Ależ to... obłądne! Niesamowite! Mam nadzieję, że się cieszysz? – zaniepokoiła się nagle.

Nataniel mógł nie życzyć sobie żadnych rodzinnych obciążeń. Do tej pory zajmował się obcym dzieckiem z dobrego serca, dziś okazuje się, że oddano mu pod opiekę siostrę. I nie będzie mógł już tak łatwo zrzec się odpowiedzialności za to dziecko. Nie ze swoim poczuciem obowiązku.

– Znów mam rodzinę – odparł po prostu. – Może podświadomie o tym wiedziałem, gdy podrzuciono mi Emilkę? Może dlatego, a nie ze względu na uczucie, jakie miałem kiedyś dla Iwony, przygarnąłem to dziecko, moją małą siostrzyczkę?

Zosia w zamyśleniu pokiwała głową.

– Nasze serca czują więcej, niż domyśla się rozum.

– Chciałbym tylko wiedzieć, co stało się z moim ojcem. Sodarow nie chciał zdradzić nic więcej. Odesłał mnie po dodatkowe informacje do Iwony, a ona przecież leży w szpitalu. Nie zadzwonię jak gdyby nigdy nic, by pogadać z nią o facecie, który skrzywdził nas oboje. I Emilkę również.

– Poczekaj, aż sama będzie gotowa ci o tym opowiedzieć. Z każdym dniem chyba wraca do zdrowia.

Nataniel się zmieszał. Od czasu, gdy widział Iwonę po raz ostatni, odwiedziwszy ją w szpitalu, nie miał od niej żadnych wiadomości i sam ich nie szukał. Chciał zapomnieć choć o tym jednym problemie, mając ich

więcej, niż był w stanie udźwignąć.

Potarł twarz zmęczonym gestem.

– Wypadałoby do niej pojechać. Zobaczyć, jak się czuje – odezwał się niechętnie. Przed Zosią mógł być szczery, nie musiał udawać uczuć, których nie miał w sercu.

– Mamą Emilki opiekują się pielęgniarki i lekarze. Myślę, że więcej troski potrzebuje kto inny – odparła. – Mówiłeś, że z Mateuszem jest źle. Jak możemy pomóc temu biedakowi?

– Musimy mu znaleźć zajęcie. Coś czy raczej kogoś, na kim zacznie mu zależeć chociaż tak, by znów zapragnął żyć.

– Czy dobrze mi się zdaje, że masz jakiś pomysł? – Dziewczyna uśmiechnęła się domyślnie, ale Nataniel zaprzeczył.

– Marta była całym jego życiem. Nie wiem, kto może ją zastąpić.

– Był u mnie parę dni przed pożarem ze swoim psiakiem. Pocieszne stworzenie. I przemiłe – zaczęła Zosia z namysłem. – Podczas szczepienia i odrobaczania trochę gadaliśmy. Powiedział, że Reksio musi być w stu procentach zdrowy i wolny od pasożytów, bo jest psim terapeutą. Mateusz odwiedza z nim ociemniałe dzieci w jednym z olsztyńskich ośrodków. Opowiadał o nich i o Reksiu z prawdziwą dumą i miłością, tak właśnie: miłością. Może...

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak zaniedbał psa przez ostatnie dwa tygodnie. Dzieciom, które niewątpliwie czekają na te odwiedziny, nie posłał pewnie ani jednej myśli. Jest skupiony na sobie i swoim cierpieniu. Nic ani nikt go nie obchodzi.

– Mówisz to z ogromnym żalem i goryczą – zauważyła, ale bez przygany.

Wzruszył ramionami.

– O sobie mogę powiedzieć to samo.

– Nie wydaje mi się. Ty mimo wszystko odwiedzasz Emilkę dzień

w dzień. Owszem, wyglądasz na wymizerowanego, koszulę też masz nie pierwszej czystości, no i mógłbyś się od czasu do czasu ogolić, ale...

– Zosiu, takie słowa do przyjaciela?! I ty, Brutusie, przeciwko mnie?! – wykrzyknął z udawanym wyrzutem.

Poklepała go po ręku i rzuciła bez troski:

– Ktoś musi. I... – spoważniała nagle – ...naprawdę mogę cię nazywać moim przyjacielem?

Posłał jej serdeczny uśmiech:

– Możesz, a nawet musisz, bo ja uważam cię za fantastyczną przyjaciółkę. Tak, wiem, znamy się zaledwie od paru tygodni, ale przez ostatnie dwa zrobiłaś dla mnie więcej, niż od przyjaciółki mógłbym oczekiwać. Zaopiekowałaś się dziewczynką, obcą dziewczynką...

– Uczę się od najlepszych – zaśmiała się. – A Emilka to sama słodycz. Naprawdę nie sprawia kłopotu. Mama ją uwielbia. Właściwie powinnam być ci wdzięczna, że pomyślałaś o nas, szukając dla dziecka opieki.

Doktor Micińska lekko minęła się z prawdą, a Nataniel, czując przyływ wstydu, nie sprostował: to ona, widząc, że chłopak jest półprzytomny z szoku i rozpacz, zaproponowała, że przygarnie Emilkę, dopóki Nataniel się nie otrząśnie i nie znajdzie na powrót sił, by opiekować się dzieckiem. Sił i miejsca, w którym oboje mogliby zamieszkać.

– Obiecuję, że jutro przyjdę ogolony, w odprasowanej koszuli i spodniach w kant – odezwał się, wstając niechętnie. Mógłby spędzić w tej kuchni, ciepłej i przytulnej, resztę życia. Szczególnie w takim miłym towarzystwie.

– Trzymam za słowo – odparła Zosia pół żartem, pół serio.

– Z samego rana zajrzę do Mateusza, którego Siergiej uśpił niemal na śmierć jakimś specyfikiem, a potem... – Już miał dokończyć, że najwyższy czas, by odwiedził Iwonę, lecz przypomniał sobie o znacznie pilniejszej sprawie. – Czy masz może drugi, nieużywany komputer?

– Pewnie. Laptop, który kupiłam mamie, ale ona jest przywiązana do starego, stacjonarnego della. Z chęcią ci pożyczę tamtego MacBooka. Nie jest nowy, kupiłam go na Allegro, ale ma przyzwoite parametry.

Nataniel poczuł, jak kamień spada mu z serca. Do tak dużego projektu, jaki mu zlecono, potrzebował szybkiego, niezawodnego laptopa o dużej pamięci operacyjnej i sporej pojemności dysku. Maki takie właśnie były.

Dziewczyna wybiegła z kuchni, by wrócić po chwili z przyciężkim, przestarzałym modelem apple'a, który jednak musiał Natanielowi wystarczyć. Czasy cienkich jak opłatek laptopów przeminęły z dymem pożaru...

– Dzięki, Zosiu, jesteś niezawodna.

– Na czas, na miejsce, na pewno?

– Jakoś tak. – Pochylił się i cmoknął dziewczynę w policzek.

Splonęła rumieńcem i rzekła:

– To naprawdę nic wielkiego.

– Mylisz się.

Pozostawiając ją z tymi słowami, wyszedł w noc ciemną jak antracyt.

ROZDZIAŁ VII



Mateusz wypadł Natanielowi z głowy w momencie, gdy chłopak usiadł przy stole w leśniczówce, otworzył laptop pożyczony od Zosi i rozpoczął wstępny projekt strony dla „Lubaszki”. W taką pracę chłopak po prostu się zapadał. Świat mógł się skończyć, wojna przetoczyć przez kraj, a rząd podnieść podatki – Nataniel nawet by tego nie zauważył, o ile nie odcięto by mu dopływu prądu, a internet nadal by działał. Uwielbiał swoją pracę. A tak dobrze płątną jak to zlecenie kochał podwójnie.

Pracował niemal do świtu. Gdy niebo na wschodzie zaczęło się srebrzyć, oparł głowę na splecionych ramionach, zamknął oczy, tylko na chwilę!, i zasnął snem tak kamiennym, że kiedy koło południa obudził go telefon od Siergieja, przez dłuższą chwilę rozglądał się półprzytomnie po kuchni, nie wiedząc dokładnie, gdzie jest i jak tu trafił.

Wreszcie oprzytomniał i odebrał połączenie.

Sodarow jak zwykle nie tracił czasu na kurtuazyjne „Cześć, co u ciebie?”. Zaczął od pytania:

– Gdzie jesteś? Widziałeś dziś Mateusza?

Nataniel rozejrzał się dookoła – przecież w kuchni Mateusza właśnie się znajdował! – jakby właściciel domu mógł wyskoczyć z lodówki.

– Ostatnio był u ciebie – odparł powoli.

– Był, ale się zmył. Gdy wstałem rano, żeby oporządzić konie, nie zaglądałem do niego, mając pewność, że tabletki jeszcze działają. Przed chwilą, jest niemal południe, zdecydowałem się go obudzić, ile można spać!, i... cóż... Łóżko jest porządnie zasłane, ale puste. Pomyślałem, że szuka

kogoś przyjaźniejszego ode mnie i może ty go przygarnąć...

– Siergiej, jestem u niego w domu! Jeśli ktoś miałby kogoś przygarnąć, to raczej on mnie, a nie na odwrót! – W innych okolicznościach Nataniel nie krzyczałby na Sodarowa, gdy ten martwi się o kogoś z przyjaciół, ale chłopak widział, do jakiego stanu Mateusz siebie doprowadził. I zaniepokoił się jego zniknięciem bardziej, niż chciałby to przyznać. Co może strzelić do głowy człowiekowi, który po prostu chce umrzeć?

– Zanim wpadniemy w panikę i wyślemy za Mateuszem psy tropiące, warto podzwonić po ludziach ze wsi, może ktoś go widział – zauważył Sodarow.

– To dzwoń. Ze mną ktoś właśnie próbuje się połączyć.

– Może to on?

Nataniel nie odpowiedział. Rzucił szybkie: „Na razie” i odebrał drugi telefon. Dzwoniła Oliwia. I swoim płaczącym tonem, który działał Natanielowi na nerwy, zażądała, żeby po nią przyjechał i zawiózł ją do Warszawy, a jeśli „ci się nie chce”, to chociaż na przystanek pekaesu.

– Nie tyle „mi się nie chce” – odparł, gdy skończyła jęczeć do telefonu – co nie mam samochodu. Pożyczę od Siergieja i... – Urwał. Dlaczego chciał pożyczać auto od Sodarowa, skoro nissan Mateusza stał pod leśniczówką?

Czy aby na pewno?

Patrzył właśnie w tej chwili przez kuchenne okno na podjazd. Pusty podjazd.

– Oddzwonię do ciebie – rzucił, rozłączył się mimo protestów tamtej i wybiegł przed dom. Samochodu nie było. Reksia, który nie odstępował Nataniela przez całą pracowitą noc nawet na krok – także.

Ktoś ukradł samochód i psa!

I właśnie wjeżdżał ukradzionym autem z powrotem na podwórze.

– Mateusz! Niech cię szlag! – wyrwało się chłopakowi, bo naprawdę

chciał już dzwonić na policję.

Na szczęście tamten nie mógł go usłyszeć. Wysiadł jakgdyby nigdy nic z samochodu, otworzył drzwiczki psu i... cóż, musiał stanąć oko w oko z rozsierdzonym przyjacielem.

– Cześć, Nat, nie chciałem cię budzić... – zaczął przeproszającym tonem, ale młody mężczyzna przerwał mu:

– Człowieku, masz depresję, zapuściłeś dom, siebie i psa tak, jakbyś już był martwy, a gdy ktoś się o ciebie zatroszczy, wymykasz się z domu bez słowa!

– A o czym miałbym gadać z Sodarowem? – odburknął Mateusz.

– Nie musisz z nim gadać, ale podziękować za gościnę czy chociaż napisać, że wracasz do siebie – owszem! Naprawdę nie przypuszczałem, że z ciebie taki... – Urwał, bo mężczyzna, nic sobie nie robiąc z tych wyrzutów, minął go i wszedł do domu.

Postawił na stole siatkę z zakupami. Rozejrzał się, jakby widział to wnętrze po raz pierwszy.

– Ty sprzątałeś? – zapytał obojętnie.

– A niby kto? Krasnoludki? Może Reksio, który był tak brudny i cuchnący...

– Dzięki. Nie trzeba było – przerwał mu tamten.

– O siebie możesz nie dbać, ale czym zawinił pies?

– Przeżył. Zajmiesz się nim?

Nataniel zacisnął powieki i pokręcił głową. Chyba nie miał siły walczyć o życie dorosłego faceta, gdy ten najwyraźniej postanowił umrzeć na raty. Butelka z banderolą wystająca z siatki wyraźnie o tym świadczyła. Potrzebował pomocy. Teraz, dopóki Mateusz jeszcze jest trzeźwy, jeszcze żyje!

– Wyprałem twoje rzeczy – zaczął powoli, z trudem panując nad

bezsilnym gniewem. – Nie musisz mi dziękować aż tak wylewnie, wystarczy, że się w nie przebierzesz. Możesz choć to dla mnie zrobić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Po co? Ty wracasz... tam, skąd przyszedłeś, ja tu zostaję. Jeśli zabierzesz ze sobą psa, nikt mnie nie ujrzy na oczy aż do chwili, gdy znów wypełnę z tej nory.

„Albo w niej umrzesz” – dokończył w myślach Nataniel.

– I ty uważasz, że pozwolę ci tak po prostu zapić się na śmierć? – odezwał się na głos.

Mateusz pokręcił głową.

– Nie mam takiej nadziei. Jeszcze będziesz próbował...

– Ja nie będę próbował! Po prostu zadzwonię na pogotowie, zgłoszę próbę samobójczą i panowie z psychiatryka raz-dwa po ciebie przyjadą! Dołączysz do Iwony! Dotrzymacie sobie towarzystwa!

Mateusz zrobił krok, potem drugi w kierunku chłopaka, z takim wyrazem twarzy, że ten poczuł się mocno niepewnie. Musiał się cofnąć, bo był pewien, że mężczyzna lada moment przywali mu z pięści. Tak, w tej chwili był do tego zdolny.

– Mam prawo żyć tak, jak chcę, i umrzeć, kiedy chcę – wycedził. – Tobie, przyjacielu, nic do tego.

„Mylisz się, człowieku” – odparł Nataniel, ale jedynie w myślach. „Właśnie przyjaciel musi walczyć o ciebie, jeśli ty się poddałeś. Nawet z tobą samym”.

Uniósł ręce w bezradnym geście, wrócił do kuchni, zabrał laptop, po czym wyszedł na zewnątrz i nie żegnając Mateusza nawet połową spojrzenia, ruszył w kierunku bramy. Teraz wstąpi do Micińskich, pożyczycy od nich swój własny samochód, potem pojedzie do dworku spotkać się z Oliwią, ustalić warunki najmu i odwieźć ją na przystanek, na końcu zaś... gdy znów będą

mieli z Emilką dach nad głową, i to bardzo piękny dach, oprócz niego pięć pokoi, kuchnię i trzy łazienki... wtedy usiadł w ciszy i zastanowił się, co dalej: pozwolić Mateuszowi żyć, jak on chce, i umrzeć, kiedy chce, czy jednak wyszarpnąć go z tej beznadziei za wszelką cenę. Był jego przyjacielem. Pragnął, by Mateusz żył, ale nie jak roślina wegetująca na jałowym ugorze, a pełnią życia, jak szczęśliwy człowiek. Jeszcze nie wiedział, co zrobi, ale coś wymyśli. Na pewno.

Nie oglądając się, ruszył drogą prowadzącą na drugą stronę jeziora.

Pół godziny później uchylał furtkę i wchodził na podwórze domu Micińskich. Na ogrodzonym placu obok stał samochód z warszawską rejestracją, z lecznicy dochodziły uspokajający głos Zosi i skomlenie psa, Nataniel domyślił się, że dziewczyna ma pacjenta.

Nie chciał jej przeszkadzać. Potrzebował jedynie swojego auta. Zapukał więc do drzwi mieszkania na parterze. Słyszając szybkie, lekkie kroki po drugiej stronie i dziecinnie głosik: „Kto tam? Otworzyć, ciociu?“, uśmiechnął się.

Zasuwka odskoczyła i drzwi stanęły otworem, a w nich mała gosposia w za dużym fartuchu, czerwonym w białe grochy.

– Miluszko, nie poczekałaś, aż odpowiem na twoje „kto tam?“ – odezwał się, przybierając surową minę. – Gdyby to był... no nie wiem... zły człowiek?

– Ale ty nie jesteś złym człowiekiem! – wykrzyknęło dziecko z przekonaniem.

– Nie mówię o sobie. Otworzyłaś, nie wiedząc, kto stoi za drzwiami...

– Przecież to ty! – Emilka zdziwiła się jeszcze bardziej. – To ty stałaś za drzwiami, wujku Natanielu.

Uniósł oczy do nieba w niemym błaganiu o pomoc. Kobieta, która powoli, wspierając się na dużych, ciężkich kulach, nadchodziła korytarzem, próbowała się uśmiechnąć. Mięśnie twarzy, po chorobie, którą przeszła

w dzieciństwie, nie chciały jej słuchać, ale Nataniel domyślił się tego uśmiechu.

– Naatuuś – zaczęła, walcząc ze zgłoskami. – Miluszeek jest jeeszcze za maa-aaly.

– No nie wiem, pani Marianno, nie wiem. – Pokręcił głową. – Trzeba ją nauczyć, że nie wolno otwierać każdemu, kto puka do drzwi.

– Nie otworzyłam każdemu, tylko tobie, wujku Natanielu! – upierała się dziewczynka, a gdy jej słowa nie przyniosły pożądanego rezultatu i Nataniel nadal wyglądał na zagniewanego, wygięła usta w podkówkę i pobiegła schronić się w kochających objęciach Marianny Micińskiej. Ta odstawiła jedną kulę, przytuliła do siebie dziecko i zaczęła szeptać uspokajające zaklęcia.

Dziewczynka posłała Natanielowi szybkie spojrzenie, a widząc na jego twarzy uśmiech, wysupłała się z objęć Marianny i w dwóch susach była z powrotem przy ukochanym opiekunie, jemu wisiała na szyi.

– Będę otwierała drzwi tylko tobie, przyrzekam! – wykrzyknęła, obdarowując Nataniela lepkiem od truskawkowego soku buziakiem.

Tak... zapach świeżych truskawek przypomniał chłopakowi, że nie jadł śniadania. Pusty żołądek głośno upomniął się o swoje prawa.

– Choo-oodź, Natuuuś. Roo-obimy kanap-kanapki z truskawka-ami. – Pani Marianna, zacinając się niemal przy każdym słowie, cofnęła się w cień, gdzie nie mógł widzieć jej twarzy, i skinęła zachęcająco ręką.

Choroba dotknęła mięśnie mimiczne i nogi kobiety. Pani Micińska większość czasu spędzała na wózku, ale ręce miała w pełni sprawne. Całymi dniami, unieruchomiona w domu, zajmowała się rękodziełem – tak mówiła Natanielowi Zosia.

Dziś po raz pierwszy miał ujrzeć to, co wyczarowywały dobre ręce tej kobiety, bo po raz pierwszy przekroczył próg mieszkania na parterze. Do tej pory bywał na piętrze, które zajmowała Zosia, i w lecznicy, jakoś nigdy nie

nadarzyła się wizyta u jej matki, ale przecież znali się bardzo krótko.

Pani Marianna powiodła gościa długim, ciemnym korytarzem, który prowadził do dużej, zadziwiająco jasnej kuchni. Pachniało w niej świeżym chlebem, może nawet domowego wypieku, truskawkami, a przede wszystkim nieskazitelną czystością. Miła odmiana po kuchni Mateusza jeszcze sprzed dwudziestu czterech godzin...

Stały tu proste, sosnowe meble: stół z czterema krzesłami, szafki kuchenne, niewielki kredens, ale tym, co nadawało przytulności wnętrzu, były ręcznie szyte, urocze zazdrostki i przepiękna fotografia małej Zosi Micińskiej na jednej ze ścian. Nataniel, zachwycony urodą dziewczynki, podszedł bliżej i... zatkało go. To nie była fotografia, tylko misternie haftowana makatka. Z odległości paru metrów drobny haft krzyżykowy zmieniał się w obraz.

– Piękna, prawda?! – wykrzyknęła Emilka z taką dumą, jakby makatka była dziełem jej rąk. – Ciocia Marianna jest bardzo, ale to bardzo zdolna. Jest artystką! No powiedz, wujku, że piękna! – Niecierpliwie pociągnęła chłopaka, któremu odebrało głos, za rękę.

– Jest tak wspaniała, że zabrakło mi słów – odparł szczerze.

Twarz kobiety pojaśniała w uśmiechu. Ubogi był to uśmiech, bo mięśnie i teraz nie chciały jej słuchać, ale oczy rozbłysły prawdziwą radością.

Nataniel przyglądał się rękodzielu. Przedstawiało Zosię, nie miał co do tego wątpliwości, siedmio-, może ośmioletnią, ale... wyglądała na nim inaczej niż obecnie. Twarz dziewczynki, usiana piegami, tonęła w burzy kręconych, płomiennych włosów. Nie nosiła okularów. Jej oczy, piękne, duże, okolone długimi rzęsami, miały kolor morza, w którym przegląda się niebo.

„Zosia jako dziecko była bardzo piękna...” – pomyślał i zawstydził się tego spostrzeżenia, bo musiałby przyznać sam przed sobą, że dzisiaj z tej urody pozostał jedynie cień. A może tak właśnie Zosię postrzega jej matka? Jak księżniczkę skąpaną w blasku wschodzącego słońca? W rzeczywistości zaś dziewczyna jest po prostu uroczą istotą, jakich wiele...

Nie mógł wiedzieć, że uroda siedmioletniej Zosi spłonęła w ogniu radioterapii. Że okrutna choroba, z którą walczyła przez pół dzieciństwa, odebrała jej nie tylko wspaniałe włosy, nie tylko bystry wzrok i siły, ale coś, co położyło się cieniem na życie nastolatki, a potem dorosłej kobiety. Nataniel nie mógł tego wiedzieć, a Zosia nie odważyła się do tej pory na tak osobiste zwierzenia. Odwrócił się zmieszany, w chwili gdy dziewczyna wchodziła do kuchni.

– O, Nataniel! – ucieszyła się jak zwykle szczerze i bezpretensjonalnie. – Zjesz z nami śniadanie? – raczej stwierdziła, niż zapytała. – Nie przyjmujemy odmowy! Widzę, że Miluszka już niesie dla ciebie talerz. Zaczynicie beze mnie, muszę się nieco ogarnąć – dodała, odwróciła się na pięcie i zniknęła na schodach prowadzących z korytarza na piętro.

– Ciocia Zosia całą noc, ca-lu-teń-ką!, walczyła o cielaczka – rzekła Emilka. – Nie chciał się urodzić i musiała mu pomóc. Całą noc!

Nataniel zdążył przez tych kilka krótkich chwil zauważyć, że Zosia wygląda na zmęczoną, ale nie dostał szansy, by ją o to zapytać. Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– I od samego rana przyjmuje pacjentów – ciągnęła Emilka. – Jest bardzo zapracowana, ta nasza ciotunia Zosiunia.

– Proo-oszę, Nataniee-eelu. – Pani Marianna zaprosiła go do stołu.

Usiadł, targany wyrzutami sumienia. On bujał po świecie wolny i nieskrępowany niczym ptak, podczas gdy inni dbali o małą kukułkę, którą im podrzucił, zapracowując się ponad siły. Żałoba żałobą, depresja depresją, ale pora była skończyć z rozczulaniem się nad sobą, bo przeoczy kogoś, kto potrzebuje pomocy tak samo jak on.

Doktor Micińska miała na głowie nie tylko opiekę nad Emilką. Prowadziła lecznicę, wyjeżdżała do zwierząt gospodarskich, wzywana nieraz w środku nocy, opiekowała się mamą, która sama nie dała rady się umyć czy ubrać, sprzątała dom i obejście, gotowała...

Zosia miała aż za dużo obowiązków, co Nataniel ze wstydem w tej chwili sobie uprzytomnił... Jutro, gdy wysprząta dworek Marty – jakoś nie mogło przejść mu przez gardło, że to teraz dworek Oliwii – zabierze dziewczynkę do nowego domu. To właśnie powiedział na głos, gdy dołączyła do nich Zosia, odświeżona, przebrana w czyste rzeczy, znów pełna radości życia. Tak właśnie: nie mogąc pokochać, czy raczej nie pozwalając sobie na miłość do mężczyzny, potrafiła cieszyć się choćby tym, że żyje.

– Emilka jest kochanym dzieckiem, nie sprawia najmniejszych kłopotów, może u nas zostać, dopóki trzeba – zapewniła gorąco Nataniela.

– Dziękuję z całego serca tobie, Zosiu, i twojej mamie, ale oboje potrzebujemy własnego domu – odrzekł. – Dostałem znakomite zlecenie i... – No właśnie: i co, Natanielu Domoradzki? Jak sobie poradzisz z ogromem pracy nad tak wymagającym projektem, a właściwie dwoma, bo amerykański wydawca dopomina się o dalsze ilustracje, i opieką nad małą dziewczynką, której trzeba zapewnić nie tylko dach nad głową, ale i trzy zdrowe, sycące posiłki każdego dnia, i to nie „gorące kubki”, ale przygotowywane przez ciebie własnoręcznie? Kiedy będziesz ją „uspołeczniał”, jak mawiała Marta, wożąc dziewczynkę do Pizsa na placzyk zabaw, by mała mogła się bawić z rówieśnikami? Owszem, mógłbyś zajmować się dzieckiem w dzień, a pracować w nocy, ale doba nie rozciągnie się o dodatkowe osiem godzin, byś ty mógł spać!

Będzie ciężko...

Do tej pory, gdy on miał pilne, czasochłonne zlecenie, Emilkę zabierała do siebie Marta, ale Marty już nie ma. Znów odczuł boleśnie stratę przyjaciółki...

– Czy wiesz, że w Pizzu otworzyli niedawno społeczne przedszkole? – odezwała się nagle Zosia, zupełnie jakby czytała chłopakowi w myślach. – Moja przyjaciółka jeszcze z czasów podstawówki posłała tam dwójkę swoich dzieci i jest zachwycona. Nadal prowadzą nabór.

Nataniel, nieco oszołomiony tą wiadomością, spojrzął na przysłuchującą

się słowom Zosi Emilkę, której oczy z podekscytowania rozbłysły jak dwie gwiazdy.

– Co ty na to, Miluszkę? – zapytał ostrożnie. – Miałabyś ochotę pobawić się z dziećmi?

– Dzisiaj? – Dziewczynka gotowa była natychmiast biec do przedszkola. Tak jak stała. Z buzią umorusaną truskawkami i w za dużym fartuchu.

– Czemu nie...? – Nataniel zawiesił głos.

Przedszkole dla Emilki? Naprawdę rozwiązałyby wiele problemów! Cały dzień mógłby poświęcić pracy, część nocy również. Dziecko byłoby nakarmione i zaopiekowane. Wracałoby szczęśliwe i zmęczone do domu po całym dniu zabawy z rówieśnikami, zamiast tkwić w czterech ścianach z nieszczęśliwym Natanielem. Nieszczęśliwym, bo cały ten czas myślałaby o pracy i braku pieniędzy, zamiast o zabawie z Emilką.

– Dziękuję, Zosiu – odezwał się ciepło. – Jakoś nie przyszło mi do głowy, że oprócz cioć istnieją również przedszkola. Miałem prosić o opiekę nad Emilką do jutra, aż ogarnę dworek i będziemy mogli w nim zamieszkać, ale przecież nie jest zapuszczony, Marta... odeszła zaledwie dwa tygodnie temu... A ja muszę pracować, muszę zarabiać na dziecko, siebie i dom – dokończył z desperacją.

Zosia przytaknęła, potem spojrzała prosząco na mamę. Ta odezwała się do dziewczynki:

– Choo-odź, Miluu-uuszkę. Pój-pójdziemy się przeeee-eebrać.

Gdy zniknęły za drzwiami sypialni, dziewczyna spojrzała na Nataniela:

– Myślałam dziś w nocy o tym, co cię martwi, a miałam czas na rozmyślanie...

– Wiem, Emilka mówiła, że całą noc walczyłaś o cielaczka.

Wzruszyła ramionami z udaną nonszalancją, chociaż on mógł się domyślić, jak trudne dla silnego mężczyzny jest odebranie skomplikowanego

porodu u krowy, co dopiero dla takiej wiotkiej, delikatnej istoty jak Zosia Micińska.

– I tak skończyło się to cesarką, a do zabiegu nie jest potrzebna siła fizyczna, tylko wiedza, umiejętności i pewna ręka – odezwała się. – Zanim jednak użyłam skalpela, miałam czas, żeby pomyśleć o Mateuszu. I wpadłam na pomysł... który może ci się wydać niedorzeczny... Jeśli tak, powiesz na samym początku, żebym umilkła, dobrze?

– Mów, Zosiu, zaciekawiałaś mnie. Jestem pewien, że ten pomysł ma sens.

– Moja mama potrzebuje opieki, całodobowej właściwie. Mnie często nie ma, i w dzień, i w nocy, ona wtedy zostaje sama, a ja umieram ze strachu o nią. Wiesz: że się przewróciła i nie może się podnieść, że upadła, uderzyła głową o framugę drzwi i wykrwawia się na śmierć, że wpuściła do domu złego człowieka, a ten... Takie tam troski dziecka o matkę. – Przytaknął w milczeniu. – Mateusz też potrzebuje opieki, czy może inaczej: potrzebuje kogoś, o kogo będzie się troszczył. Może... tylko nie zrozum mnie źle... może poprosiłbyś go o pomoc dla mojej mamy?

Jej ostatnie słowa zawisły między nimi niczym utkany z nadziei i obaw most. Czy Nataniel nie odbierze źle jej intencji? Czy uda mu się nakłonić Mateusza, by ten zapomniał choć na chwilę o własnym żalu i pomyślał o innych?

– Miałem nadzieję, że wyciągnę go do ociemniałych dzieci – zaczął chłopak. – Ale on nie nadaje się na takie wizyty. Nie teraz. Twój pomysł byłby znakomity, i jestem ci za niego naprawdę wdzięczny, za to, że o nas myślisz, także, ale...

Westchnęła cichutko. Zawsze musi być to jedno, maleńkie „ale”.

– Nie mam pojęcia, jak skłonić Mateusza do opieki nad kimkolwiek. Podejrzewam, że nawet Emilki nie chce widzieć, o zajęciu się małą już nie wspomnę. Ani razu o nią nie zapytał...

„A dałeś mu szansę, by to uczynił?” – musiał być szczery sam ze sobą.

„Nie widziałeś Mateusza od czasu pogrzebu. Pierwszy raz zamieniłeś z nim kilka słów dziś rano, zaledwie godzinę temu. Jakie masz prawo go osądzać? Może chciałby zobaczyć Emilkę, tylko wstydzi się swojego zaniedbania? Zapytałeś go o to? Poprosiłeś?”

– Moja mama potrafi być wspaniałą towarzyszką – odezwała się cicho Zosia. – Jej wymowa może być trochę denerwująca...

– Przestań, Zosiu! – chciał jej przerwać, ale dziewczyna ciągnęła:

– ...lecz gdy Mateusz się do tego przyzwyczai, polubi jej ciche towarzystwo, wspólne godziny spędzane na czytaniu książek, nie będzie mógł oderwać wzroku od igły migającej nad makatką. Będą mogli chodzić na spacer, na co ja nigdy nie mam czasu... Razem gotować, delektować się ciastem na ganku... Mamie trzeba pomóc, tak, jest niepełnosprawna, owszem, ale gotuje świetnie, naprawdę świetnie!

Natanielowi, który patrzył, z jakim żarem dziewczyna broni swojej matki, chociaż nikt jej nie atakuje i nie pomniejsza zasług, zrobiło się przykro. A gdy ujrział dwie wielkie łzy, jakie rozbłysły w oczach Zosi, poderwał się i chwycił ją za rękę.

– Proszę, nie płacz! Masz wspaniałą mamę! Nie musisz mnie do niej przekonywać! Przecież urodziła cię i wychowała na cudowną kobietę, mądrą, wykształconą. Są takie, co pozbywają się dziecka, nawet jeśli miałyby ono kochającego ojca, ale twoja mama, samotna, niepełnosprawna, na przekór losowi postanowiła cię urodzić. Mnie lepszego dowodu świadczącego o jej wielkim sercu nie potrzeba. Mateuszowi też to wystarczy! Musi!

– Chciałabym – odezwała się Zosia drżącym głosem. – Nie myśl, że usiłuję się pozbyć mamy z domu. Nie! – Nataniel w tym momencie pokręcił głową, zły, że mogła go o to podejrzewać. – Ale ja naprawdę cały czas się o nią boję, gdy zostaje sama. W mieście było inaczej... Nie wiem dlaczego, lecz nie myślałam ciągle, że coś jej się stanie. Jednak całymi dniami była zamknięta w małym mieszkaniu, uznałam, że powrót na wieś, do domu z ogrodem, na Mazury, gdzie się wychowała, będzie dobrym pomysłem. Ale

tu boję się coraz bardziej, z dnia na dzień coraz bardziej... – Głos odmówił jej posłuszeństwa. Umilkła.

– Ktoś ci groził? – zapytał cicho, nadal trzymając ją za rękę.

– Nie! Mnie tutaj szanują. Spędzałam u wujka każde wakacje i ferie, ucząc się zawodu weterynarza i poznając miejscowych. Boję się o mamę, choć może się to wydawać irracjonalne, bo... – Umilkła ponownie.

Jeszcze chwila, a wyjawiałaby temu człowiekowi tajemnicę znacznie boleśniejszą niż choroba, która mało jej nie zabiła w dzieciństwie. A na taką szczerść wciąż nie była gotowa. I może nigdy nie będzie.

– O mamę się boję... – dokończyła szeptem. – Znam Mateusza. Wiem, że on jej nie skrzywdzi – dodała.

– Oczywiście, że nie! – obruszył się Nataniel. – Prędzej samego siebie. – Puścił jej dłonie, by mogła otrzeć łzy przed powrotem Emilki. – Porozmawiam z nim, a ty zapytaj, czy twoja mama zgodziłaby się zaopiekować Mateuszem. Mógłbym rano zawozić ją do leśniczówki, potem podrzucać Emilkę do przedszkola i wieczorem wracać po obie.

Dziewczyna posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Kto inny mógł się obruszyć, że chce wcisnąć obcym niepełnosprawną matkę, Natanielowi nie przeszło to przez myśl.

– Tylko nie wiem, jak przyjmie ten pomysł Mateusz – zastrzegł jeszcze. – On stał się... trudny.

Kiwnęła głową.

Obawy Nataniela okazały się uzasadnione, o czym niedługo się on przekona, ale... nie ma to jak odrobina perswazji i nacisku. Subtelnego szantażu i gry na uczuciach. Jedno zdanie: „Marta by tego chciała”, może zdziałać cuda, o ile Nataniel na to wpadnie.

ROZDZIAŁ VIII



Przedszkole było straszne. Tak się przynajmniej Natanielowi zdawało, gdy po rozmowie z młodą, sympatyczną i bardzo oddaną dzieciom dyrektorką przyszło mu zostawić Emilkę pod jej opieką i odjechać. Owszem, mieściło się w ślicznym, schludnym, jasnym domku z ogrodem, tak, było pełne roześmianych, dokazujących i na pierwszy rzut oka radosnych dzieci, oczywiście, wychowawczynie również wyglądały na szczęśliwe, że mogą pracować w tak pięknym miejscu z przemiłą dzieciarnią, a i zapachy dochodzące z zaplecza, gdzie zacna pani kucharka przygotowywała obiad, nastrajały optymistycznie, a na pewno nie powinny rodzić obaw, ale... gdy tylko Emilka zobaczyła, że Nataniel odwraca się i zmierza do wyjścia... przybiegła doń z krzykiem, uczepliła się jego kolana i zaczęła lamentować na cały głos.

Dzieci zamarły na parę uderzeń serca, po czym dwoje najmłodszych przyłączyło się do dziewczynki, potem jeszcze jedno i już po chwili płacz i szloch dobiegał piskiego rynku.

Natanielowi serce rozsypało się na kawałki. Porwał Emilkę na ręce, przytulił z całych sił, jakby ktoś chciał mu ją z objąć wyrywać, i potoczył dookoła jednocześnie gniewnym i zrozpaczonym spojrzeniem. Nie zostawi dziecka w tym strasznym miejscu! Nie pozwoli Emilki skrzywdzić! Ona jest, na Boga, jego siostrą!

Całe szczęście, że Zosia zgodziła się z nimi przyjechać, bo próba zaprzyjaźnienia dziecka z przedszkolem zakończyłaby się fiaskiem. Jednak dziewczyna położyła Natanielowi dłoń na ramieniu, uścisnęła i rzekła cicho:

– Oddaj ją wychowawczynie i chodź. Taka rozpacz u małego dziecka jest całkowicie normalna. Ale ty nie porzucasz jej przecież na zawsze! Znikniesz

Emilce z oczu i po minucie o tobie zapomni. Ma tyle dzieci i zabawek dookoła... Chodź.

Nataniel próbował, naprawdę próbował!, oderwać od siebie dziecko, ale uczepiło się go wszystkimi kończynami i zawodziło wniebogłose. Dyrektorka, która widywała takie sceny chyba codziennie, pochyliła się ku dziewczynce i zaszeptła coś, co sprawiło, że Emilka umilkła na sekundę. Akurat tyle było potrzeba kobiecie, by wysupłać dziecko z objęć Nataniela i cały czas mówiąc Emilce, jakie atrakcje ją dzisiaj czekają, odprowadzić ją do gromady bawiących się w piaskownicy dzieci.

Piaskownica! I Emilka zapomniała o Natanielu.

Zosia pociągnęła go czym prędzej do wyjścia. Będąc już w samochodzie, opadł bez sił na oparcie fotela i odezwał się z rezygnacją:

– Nie wiem, jak poradzę sobie jutro czy pojutrze... To ponad moje siły. Jej płacz będzie mnie prześladował aż do wieczora, a wyrzuty sumienia, że zostawiłem ją na pastwę...

– Nie nakręcaj się, Nat – przerwała mu stanowczo Zosia. – Uwierz: Miluszka będzie szczęśliwsza wśród dzieci, pod dobrą opieką wychowawczyń niż zamknięta w czterech ścianach ze mną albo z tobą. Dziecko musi przebywać z dziećmi, koniec kropka! I nie mówię tego, by się Emilki pozbyć. Naprawdę ją uwielbiam i mogłabym się nią zajmować, gdyby pacjenci nie dobijali się do drzwi. Za każdym razem, gdy wyjeżdżałam do zgłoszenia, bałam się już nie tylko o mamę, ale i o dziecko.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – nastroszył się. – Słowem nie wspomniałaś, że Emilka jest dla ciebie obciążeniem.

Zosia posłała mu spojrzenie tak ostre, aż się zdziwił.

– Czy ty słuchasz tego, co mówię?! – krzyknęła rozgniewana. – Emilka była dla mnie radością, ale gdy zostawiałam ją z mamą, zwyczajnie po ludzku się o nią bałam! Mama jest niepełnosprawna. Wystarczy, że przewróciłaby się i nikt nie mógłby jej pomóc, a małe, pięcioletnie dziecko, przerażone

i bezradne, zostałyby z unieruchomioną kobietą. Czy teraz rozumiesz?!

Rozumiał. Rozumiał tak dobrze, że nie wiedział, gdzie oczy podziać ze wstydu. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że Zosia oprócz opieki nad jego siostrą ma także inne obowiązki. Nawet nie spytał, zostawiając jej dziecko, czy na przykład nie potrzebuje pieniędzy! Chociażby na wyżywienie i ubranie dla Emilki, która trafiła pod jej dach w dresiku z My Little Pony i niczym więcej. Wszystkie rzeczy dziewczynki spłonęły wraz z domem. A Nataniel zadowolili się faktem, że mała jest odziana w nowe ciuszki, nie pytając, skąd się one wzięły i kto je kupił!

Sięgnął do portfela, wyciągnął wszystko, co miał. Całe smętne resztki ostatniej wypłaty.

– Przepraszam, Zosiu, byłem bezmyślny i tak pogrążony w żałobie po Marcie i rozpaczy po utracie domu, że nie zapytałem...

Odsunęła dłoń z pieniędzmi stanowczym gestem.

– To była przyjacielska pomoc. Nie ma mowy, bym wzięła od ciebie choć złotówkę. Poza tym ludzie z Sennej zadbali, żeby małej nie brakowało niczego. Zrobili zrzutkę na ciuszki, adidaski, kredki, blok do rysowania, zabawki. Przynosili jajka, mleko, ciasta domowej roboty, nawet chleb świeżo upieczony. Masz, Nat, więcej przyjaciół czy choćby życzliwych ci osób, niż podejrzewałeś.

Chłopak słuchał tego z niedowierzaniem. Wzruszenie odebrało mu głos. Jeśli Zosia mówiła prawdę, a nie miała powodu, by kłamać, mieszkańcy Sennej okazali mu serce, podczas gdy on miał dla nich jedynie niechęć i wzgardę. Ma sporo do nadrobienia...

Odwiózł Zosię do lecznicy, prosząc, by dzwoniła, gdy tylko będzie potrzebowała samochodu, po czym podjechał w miejsce, gdzie jeszcze dwa tygodnie temu stał jego dom.

Zgasił silnik. Wysiadł powoli. Polana nad brzegiem jeziora była uprzątnięta ze zgliszczy. Obórka, która spłonęła do połowy, zmieniła się

w stos równo ułożonych cegieł. Tylko krąg poczerniałej ziemi wskazywał, że wydarzyła się tu tragedia. Ktoś musiał się nieźle naharować, by to miejsce nie straszło już kikutami spalonych belek...

Nataniel przysiadł na stercie cegieł i zapatrzył się przed siebie, jak czynił to wielokrotnie od nocy, w której spłonął jego dom.

Co teraz? – pytanie kołatało mu się po głowie, podczas gdy oczy chłoneły obraz spokojnego jeziora, zmienionego w płynne złoto za czarodziejskim dotknięciem słonecznych promieni. Ten widok zawsze zachwycił młodego mężczyznę. Oddałby wiele, by znów mieć go na co dzień. Przed swoim własnym domem. Z dworku Marty również roztaczał się widok na jezioro, jednak tamto siedlisko było jedynie przystanią, wynajętymi czterema ścianami. Chata Nataniela, nie tak piękna jak dworek, ciasna i bez wygod, była jednak jego domem...

– I tak nie masz pieniędzy na odbudowę – mruknął do siebie. – Poza tym to miejsce było przeklęte – przypomniał sobie słowa Marty. Czy odważyłby się, po tych wszystkich nieszczęściach, które spotkały jego i poprzednich właścicieli, kusić los po raz kolejny?

– Tak myślałem, że cię tu spotkam. – Słowa Marka Sidły, znów jego!, kazały się chłopakowi odwrócić. Zmiotły z jego twarzy spokój, nieomal rozmarzenie, zastępując je niechęcią.

– Ty nigdy nie odpuszczasz, co? – odpowiedział mało życzliwym pytaniem.

– Słuchaj... wiem, że mnie nienawidzisz... – zaczął sołtysiak.

– Już nie. Jesteś mi całkowicie obojętny.

Tamten machnął niecierpliwie ręką.

– Nawet jeśli dla siebie nic od nas, mówię o ludziach ze wsi, nie chcesz, to pozwól pomóc dziecku. Ono też ucierpiało... I jeszcze doktor Kraszewska...

Nataniel utkwiał w twarzy Sidły zimne spojrzenie.

– Przejmowałaś się doktor Kraszewską, gdy trułeś jej kota? – wycedził.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Kot to co innego. I sąsiedzkie porachunki też. Ale spalenie komuś chałupy... To, że w pożarze ginie człowiek... Po prostu nam pozwól! Jeśli ten dom ci się nie spodoba, sprzedasz go i będziesz miał forszę na małe mieszkanie w Olsztynie. Tam przeniesiesz się z dzieckiem. Ale zgódź się, byśmy odbudowali tę chałupę! Zanim kogoś dotknie nieszczęście!

Nataniel oniemiał na chwilę, a potem zaczął z narastającą furią:

– Po tym, co zrobiłeś, śmiesz mi jeszcze grozić?

– Nie tobie grożę! Nie zrozumiałeś! Za taką krzywdę ktoś mógł nas przekląć...

– Powiedziałem: nic do ciebie nie mam. Jeśli o mnie chodzi, możesz spać spokojnie.

Marek Sidło potarł twarz rękami, przeczesał włosy, próbując się uspokoić i znaleźć argumenty, które trafią Natanielowi do przekonania.

– Już raz na tę chałupę zostało rzucone przekleństwo – zaczął. – Wiem, ty, facet z miasta, nie wierzysz w takie zabobony, ale... no dobra, my z ciemnogrodu owszem. Ludzie tu umierali, dzieciaki się topiły, zwierzęta zdychały. Chaty już nie ma, i może to dobrze, bo następna mogła być twoja Emilka, ale widzisz... ta klątwa mogła zostać... podana dalej. Marta w chwili śmierci mogła przekląć mnie albo całą wieś, choćby za tego kota...

– Marta nie była mściwa!

Sidło umilkł. Zabrakło mu argumentów. Wreszcie odezwał się ponownie. Cicho, pokornie...

– Moja matka zachorowała. Było temu kilka dni od pogrzebu, gdy straciła przytomność. Pewnie o tym nie słyszałeś, bo kto by ci zawracał głowę plotkami ze wsi, ale zabrało ją pogotowie na sygnale, podejrzewali udar. Widzisz, człowieku, od ponad tygodnia leży w Olsztynie. Nie odzyskała

przytomności. Lekarze kręcą głowami, rozkładają ręce, każą czekać i się modlić. A ja nie mogę siedzieć spokojnie i patrzeć, jak ona umiera, rozumiesz?! Muszę jakoś pomóc... Przynajmniej próbować... – Głos mu się załamał.

Chyba po raz pierwszy Nataniel widział u tego twardziela, pozbawionego jakichkolwiek uczuć, tak się przynajmniej wydawało, łzy w oczach. Sidło otarł je wściekłym ruchem dłoni.

Nataniel chciał powiedzieć, że choroby jego matki na pewno nie spowodowała klątwa, lecz... rzekł coś zupełnie innego, czym sam siebie zadziwił:

– Rozumiem. Nie wierzę, że przeklęła was doktor Kraszewska, ja też tego nie zrobiłem, ale... rozumiem twoją desperację. I jeśli ma ci to w czymkolwiek pomóc, dobrze, zgadzam się, odbuduj moją chatę. Tylko nie tutaj! Nie w tym miejscu! Nie chcę, by nowy dom budować na... takiej ziemi!

– Więc jednak wierzysz w zabobony...

Chłopak zmilczał. Sidło zmarszczył brwi, zastanawiając się nad najlepszym rozwiązaniem.

– Maciek Borowiec ma działkę nad jeziorem – odezwał się wreszcie. – Tam, po drugiej stronie, niedaleko Micińskich. Miał opylić ją letnikom, ale pogadam z nim. Może zamieni się z tobą. Twoja jest lepsza, ze dwa razy większa, leży bliżej szosy. Tamta za to ma piękny widok na całe jezioro. Też leży na wzniesieniu i okala ją sosnowy las. Stary las. Starszy niż ten tutaj. Jeśli na pewno nie chcesz tu mieszkać...

– Nie chcę.

– Pogadam z Borowcem. Gdy on się zgodzi, zamienisz się? – Wyciągnął do Nataniela rękę.

Ten wstał i uścisnął ją. Sidło odetchnął z wyraźną ulgą. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nieszczęście Marty i Nataniela, lecz przede

wszystkim choroba matki ciążyły na sumieniu tego mężczyzny...

– Dzięki, Nat. Mogłeś... mogłeś poszczuć mnie psami, ale ty... Ty nie z tych.

Chłopak pokręcił głową. Wrócił smutek. Nie miał już Trusi – choćby nie wiem jak była łagodna – by poszczuć nią sołtysiaka.

– Ta znajda. Wiesz, ta, którą przygarnąłeś... – W głosie Sidły zabrzmiało pytanie.

Nataniel wskazał miejsce po pogorzelisku.

– Spłonęła żywcem.

Tamten pokiwał głową.

– Chcesz drugiego psa? We wsi na pewno się jakiś znajdzie.

Ale Nataniel zaprzeczył. Żal po Trusi był zbyt świeży, by leczyć ranę innym stworzeniem.

– Jak tam sobie życzysz – odezwał się Sidło. – Ja zabieram się do roboty. Matka czeka.

– Żadne z nas nie ma i nie miało nic wspólnego z chorobą twojej mamy. – Nataniel musiał to powtórzyć z takim naciskiem, by do tamtego dotarło, że odbudową chaty leczy własne, a nie Nataniela, poczucie winy. – Zastanawiam się tylko, jak postawisz ten dom na działce, z dnia na dzień, bo chyba do tego zmierzasz. Bez pozwoleń, bez...

– Tym się nie martw. Mój ociec ma chody w gminie. Raz-dwa wyszykują wszystkie pozwolenia, jakich byś potrzebował. Na to, co ci niepotrzebne, też. – Zaśmiał się z własnego żartu. – Musisz tylko podpisać z Maćkiem Borowcem jakieś papiery o zamianie działek. Ja mogę budować i u niego, ale rozumiesz...

Do Nataniela chyba dopiero w tej chwili dotarło, co tamten zamierza. Naprawdę zamierza. Wyglądało na to, że Marek Sidło nie tylko będzie gadał o odbudowie jego, Nataniela, domu, ale naprawdę chce ten dom postawić!

I nagle chłopaka olśniło...

– Ty chcesz wybronić przed kryminałem Aśkę Jarząbek!

Oczy Sidły pociemniały. Usta zacisnęły się w wąską kreskę.

– Nie roję sobie nawet, że ją wybronię – odrzekł zduszonym głosem. – Lecz jeśli byłby choć cień szansy, że dzięki temu... że ty jej wybaczysz... rozumiesz, że ci zadośćuczynię... ona... – Urwał.

– Moje „wybaczam” nie będzie miało żadnego znaczenia – skwitował Nataniel. – Podpalenie jest przestępstwem. Przyczynienie się do czyjejś śmierci tym bardziej. Ja mogę zeznawać na jej korzyść, jednak wyrokuję sąd.

– Wiem. Tak tylko... próbowałem. – Sidło wbił wzrok w ziemię pod nogami.

– Kochasz ją.

– Kocham. Kiedyś była zupełnie inna. Taka fajna, ładna, normalna, jeśli pojmujesz, o czym mówię. „Dobry materiał na żonę”, mówiła matka. Gdybym jej słuchał, a nie patrzył na ojca, jak nie szanuje nikogo ani niczego, jak o byle co drze mordę, a i przywalić potrafi... może Aśka nie poleciałaby na ciebie. Zostałaby ze mną.

Nataniel nie potrafił odpowiedzieć na te słowa. Ale czy Sidło oczekiwał pocieszenia? Albo zaprzeczeń? On po prostu mówił, co mu leżało na sercu, wdzięczny, że ktoś słucha, nie przerywając, nie oceniając, nie wpięprzając się z dobrymi radami.

– Jeśli tak na to spojrzeć, wszystkiemu winien jestem ja. Tylko ja – dodał smutno sołtysiak. – Gdybym utrzymał Aśkę przy sobie, nie spaliłaby ci chałupy, doktor Kraszewska żyłaby, a moja matka... – Umilkł, walcząc z niemęskimi łzami.

– Marta miała słabe, schorowane serce – odezwał się Nataniel cicho. – Jeśli nie pożar, zabiłby ją inny stres, o ile wcześniej nie zadbałaby o siebie. Nie bierz jej śmierci na swoje sumienie. Ja z Emilką jakoś sobie poradzimy. Oliwia wynajęła nam dworek. Może lepiej, że ta przeklęta chata spłonęła?

Kto wie... – Tym razem on urwał, żeby nie powiedzieć za dużo. – Zapytaj swojego kumpla, czy zamieni się na działki. Nie mam pieniędzy, by dopłacać, tak na wypadek, gdyby przy okazji chciał zbić interes. Kosztami aktu notarialnego też musimy się podzielić. Ale poza tym: masz moją zgodę.

Ponownie uścisnęli sobie ręce i rozeszli się, każdy do swoich zajęć i problemów. Nataniel musiał odwiedzić Oliwię, która słała mu chyba setny esemes, na przystanek, a potem... nie, nie usiądzie jeszcze do projektu strony internetowej. Ktoś inny niż właściciel „Lubaszek” domaga się jego, Nataniela, uwagi...

ROZDZIAŁ IX



Oliwia była równie przykra jak ostatnio. Chyba znośniejsza wydawała się pogrążona w stuporze, który tak przeraził Sodarowa. Jednak ten stupor okazał się jedną wielką farsą, którą Oliwia odegrała, by osiągnąć korzyści: pieniądze na wygodne, beztrudne życie. Śmierć jej matki spowodowała jedynie to, że dziewczyna musiała szukać innego żywiciela, nie zamierzała sama brać się do roboty, jak każdy normalny człowiek w jej wieku. Stworzona widać była, lub tak się jej wydawało, do tego, by pięknie wyglądać, bywać na salonach i nie brudzić białych rąk jakimkolwiek zajęciem.

Nataniel nie mógł tego pojąć.

Stał obok dziewczyny na przystanku, modląc się o szybki przyjazd autobusu, ale ten jak na złość się spóźniał. Chłopak musiał więc słuchać jękliwych skarg Oliwii.

– Pieniądzy zostało mi tyle, co nic... Jeśli szybko nie dostanę odszkodowania... Jeśli będziesz zalegał z czynszem... Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i nie będziesz żywił urazy, jeżeli wyproszę cię i sprzedam dwór za taką cenę, jaką zaproponuje pierwszy chętny?

Mógł jedynie zaprzeczyć, zaciskając w pięści dłonie wsunięte do kieszeni. Musiał zdobyć forsz na czynsz dla tej nieczułej jędzy! W przeciwnym razie ona zrobi to, co zapowiedziała!

Wreszcie! Na zakręcie pojawił się autobus. Oliwia, wypatrująca go równie niecierpliwie co Nataniel, chociaż z zupełnie innych przyczyn, odwróciła się nagle do chłopaka. Z jej twarzy znikł cierpiętniczy wyraz, w oczach, złotych i pięknych jak niegdyś, błysnęły smutek i prośba.

– Nat – zaczęła cicho, dotykając jego dłoni – wybacz mi. Zdaję sobie sprawę, co o mnie myślisz: potrafię tylko krzywdzić... Szkoda, że nie wiem, dlaczego tak jest. I strasznie żałuję, że skrzywdziłam właśnie ciebie. Ciebie i mamę. Dwoje naprawdę dobrych, szlachetnych, kochających ludzi. Wybacz mi, Nat, jeśli zdołasz. I żegnaj. – Musnęła palcami policzek chłopaka i zanim zdążył odpowiedzieć choć słowo, zniknęła we wnętrzu autobusu.

Gdy odjeżdżała, uniósł dłoń, żegnając się z nią. Miał dziwną pewność, że nigdy więcej się nie spotkają. Oliwia wyjedzie za granicę, daleko, na drugi koniec świata, tam szybko znajdzie bogatego starszego pana, który zachwyci się jej pięknymi oczami i młodym ciałem. W zamian obsypie ją pieniędzmi, czego tak bardzo pragnęła. Będzie miała wszystko, czego dusza zapagnie, oprócz jednego: prawdziwej, bezinteresownej miłości...

Z dojmującym smutkiem, który ponownie zagarnął w posiadanie jego serce, Nataniel wsiadł do srebrnego suzuki i ruszył z powrotem. Leśna droga, na której końcu stała niegdyś stara chata, na krzyżówkach rozwidlała się na tę, co prowadziła do rancza Sodarowa, na drugą, co wiodła do wsi, i trzecią, która skręcała głębiej w las, prowadząc do pięknej leśniczówki, stojącej pośrodku okolonej świerkami polany.

Gdy Nataniel zatrzymał się przed domem, nie wyszedł na jego powitanie nikt. Tylko pies zaskomlał po drugiej stronie drzwi. Chłopak westchnął ciężko, spodziewając się tego, co poprzednio, zacisnął na chwilę powieki, by zebrać się w sobie, wreszcie zapukał do drzwi.

Nic. Gospodarz nie był dziś zbyt gościnnie, o ile w ogóle znajdował się wewnątrz.

Chłopak sięgnął za belkę nad drzwiami i wymacał klucz, który swego czasu Mateusz zostawił tam dla niego. Po chwili otwierał drzwi i ze wstrzymanym oddechem wchodził do środka.

Starszy mężczyzna siedział przy stole, z głową opartą na splecionych ramionach, i zanosił się cichym pijackim łkaniem. Nie wykapał się, nie zmienił brudnych łachów. W toalecie, rano lśniącej czystością, śmierdziało

kałem i wymiocinami.

Nataniel poczuł, że ma dość. Po prostu dość.

Usiadł ciężko naprzeciw przyjaciela i trwał nieruchomo, próbując opanować zimną furię. Tamten podniósł nagle głowę, spojrzał na chłopaka przekrwionymi, półprzytomnymi oczami.

– Przebraszam – wybełkotał. – Przebraszam, Natuś. Idź zobie. – A potem stracił przytomność.

Rany boskie! I co teraz?! On, Nataniel, powinien natychmiast zabrać mężczyznę z tej samotni do siebie, do dworu, ale... wieczorem wróci Emilka! Nie może zobaczyć „kochanego wujka Mateusza” w takim stanie! Nie ma mowy! Ale też zostawić przyjaciela tutaj, by zmarł z przepicia, zachłysnął się na śmierć wymiotami albo spłonął żywcem od zaprószonego po pijaku ognia, też nie można było!

Sodarow... W nim nadzieja.

Ale Siergiej właśnie wysłał esemesa z pytaniem, czy Nataniel nie zająłby się przez dwa-trzy dni końmi. Wypadł mu pilny wyjazd... Nie musi uprzejmie przypominać, że w jego stajni są również zwierzęta Nataniela?

– Nie musisz, draniu! – syknął chłopak w odpowiedzi i wybrał numer do Siergieja. – Nie mogłeś uprzedzić, że wyjeżdżasz?! – zaczął, wzorem tamtego, bez powitania. – Wypadałoby zapytać, czy mam czas i chęci zajmować się twoimi chabetami!

– I własnymi – usłyszał w odpowiedzi. – Sorry, Nat, ale muszę załatwić pewną sprawę. Ważną...

– Czy jest coś ważniejszego niż życie Mateusza?! Niż czyjekolwiek życie?!

– Co z nim?

– Jest w takim samym stanie jak wczoraj! A może gorszym, bo tym razem pije w określonym celu: nie żeby zagłuszyć ból, lecz żeby się zabić. Musisz...

– Przystopuj, zanim się rozpędzisz z tym, co muszę. A muszę wyciągnąć z kryminału matkę twojej siostry.

Nataniel oniemiał. Zapomniał na śmierć o Iwonie, jej próbie samobójczej i więzieniu, do którego zapewne trafi zaraz po tym, jak wypiszą ją ze szpitala.

– Jest jakaś szansa, by wyszła na wolność? – zapytał całkiem innym tonem niż przed chwilą.

– Gdyby nie było, nie zostawiałbym cię z tym całym szajsem. I nie mówię tu o koniach. One są najmniej upierdliwe.

Nataniel w duchu przyznał mu rację. Sodarow potrafił w prostych, żołnierskich słowach ująć sedno sprawy.

– Słuchaj – zaczął chłopak – on nie może zostać sam nawet na chwilę, a ja nie zabiorę go do dworu, dziecko...

– Oczywiście, że nie. Dziecko nie może oglądać starszego faceta w takim upodleniu. Daj mi pomyśleć. Może znajdę mu jakąś opiekę...

I wtedy Nataniela olśniło. Marianna Micińska! Może nie była kimś, kto zdoła kąpać i przebierać rosnącego człowieka, ale przynajmniej nie pozwoli mu umrzeć!

– Jedź w swoich sprawach, Siergiej – odezwał się z mimowolną serdecznością. – Już kogoś znalazłem.

– Serio? Tak na pstryknięcie?

– Rozmawiałem rano z doktor Micińską... Podobno się znacie?

– Z Zosią? Owszem, pracowała u mnie i tylko pracowała, że uprzedzę twoje następne pytanie.

Nataniel zaśmiał się cicho. Jak Siergiej dobrze go zna....

– Zosia poszukiwała kogoś do opieki nad mamą, ja szukam dobrego ducha, co będzie czuwał nad Mateuszem, więc... Jadę do Micińskich. Tu trzeba działać natychmiast.

– Przybastuj. – Ponownie powstrzymał go głos Siergieja, czy raczej ton, nagle poważny, jakim rzucił to słowo. – Zośka się na to nie zgodzi. Opieka dla jej matki owszem, ale nie facet mieszkający w domu na odludziu.

– Dlaczego? – zdziwił się Nataniel.

– Nie powiedziała ci?

– O czym? Powiedziała, że boi się o mamę, boi się zostawiać ją samą w domu i że dobrze byłoby, gdybym zawoził panią Mariannę na dzień do Mateusza.

– Ona ci to powiedziała? Zosia? – Znów ten dziwny, niepomernie zaskoczony ton Siergieja. – Jeśli tak, to nie mam więcej pytań. Działaj.

Ale zanim Sodarow się rozłączył, padło pytanie:

– Widzę, że moi przyjaciele coś ukrywają. Powinienem o tym czymś wiedzieć?

– Jeśli nawet, to nie ode mnie. Pytaj u źródła, może ono zechce cię wtajemniczyć. Zresztą... to stary trup w bardzo starej szafie. Jeśli dobrze poszukasz, nie będziesz musiał nikogo pytać.

– Uwielbiam, gdy ktoś gada zagadkami, zamiast...

– To nie moje tajemnice. Ja nie mam już żadnych – uciął Sodarow i rozłączył się.

Nataniel stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na telefon ze zmarszczonymi brwiami.

Tajemnice? Trupy w szafie? Jeszcze tego mu do szczęścia brakowało. Zosia, gdyby chciała mu się zwierzyć z rodzinnych sekretów, miała ku temu mnóstwo okazji. Skoro jednak zachowała je dla siebie, jemu nie pozostawało nic innego, niż uszanować jej milczenie. Jeśli jednak miało to związek z mamą Zosi i Mateuszem... Czyżby kiedyś byli parą? Już miał pokręcić głową, myśląc: „Nie, to niemożliwe!”, ale... Jakie miał prawo tak szybko skreślać Mariannę Micińską czy Mateusza?

Mama Zosi owszem, poruszała się o kulach, a często na wózku, miała też problemy z płynną wymową, lecz przecież była pełną uroku i ciepłą kobietą. Mięśnie twarzy nie zawsze jej słuchały, gdy próbowała się wypowiadać, ale miała piękne, duże, zielononiebieskie oczy, których spłoszony, przepraszający wyraz budził tylko serdeczne uczucia, i wspaniałe, długie niemal do pasa włosy barwy dojrzałego kasztana, których nie pozwalała ściąć. Była uważną słuchaczką, można było wypłakać się na jej ramieniu, mając pewność, że – cokolwiek miałbyś na sumieniu – ona nie osądzi, nie napiętnuje cię ani nie zacznie pouczać. Wysłucha, zrozumie, przytuli, a to czasem wystarczy. Naprawdę wystarczy.

To właśnie z głową na kolanach Marianny Nataniel w pierwszych dniach po pożarze i śmierci Marty rozpacział, by w następnej chwili złorzeczyć światu i ludziom. Właśnie Marianna gładziła go po głowie i plecach, tak jak czyniłaby to jego mama. Siedzieli we dwoje w sadzie, daleko za domem, żeby płaczu Nataniela i jego przekleństw nie słyszała Emilka, noc – bo tylko nocą pozwalał sobie na okazywanie uczuć – spowijała ich cichymi skrzydłami, Marianna szeptała uspokajające zaklęcia i tuliła go niczym małe dziecko. A on mówił. Spowiadał się tej obcej kobiecie ze wszystkich grzechów, swoich i cudzych, które przywiodły Nataniela i jego przyjaciół od radosnych dni, gdy zawitał do Sennej, odnalazł swoje miejsce na ziemi, spokój ducha i radość życia, aż po tę najczarniejszą noc, gdy ten uroczy witraż rozsypał się na tysiące kaleczących serce i duszę szkieł...

Marianna Micińska była jak Marta, lecz cicha, bardzo cicha, pełna pokory, taka „przepraszam, że żyję”. Bez zdecydowania i żywiołowości tej drugiej. Miała jeszcze jedną, niezaprzeczalną zaletę: nie podkochiwała się w Siergieju Sodarowie. Ani on w niej. Mateusz spokojnie zniesie jej łagodną obecność. Zresztą... nikt go nie będzie pytał o zdanie! Była tylko pani Micińska zgodziła się zaopiekować tym cuchnącym, zapijaczonym strzępem człowieka...

– Poczekaj tu na mnie – rzucił przez ramię.

Mateusz ocknął się na moment, ale nawet nie uniósł wzroku, bełkocąc coś

niezrozumiałego.

„Skąd wziął wódkę?” – przemknęło Natanielowi przez umysł, ale nie zastanawiał się nad tym więcej. Gdy chcesz się spić, „życzliwi” zawsze się znajdują.

– Mam nadzieję, że nie zastawiłeś domu albo Reksia – posłał Mateuszowi ostatnią myśl i chwilę potem ruszał w drogę do Micińskich.

Zosia, z uśmiechem w oczach, jak to ona, wyszła mu naprzeciw. W paru słowach wyjaśnił dziewczynie, jak poważna jest sytuacja.

– Teraz już wiesz wszystko. Mateusz nie tylko rozpacza, nie tylko pogrążony jest w żałobie i depresji. On pije. Pije na umór. Nie trzeźwieje od pogrzebu Marty.

Uśmiech znikł. Zastąpiło go skupienie. I głęboki namysł. Nataniel czekał z bijącym sercem na jej pierwsze słowa. Jeśli Zosia odmówi pomocy... Owszem, wiedział, że najważniejsza jest odpowiedź pani Marianny, ale dziewczyna po prostu mogła wskazać Natanielowi drzwi. Bo co innego zajmować się człowiekiem w depresji czy też dotrzymywać mu towarzystwa, co innego brać sobie na kark pięćdziesięciolatka w alkoholowym ciągu.

– Ja też piłem – odezwał się błagalnym tonem. – Piłem noc w noc przez ładnych parę miesięcy po zdradzie Iwony. I wyszedłem z tego. Pożegnałem się z wódką z dnia na dzień. Emilka mnie uratowała. Mateuszowi też trzeba dać szansę. Proszę... Może jego uratuje twoja mama?

Zosia podniosła nań poważne spojrzenie. Jej oczy, zwykle szafirowozielone, teraz przypominały morze przed burzą.

– Mateusz nie jest zdolny do przemocy, prawda?

– Nie! Nigdy! – zaprzeczył gorąco Nataniel i... spuścił wzrok. Dziś rano był pewien, że tamten go uderzy. Ale przecież kobiety by nie skrzywdził!

– Weźmiesz na swoje sumienie, jeśli on uczyni coś złego mojej mamie? – padło następne pytanie.

I tym razem Nataniel się zawahał. Co innego prosić sąsiadkę o przysługę, co innego brać odpowiedzialność za zachowanie kogoś, kto może nad sobą nie panować...

– Może... jeśli odebrałabyś z przedszkola Emilkę... i jutro ją tam zawiozła... może posiedziałbym z nim i dopiero za dzień-dwa dał odpowiedź, gdy będę jej pewien?

Tak, to było odpowiedzialne. Zosia z powagą skinęła głową.

– Tak zrobimy. Jeśli jutro wieczorem dasz słowo, że Mateusz nie zagrozi mamie, pojutrze będzie mogła do niego pojechać.

Nataniel odetchnął głęboko. Zosia nie powiedziała „tak”, ale też nie odmówiła stanowczo. Dla Mateusza Józwicka była nadzieja...

– Zaopiekujesz się do tego czasu Emilką? – musiał się jeszcze upewnić.

Uśmiechnęła się tylko.

Ujął jej dłoń jak tego ranka w kuchni, uniósł do ust i ucałował.

– Nie wiem, co bym bez ciebie począł. Ratujesz mi życie.

– Tobie raczej nie – odparła, wyswobadzając delikatnie dłoń z jego uścisku – ale Mateuszowi być może tak. I nie sama. Jeśli z tego wyjdzie, będzie to zawdzięczał przede wszystkim tobie. Cieszę się, że mogę cię nazwać przyjacielem, Nat.

Została przed domem, patrząc, jak on odjeżdża. Pustka, którą czuła za każdym razem, zdawała się nie mieć granic.

– Nie wolno ci kochać, pamiętasz? – wyszeptała do siebie. – Nie wolno ci krzywdzić!

Dwie wielkie łzy rozbłysły w oczach dziewczyny. Nie było nikogo, kto by je zauważył i starł dobrą, czułą dłonią. Pozwoliła im spłynąć cicho po policzkach, potem odwróciła się i weszła do domu. Musiała opłukać twarz zimną wodą, by mama nie domyśliła się tych łez, a potem poprosić ją, by pomogła Mateuszowi, a także komuś, kogo Zosia, mimo nakazów i zakazów,

zdążyła pokochać całym samotnym sercem.

ROZDZIAŁ X



Nataniel, zaopatrzony przez doktor Zosię Micińską w zestawy do kroplówek, parę butelek płynu wieloelektrolitowego i glukozy, a także w łagodne leki uspokajające i nasenne, które pozwolą przetrwać Mateuszowi pierwsze, najtrudniejsze dni bez alkoholu, wstąpił do dworu po laptop i zapas kawy, po czym wrócił do leśniczówki. Droga zajęła mu dobre półtorej godziny, bo samochód zostawił Zosi.

Zastał przyjaciela tam, gdzie go zostawił. Sprawnie wbił się do żyły – swego czasu był ratownikiem GOPR-u i miał w tym wprawę – po czym puścił pierwsze pół litra odżywczego płynu w szybkim wlewie.

Usiadł naprzeciw coraz bardziej cuchnącego niemytym ciałem i przepoconym ubraniem mężczyzny, otworzył laptop i zajrzał do poczty. Jest! Pan „Lubaszka” otrzymał podpisaną przez Nataniela umowę! Jeszcze dzisiaj zlecą wypłatę zaliczki i pieniądze powinny być na jego koncie jutro, najpóźniej pojutrze. Zapłaci Oliwii czynsz, kupi porządny laptop i na serio zabierze się do pracy! Nataniel poczuł, jak ogromny ciężar spada mu z serca. Owszem, pieniądze nie były wszystkim, ale wszystko bez pieniędzy było niczym. Tę prawdę znał każdy, kto choć raz nie miał grosza na jedzenie czy wiedział, co znaczy słowo „bezdomność”. Kto biedę – i poczucie strasznej, dojmującej beznadziei, które ze sobą niosła – odczuł na własnej skórze.

W skrzynce była też druga wiadomość. Od amerykańskiego wydawcy. Zainteresowały go pierwsze rozdziały opowieści pisanej dla Emilki, którą Nataniel zatytułował roboczo „Gdzie jest Dziecko?!”, i dla Emilki ozdobionej ślicznymi, dopracowanymi w każdym szczególe ilustracjami. Wydawca prosił o więcej. Więcej! I rysunków, i rozdziałów! Chłopak bez wahania –

łatwowierny, jak to on – przesłał mu wszystko, co do tej pory stworzył. Tekst opowieści i cały plik rysunków. Dopiero gdy nadeszło potwierdzenie, że wiadomość dotarła do adresata, naszyły Nataniela wątpliwości. Ktoś, kogo na oczy nie widział, dostał niemal gotową książkę, do tego ilustrowaną. Bez trudu mógłby przypisać autorstwo sobie. Nataniel nie sprawdził nawet, czy takie wydawnictwo istnieje! A jeśli istnieje, to czy Roger Monroe rzeczywiście jest w nim menedżerem do spraw handlowych!

Teraz było za późno... Zresztą... Nawet jeśli opowieść zostanie wydana pod jakimś nazwiskiem, ucieszy dzieci w Stanach, a może i na świecie. Szkoda drzeć szat nad rozlanym mlekiem.

Z tak filozoficznym nastawieniem – w duchu zżymając się na swoją naiwność – Nataniel zmienił kroplówkę, bo poprzednia się skończyła, i wszedł na serwer, by popracować nad stroną dla „Lubaszek”.

Pracował, wspomagając się kawą, do późnej nocy, kiedy to Mateusz uniósł głowę, zamrugał i rozejrzał się po kuchni nieco przytomniej niż ostatnio. Zogniskował spojrzenie na siedzącym naprzeciw chłopaku.

– Nie odpuszczasz tak łatwo, co? – wychrypiął przez wyschnięte na wiór gardło.

Nataniel nie odpowiedział, bo uznał, że to zbędne. Podsunął za to przyjacielowi butelkę z chłodną źródlaną wodą, a potem kubek mocnej, słodkiej kawy, którą sobie przed sekundą zaparzył. Patrzył bez słowa, jak przyjaciel wychyla wodę do dna, a potem poprawia aromatycznym napojem. Czekał jeszcze parę minut, aż płyny zaczną krążyć w wyczerpanym ciele mężczyzny, wreszcie wstał i rzekł ostrym, nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Idziesz pod prysznic. Mam dosyć tego fetoru.

Chwycił Mateusza pod ramię i zawlókł do łazienki, na co ten pokornie pozwolił.

– Dasz radę się rozebrać czy mam ci pomóc? – zapytał go rzeczowo Nataniel.

Mężczyzna pokręcił głową i spróbował odpiąć guziki koszuli, ale drżące ręce nie chciały go słuchać. Zażenowany do granic, poprosił o pomoc wzrokiem zbitego psa. Nataniel bez słowa rozebrał go, pomógł wejść pod prysznic, cały czas pilnując, by mężczyzna się nie poślizgnął – tylko łazienki zalanej krwią z rozbitej głowy brakowało im do szczęścia! – po czym namydlił go i spłukał. I jeszcze raz.

– Przepraszam – wyszeptał Mateusz przez łyzy, gdy chłopak wycierał go do sucha pachnącym świeżością ręcznikiem.

– Daj spokój – ofuknął go szorstko Nataniel. – Swego czasu zrobiłeś dla mnie znacznie więcej. Człowieku, jak ty schudłeś! – mówił dalej, sam bliski łez, prowadząc go do kuchni. – Nie wiem, czy wiesz, że żołądkowa gorzka, owszem, ma więcej kalorii niż mleko, ale wartość odżywcza zerową. Tym się nie najesz. – Wskazał pustą butelkę walającą się pod stołem. – Siadaj, zrobię ci jajecznicę i położysz się do łóżka. Przed tobą ciężkie czasy, przyjacielu, naprawdę ciężkie...

Leki uspokajające złagodziły odtruwanie poalkoholowe, a może Mateusz, na co dzień stroniący od procentów, miał zdrowy organizm, który poradził sobie z trucizną? Grunt, że noc przespał spokojnie, rano zaś wszedł do kuchni, w której od świtu tkwił przy komputerze Nataniel, i poprosił o śniadanie. Zrobiłby sobie sam coś na ząb, ale ręce nadal mu drżały, raczej z wyczerpania niż od alkoholu, tak, że nie mógł utrzymać noża.

Gdy zaś Nataniel postawił przed nim talerz pełen smakowicie pachnącej jajecznicy na boczku, takiej, jaką robiła Marta, Mateusz rozplakał się. Ukrył twarz w dłoniach i po prostu się rozplakał.

– Nie dam rady, Nat – wyszłochał, gdy chłopak przytulił go z całych sił. – Nie dam sobie bez niej rady.

Och, łatwo byłoby go zbyć paroma frazesami: „życie toczy się dalej”, „znajdziesz jeszcze kobietę, którą pokochasz” i tak dalej, i tak dalej, ale przyjaciel nie jest od tego, by prawić banały i zbywać tych, których kocha. Przyjaciel jest jak dom rodzinny. Wracasz do niego, choćby o trzeciej nad

ranem, a ten, zamiast cię opieprzyć, że go budzisz, nakarmi cię, utuli do snu, jeśli trzeba, obetrze łzy, ale też obsztorcuje porządnie, gdy zasłużysz. Tu możesz być sobą, bez masek noszonych na co dzień, bez udawania. On i tak cię zna. I przejrzy każdy fałsz. Ale czy w rodzinnym domu – i przed prawdziwym przyjacielem – stać by cię było na łgarstwo?

Mateusz nie wstydził się przed Natanielem swojej słabości, załamania i łez, Nataniel nie śmiał pocieszać go w godzinie rozpaczy płytkimi słowami.

– Pozwól sobie pomóc – cicho prosił łkającego mężczyznę. – Potrzebujemy cię. Ja i Emilka. Potrzebują cię dzieci z ośrodka. Nawet ten wredny, wydawałoby się, Sodarow, on także się martwi, że sobie coś zrobisz...

– Wiesz, wolałbym, żeby była z nim. Szczęśliwa, chociaż tak trudno było mi znieść nie jej, a jego szczęście... Nie zasługiwał na to, nie zasługiwał na Martę! Ale teraz z radością bym na nich patrzył, żeby tylko żyła... żeby moja duszeńka żyła... – Oparł czoło o pierś przyjaciela i szlochał rozpaczliwie, jakby miał nigdy nie przestać. Nataniel mógł go jedynie trzymać w silnym uścisku.

– Wiesz, że kiedyś się spotkacie? – wyszeptał, gdy łkanie nieco ucichło.

– Mam taką nadzieję – usłyszał w odpowiedzi. – Mam taką nadzieję...

– Do tego czasu musisz trwać. Jeśli sam siebie wykończysz... Wiesz, że możesz Marty nie spotkać?

– Bóg nie byłby tak okrutny, żeby odbierać mi ją i po śmierci.

– Mateusz... – Chłopak oparł dłonie na drżących ramionach mężczyzny i postawił go przed sobą.

Ten podniósł nań załzawione oczy.

– Musisz dotrwać do czasu, gdy znów się spotkacie. Pozwól, żebym ci pomógł.

Mężczyzna pokiwał głową, chociaż w oczach nie miał krzty nadziei. Nie

tliła się w nich najmniejsza iskra życia. Były puste i martwe jak oczy Nataniela jeszcze kilka dni temu, gdy patrzył na zgliszcza, które kiedyś były jego domem. Jego miejscem na ziemi. On stracił tylko to miejsce, Mateusz kogoś, kto był dlań całym życiem. Patrząc w te oczy, samemu traciło się wiarę, że kiedyś odzyskają blask...

Nataniel ujął starszego mężczyznę pod łokieć i łagodnie poprowadził go do sypialni. Tam Mateusz położył się na łóżku, pozwolił okryć kołdrą, po czym zasłonił twarz przedramieniem i nie odezwał się więcej. Tylko po policzku spłynęła mu łza. Chłopakowi nie pozostało nic więcej, niż wyjść przed dom, wyjąć telefon, wybrać numer Zosi i zacząć, gdy tylko odebrała:

– Kochana moja, czy mógłbym przyjechać po twoją mamę już teraz? Mateusz jest zupełnie niegroźny, słaby jak dziecko. Ma siłę jedynie na rozpacz. Bardzo przydałby się ktoś, kto po prostu przy nim będzie. Cierpliwy i łagodny.

– Moja mama nadaje się do tego idealnie – odezwała się Zosia.

– Tak właśnie pomyślałem.

– Masz samochód? Przyjedziesz po nią?

– Wezmę od Mateusza. Czekaj na mnie. Za kwadrans będę.

Rozłączył się, zajrzał raz jeszcze do mężczyzny, który leżał nieruchomo, tak jak go Nataniel zostawił, po czym wybiegł z domu i wsiadł do nissana.

Pół godziny później wracał do leśniczówki w towarzystwie Marianny Micińskiej.

Kobieta weszła powoli do kuchni, wspierając się na kulach, Nataniel zakrzętnął się przy rozpakowywaniu wiktuałów dla dwojga, w które zaopatrzyła ich Zosia. Patrząc na ilość słoików i owiniętych w folię aluminiową pakunków, można było sądzić, że nadchodzi potop albo co najmniej wojna. Jedno było pewne: Marianna z Mateuszem z głodu nie umrą.

Wreszcie wszystko zostało pochowane w szafkach i lodówce.

– I-idź do Ee-emilki, Nat-tuś – odezwała się kobieta, siłując się z każdą głóską. – Daa-amy sobie raadę.

– Jeśli coś by się wydarzyło, proszę dzwonić. Zapisalem dwa numery szybkiego wybierania, jeden do mnie, drugi do Zosi. Przyjedziemy natychmiast.

– Nii-ic się nie wydaa-arzy. – Poklepała go uspokajającym gestem po dłoni.

Nie pozostało mu nic innego, jak wsiąść do nissana i zostawić Mariannę samą z tym trudnym wyzwaniem. Ona przeszła do pokoju, gdzie leżał Mateusz, usiadła w głębokim wygodnym fotelu, ujęła w jedną dłoń tamborek, w drugą igłę z nitką i zajęła się robótką. Spod jej palców zaczął wyłaniać się kolejny obraz. Tym razem małej Emilki...

...która uradowana wybiegła Natanielowi naprzeciw. Zawisła mu na szyi, obdarowała całusami w oba policzki i wypaliła, cała z siebie zadowolona:

– Mam chłopaka!

Nataniel uniósł brwi w niemym zdumieniu.

– Naprawdę? – zapytał, próbując zachować powagę.

– Jest ze mną w grupie i nie ma zęba! Wypadł mu dzisiaj przy śniadaniu, a Piotruś tego nie zauważył i go połknął! Teraz ten ząb urośnie mu w brzuchu albo w lelitach!

– Jelitach – poprawił ją z przyzwyczajenia.

Szła obok niego do samochodu, podskakując niczym podekscytowany wróbel, i nawijała:

– On, czyli Piotruś, jeszcze nie wie, że jest moim chłopakiem, ale obiecał, że następny ząb mi podaruje, a to coś znaczy, prawda, wujku? Jak dajesz dziewczynie coś cennego, to ona się staje twoją ukochaną, prawda? A taki ząb jest cenny! Ada dostała za swój mleczak od Wróżki Zębuszki całe dwa złote! Złote, wujku! Szczerozłote!

Nataniel naprawdę próbował się nie roześmiać, ale coraz słabiej mu to wychodziło. Gdy Emilka dodała: „Ja swoje zęby podaruję tobie!”, parsknął śmiechem.

Dziewczynka spojrzała nań z dezaprobatą.

– Nie śmieję się, wujku, nie śmieję. Ile nowych domów, żebyśmy mieli gdzie mieszkać, postawisz za dużo złotych? No ile?

Powinien zrobić dziecku w odpowiedzi wykład o wartości zębów i pieniądza, ale... nie miał serca. Emilka była tak przejęta, tak pełna dobrych chęci...

– Dużo? – odpowiedział pytaniem.

– Właśnie! Jeśli podaruję ci coś tak cennego, będzie to znaczyć, że jestem twoją dziewczyną?

– Nie! – przestraszył się, a gdy mała wygięła usta w podkówkę, gotowa się rozpłakać, dodał spokojniej: – To niemożliwe, bo już jesteśmy rodziną. Małe dziewczynki nie wychodzą za wujków.

– A przed wujków?

– Także nie. Gdy nieco dorośniesz, zakochasz się w chłopcu z twojej... grupy, może w Piotrusiu, i...

– W nim nie. Nie chcę mieć męża bez zębów.

– Przecież wyrosną mu nowe! Stałe!

– Ale kiedy to będzie... – Westchnęła ciężko, unosząc ramionka, po czym zapominając o zębach i narzeczonych, spytała rzeczowo: – Co będzie na kolację, wujku Natanielu, i czy mogą być do tego mleka czekoladowe kulki zamiast zdrowych i pożywnych muszli?

– Musli – znów ją poprawił.

– Mówi się „muszla”, a nie „musla” – odparła wyniośle i wdrapała się do fotelika.

Jemu pozostało zapiąć jej pasy, usiąść za kierownicą i ruszać w kierunku dworu nad jeziorem. Z Emilką nie miał szans. Tego czarcięcia nikt nie przegada.

Dziecko, zmęczone nadmiarem wrażeń, usnęło zaraz po bajce na dobranoc. Nataniel, choć równie wykończony, usiadł przy biurku i otworzył laptop, nim jednak zabrał się do pracy, zadzwoniła Zosia z wiadomością, że mama chce zostać w leśniczówce na noc, bo jej zdaniem nie należy zostawiać Mateusza samego. Nataniel odetchnął z ulgą. Chociaż ta troska spadła mu z serca. Przynajmniej na razie. Jutro z samego rana odwiezie Emilkę do przedszkola – tym razem dziecko nie będzie tak lamentować, prawda? – a potem zajrzy do leśniczówki, jak Marianna sobie radzi.

Pochylił się nad komputerem i zatracił się w projektowaniu strony. Przerwał mu następny telefon.

– Cześć, Nat. – Usłyszał głos Sodarowa. – Sorry, że tak późno, ale miałem dziś urwanie głowy. Spotkanie po spotkaniu. Lecz warto było. Mam dobre wieści, które na pewno cię ucieszą. Dlatego dzwonię.

– Zamieniam się w słuch – mruknął Nataniel, nie przyznając się przed samym sobą, że jest zaintrygowany.

Jakie wieści mógł mieć Siergiej niemal o północy? Pikantne szczegóły tych spotkań będzie mu opowiadał? Nie powinien tak myśleć o przyjacielu, ale nie mógł się powstrzymać, by go o to nie zapytać.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wreszcie Siergiej odezwał się:

– Nadal czyń takie insynuacje, to niczego się nie dowiesz, a gdy spotkam cię na swojej drodze, już niedługo, stracisz zęby.

– Wtedy pójdę na chorobowe, będę się wylegiwał w łóżku do południa, a ty zapłacisz odszkodowanie – odparował chłopak. – Mów.

– Dogadałem się z trzema facetami, którzy pozwalają Iwonę! Nie myśl, że było to takie łatwe, bo rozmowy toczyły się przy świadkach, żeby broń Boże sąd nie podejrzewał prób nacisku czy szantażu, ale w końcu wszyscy trzej

zgodzili się przyjąć pieniądze jako zadośćuczynienie.

– Iwona wyjdzie na wolność?!

– Nie tak szybko. Trzeba wnieść prośbę o warunkowe zwolnienie. Znajomy prawnik, bardzo dobry i bardzo drogi, już się tym zajął. Trzymaj kciuki, Nat, za matkę swojej siostry. Może nie jutro i nie za tydzień, ale za parę miesięcy powinna być wolna.

– O ile doczeka tej wolności.

– Twoja i moja głowa w tym, żeby dotrwała. W szpitalu czy za kratami, to bez znaczenia, byle dożyła.

– Pojadę do niej, gdy tylko... – urwał.

Tyle problemów i pilnych spraw domagało się jego uwagi. Praca – tak, zlecenie było teraz najważniejsze! Dokończyć stronę dla „Lubaszki”, żeby spokojnie mógł żyć z Emilką tutaj, w dworku, dopóki nie znajdzie czegoś innego. Potem Mateusz, którego nie można było zostawić samego nawet na moment. Emilka w końcu, stęskniona za obecnością Nataniela, chociaż przecież była pod dobrą, czułą opieką Micińskich, na koniec... tak, jeśli Sidło nie blefował i rzeczywiście chce odbudować dom Nataniela, trzeba będzie w tym przedsięwzięciu uczestniczyć...

„A ty znów szukasz wymówek, by nie jechać do Świecia” – westchnął w duchu.

– Pojadę do niej jutro. Gdy tylko odwiozę Emilkę do przedszkola – rzekł na głos.

– I super, stary! Ja z samego rana gnam do sądu kopiować akta, nakazał mi to prawnik, dobrze, żebyś ty przekazał Iwonie tę wiadomość. A może nie? Może nie robić jej jeszcze nadziei?

– Nadzieja trzyma przy życiu – uciął stanowczo Nataniel.

Nie wolno odbierać Iwonie czegoś, co doda jej woli do wytrwania w tym piekle. Musi wierzyć, że przyjaciele są przy niej, nawet jeśli dzieli ją od nich

pół Polski. Że walczą o to, by wyszła z więzienia jak najszybciej. Walczą o nią.

– Będę jutro – powtórzył.

– To chciałem usłyszeć – odparł Sodarow. – Na koniec przyjacielskiej pogawędki mam dla ciebie jeszcze jedną rewelację: odnalazłem twoją rodzinę.

Nataniel oniemiał.

– I nie mówię tu o Bugajach, bynajmniej. Takiej rodziny raczej nie chciałbym ci przedstawiać. Zdobyłem jednak namiary na kogoś, kto jest ci o wiele bliższy niż oni... – zawiesił głos, drażniąc się z chłopakiem.

– Mógłbyś mnie nie wkurzać? – zapytał uprzejmie Nataniel, gdy cisza po drugiej stronie przedłużała się. – Kto to jest?

– O tym w następnym odcinku – odparł złośliwie Siergiej i rozłączył się.

ROZDZIAŁ XI



Jeśli którykolwiek rodzic łądzi się, że dziecko będzie bez protestów zostawało w przedszkolu już następnego dnia po tym, jak pozna panie wychowawczynie i dzieci – jest w błędzie. Emilka, tak jak poprzednio, uczepiła się nogi Nataniela i zawodziła na cały Pisz. Chłopak, oszołomiony i pełen podejrzeń, już miał brać dziecko pod pachę i uciekać dokąd nogi poniosą, gdy dyrektorka z cierpliwym uśmiechem odebrała dziewczynkę z jego rąk i rzekła tak spokojnie, jak tylko dyrektorki przedszkoli, które takie brewerie widzą na co dzień, potrafią:

– Panie Natanielu, proszę mi wierzyć, że Emilka uspokoi się po dwóch minutach, z zegarkiem w ręku, i pobiegnie jak gdyby nigdy nic bawić się z dziećmi. – W tym momencie dziewczynka umilkła na chwilę, bo kolega z jej grupy, szczerbaty, uśmiechnięty łobuziak, być może ten, na którego zagięła parol, przebiegł obok, niosąc pudło kolorowych klocków. – Naprawdę proszę się nie martwić – dodała szybko dyrektorka i zabrała małą, która znów podniosła lament, do drugiej sali, z której dobiegał ożywiony gwar dziecięcych głosików.

Wychowawczynie podeszła do nieszczęśliwego, przejętego do granic chłopaka i poradziła:

– Proszę poczekać parę minut na zewnątrz, tak żeby Emilka pana nie widziała. Umówmy się, że jeśli w ciągu pięciu minut nie przestanie płakać, może pan po nią wrócić.

Ze złamanym sercem zrobił to, co doradziła.

Jeszcze był na korytarzu, gdy zawodzenie Emilki tak jakby cichło... Gdy wyszedł z budynku i ukrył się za wiatą, gdzie trzymano narzędzia ogrodnicze, umilkło zupełnie. Teraz słychać było wesoły szczebiot przedszkolaków.

Zdumiony, pokręcił głową i wrócił do samochodu. Jeszcze podjedzie do leśniczówki sprawdzić, jak radzi sobie z Mateuszem pani Marianna, a potem wyruszy w kilkugodzinną podróż do Świecia, do Iwony.

Ledwo wjechał za bramę, a już wybiegł mu naprzeciw wesoły, najedzony i wyszczotkowany Reksio. Wylewnie powitał Nataniela. Ten zapukał do drzwi, nacisnął klamkę i nagle znalazł się w zupełnie innym domu niż jeszcze wczoraj. Przede wszystkim pachniało tu. Pachniało świeżym drożdżowym ciastem. Chłopak poczuł wilczy głód.

Z kuchni doszło go szuranie czyichś nóg i oto zdążyła ku niemu Marianna Micińska, uśmiechająca się jak zwykle nieśmiało. Zaprosiła go gestem do stołu i chciała zaparzyć świeżej herbaty, ale odsunął ją delikatnie, acz stanowczo od kuchenki i sam nastawił wodę. Radziła sobie o jednej kuli, z trudem, ale radziła, co nie znaczyło, że miałyby wyręczać Nataniela w tak prostej czynności jak zagotowanie wody...

– Mateusz? – zapytał półgłosem.

– W łóó-óźku – odparła równie cicho. – M-ma gorącz-kę. Poo-odałam mu lee-eki.

Podziękował jej spojrzeniem i ruszył do sypialni Mateusza.

Mężczyzna leżał w ciemnym pokoju z chłodnym kompresem na czole. Całym jego ciałem wstrząsały dreszcze. Nataniel usiadł na fotelu obok i zapytał z troską:

– Co z tobą, przyjacielu?

Ten uchylił powieki, przekrwione i opuchnięte, i wychrypiął:

– Marysi powiedziałem, że to grypa, ale ty już wiesz co.

– Gorzała z ciebie schodzi?

Mateusz przytaknął.

– Odczekam kilka godzin i poproszę Mariannę, by dała mi leki uspokajające. Po nich jest trochę lepiej. No i kroplówki, one też pomagają.

Dzięki ci, chłopcze. – Odszukał dłoń Nataniela i uścisnął. – Chociaż wiesz, że... nie chcę tego?

Nataniel wolał nie odpowiadać. Poprosił za to:

– Bądź miły i łagodny dla pani Micińskiej, bardzo cię proszę. Ona jest... bardzo delikatna, wrażliwa. Gdybyś rozmawiał z nią tak, jak całkiem niedawno ze mną...

– Ty jesteś facet, przyjaciel! Więcej zniesiesz! – obruszył się Mateusz. – Nie śmiałbym być wobec niej gruboskórny. Gdy jest naprawdę źle, Marysia w jakiś sposób to wyczuwa i wychodzi do kuchni. Ja mogę walić pięścią w ścianę i kląć w poduszkę do woli.

– Jest aż tak ciężko?

– Weź, Nat, lepiej nie pytaj... Ty nie miałeś żadnych rewelacji po zeszłorocznym chlaniu?

Prawdę mówiąc, Nataniel nie miał czasu na rewelacje, bo chwilę po odstawieniu alkoholu musiał się zająć małą, pięcioletnią dziewczynką bez mamy. I zapomniał o wódce. Do dziś nie pił nawet piwa i zupełnie go do tego nie ciągnęło.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – zapytał przyjaciela. – Leki przywiezie doktor Micińska. Nie zgodziła się, byś dostał więcej niż dawkę na jeden dzień.

– Aż tak mi nie ufacie?

– Tak się o ciebie boimy – sprostował Nataniel.

Mateusz przymknął powieki.

– Niepełnosprawna, drobna, delikatna kobieta nie powinna się zajmować takim bykiem jak ja. To ponad jej siły – mruknął, nie otwierając oczu.

– Powie choć słowo i ja ją zastąpię. Myślę jednak, że niedługo wstaniesz i sam się przy sobie zakrzątniesz, a pani Micińskiej pozostanie rozpieszczanie cię wypiekami. To drożdżowe tak cudnie pachnie... – Wciągnął do płuc

jedyny w swoim rodzaju aromat ciasta z rodzynkami, przed momentem wyjętego z piekarnika.

– Przyniesiesz mi kawałek?

Pokręcił głową, nic sobie nie robiąc z błagalnego tonu Mateusza.

– Nie jesteś obłożnie chory. Tylko ręce trochę ci się trzęsą.

– I w głowie mi kołuje.

– I kręci ci się w głowie. Mogę cię podeprzeć, ale do kuchni po ciasto przejdiesz sam. Kapałeś się dzisiaj?

– Byłem w toalecie, nie bój nic – odburknął Mateusz. – Mam niewiastę w domu – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało. I tak właśnie było. Mężczyzna mógł nie mieć wstydu przed przyjacielem, ale obecność obcej kobiety do czegoś jednak zobowiązywała.

Podniósł się, odtrącił pomocną dłoń chłopaka i stanął, przytrzymując się lekko ściany. Ruszył powoli ku drzwiom. Zanim jednak wszedł do kuchni, gdzie krzątała się przy herbacie pani Marianna, odwrócił się do Nataniela i zapytał tak cicho, by kobieta nie słyszała:

– Kiedy Marysia wraca do domu?

Chłopak błysnął złośliwym spojrzeniem, bardzo w tej chwili przypominając Sodarowa:

– Pomyślimy o tym w dniu, gdy nie będziesz się już mógł bez niej obejść.

– Wiedziałem – odmruknął mężczyzna, wzdychając ciężko, z rezygnacją, nie po raz pierwszy pokonany przez spisek przyjaciół.

ROZDZIAŁ XII



*D*roga do szpitala w Świeciu wiała się przepięknie pośród mazurskich pól, łąk i lasów. Nataniel zostawiał za sobą tragiczne wydarzenia ostatnich tygodni, smutek i żal, rozpacz i beznadzieję. Problemy, z którymi musiał się mierzyć, z kilometra na kilometr zdawały się coraz błahsze, coraz łatwiejsze do rozwiązania. Dopóki żył i miał siłę walczyć z przekornym losem, będzie walczył. Wreszcie postanowił zapomnieć chociaż w tej chwili o wszystkim, co zostawił w Sennej. Włączył miłą dla ucha muzykę i po prostu poddał się czarowi wczesnego majowego przedpołudnia...

Cztery godziny później parkował pod przytłaczającym, pamiętającym czasy Prus budynkiem z czerwonej cegły, który bardziej przypominał koszary niż szpital dla nerwowo i psychicznie chorych. Korytarz był równie ponury, ale już świetlica oddziału, na którym przebywała Iwona, sprawiała miłsze wrażenie.

Czekając na dziewczynę, Nataniel obejrzał obrazy namalowane przez pacjentów ośrodka. Niektóre były naprawdę piękne. Inne zaskakujące. Obok żadnego nie dało się przejść obojętnie. Coś było w powiedzeniu, że aby mieć chorą duszę, trzeba tę duszę w ogóle mieć.

– Nataniel – rozległo się za jego plecami.

Odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z cieniem dawnej ukochanej. Była chyba jeszcze chudsza, jeszcze bardziej przezroczysta, niż kiedy widział ją kilka tygodni temu, tuż po próbie samobójczej. Jeśli nosił w duchu cichą nadzieję, że Iwona wraca do zdrowia i przynajmniej o nią nie będzie się martwił, nadzieja ta właśnie gasła.

Ujął jej blade, zimne dłonie. Uścisnął.

– Cześć, kochana. Jak się czujesz? – zadał banalne pytanie, na które chciał jednak znać odpowiedź.

Wzruszyła ramionami.

– Tutaj dobrze, ale nie mogę wrócić do więzienia. Nie mogę, rozumiesz?! – podniosła głos.

Pacjentka rozkładająca pasjansa na stoliku obok syknęła, nie unosząc wzroku znad kart.

– Siergiej robi, co może, by zwolnili cię warunkowo – zapewnił szybko. – Usiądź, porozmawiajmy.

Przez chwilę trwało niezręczne milczenie. Zupełnie jakby kilka miesięcy temu nie byli kochankami. Jakby nie było tak, że on nie mógł bez niej żyć chociaż przez minutę, ona zaś... cóż... bez jego pieniędzy. Teraz z tamtego opętania, którego nie można było przecież nazwać miłością, nie został nawet cień serdecznych uczuć.

– Był u mnie. – Iwona odezwała się pierwsza. – Potrzebował pełnomocnictwa do tych wszystkich... – Machnęła ręką. – Mówił, że spłaci facetów, których... naciągnęłam. I że spróbuje wyrwać mnie z pierdła tak szybko jak to możliwe. Ale ja czekam i czekam! Za każdym razem, gdy gadam z doktorem, proszę go, by mnie nie wypisywał. Bo znów to zrobię, rozumiesz? Zrobię to!

– Rób, tylko ciszej nieco – warknęła pacjentka zajęta kartami.

Iwona posłała jej złe spojrzenie, zaś Nataniel odezwał się najłagodniej, jak potrafił:

– Proszę cię, wytrzymaj. Naprawdę wszyscy robimy, co w naszej mocy, żeby pomóc tobie i Emilce...

– Emilka! Moja mała córeczka... Jak ona się miewa? Pewnie urosła? – Na chwilę w zgaszonych oczach dziewczyny zapłonął słaby płomyk.

– Tęskni za tobą. Myśli o tobie i cię kocha. Musisz do niej wrócić.

Dziecko musi mieć matkę.

– Nawet jeśli stąd wyjdę... co ze mnie będzie za matka? Jestem prostytutką, przecież wiesz – ściszyła głos.

– Byłaś. I na pewno do tego nie wrócisz – uciął stanowczo.

– Będziesz utrzymywał mnie i dziecko? – zapytała z powątpiewaniem. – Niby ty?

– Będę – rzekł równie stanowczo co poprzednio. – Z tobą nic mnie nie łączy, ale Emilka jest ponoć moją siostrą. To prawda?

– Prawda – odpowiedziała z niechęcią. – Miałam przyjemność z twoim ojcem, choć tylko na początku była to przyjemność, szybko się skończyła, bo zaszłam w ciążę. Następnego dnia, gdy mu o tym powiedziałam, obudziłam się w pustym domu. Spakował się w nocy i przepadł bez głupiego „pocałuj mnie w dupę”. A już myślałam, że trafiłam na poważnego, odpowiedzialnego faceta...

Przerwała na chwilę. Nataniel nie odzywał się, nie komentował. Czekał na każde jej słowo, chociaż nie chciał ich słuchać.

– Był ode mnie prawie trzy dychy starszy, wiesz? Nobliwy, przystojny pan pod pięćdziesiątkę. Ja – dwudziestoletnia gówniara przepędzona z domu przez starego. Uczepiłam się Szpondera niczym brzytwy. A on... obsypywał mnie prezentami i komplementami. Puszył się przed znajomymi, jaką to ma piękną, zakochaną w sobie narzeczoną. Zabierał mnie na rauty i biznesowe spotkania, bo prowadził jakiś tam niewielki handel z przyjaciółmi zza Buga. Wynajął dla nas maleńkie mieszkanko i oprócz tego, bym dobrze starego capa karmiła, opierała i oczywiście dawała dupy na każde zawołanie, nie musiałam robić kompletnie nic. Tylko leżeć i pachnieć, gdy mój pan i władca wracał do domu. Spodobało mi się to, wiesz? Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale bycie utrzymanką nie jest takie złe. Jeszcze jak się coś czuje do sponsora... Da się żyć.

Nataniel zmilczał i to. Owszem, zarumienił się z przykrości, wiedząc, że

Iwona i o nim mówi w tak lekceważący sposób, lecz cóż... zasłużył.

– Bajka się skończyła, gdy okres mi się spóźnił i na teście ciążowym wyskoczyły dwie kreski. Następnego dnia nie było narzeczonego. Ja zostałam z długami za czynsz, bo jak się okazało, oprócz kaucji i pierwszego miesiąca za następne łajdus nie płacił, i z rosnącym brzuchem. Jednak powiedziałam sobie: to dziecko się urodzi! Nie zabiją mi go!

Pacjentka od kart podniosła głowę i już otwierała usta, by uciszyć Iwonę, gdy ta warknęła:

– Zamknij się i spieprzaj!

Tamta podniosła się potulnie i po chwili zostali w świetlicy sami.

– Najgorsze jest to, że kochałam twojego ojca, tego sukinsyna – odezwała się Iwona żalnym głosem. – Prawdę mówiąc, w każdym z was się trochę zakochiwałam. Taka już moja natura. I w nim, i w tobie, w Siergieju też... I każdy z was zostawiał mnie z niczym.

– To ty mnie zostawiłaś! – W głosie Nataniela zabrzmiały gniew i uraza, ale ona machnęła ręką, jakby znała tylko swoją prawdę, a czyjeś inne uczucia mało ją obchodziły. I tak pewnie było.

– Urodziłam Emilkę. Wróciłam do starych, ale pozwolili mi zostać tylko przez pierwszych kilka tygodni po porodzie. Co miałam zrobić? Wróciłam do jedyne go zawodu, w którym byłam niezłą. Jedyne go, który tak naprawdę znałam. Wieszłam się na co bogatszych facetach, próbując upolować stałego sponsora. Znalazłam mieszkanie w Warszawie, bo tam łatwiej można było się urządzić, Emilka rosła, zajmowały się nią dobre nianie. I nagle... odzywa się Magda, że ten stary cap jest umierający i prosi, żebym do niego przyjechała. Pokazać mu dziecko.

– Magda? – Nataniel uniósł brwi. – Kim jest Magda? Jego żoną? Kochanką?

– Nie, głupku. Jego pierwszą córką. Twoją starszą siostrą. Tym jest właśnie Magda Śniegocka. Pierwszym zmaistrowanym i porzuconym przez

Szpondera bękartem. Ty jesteś drugi. Moja Emilka – trzecia. O nikim więcej nie wiem.

Nataniel osłupiał. Opadł na oparcie krzesła i patrzył na Iwonę wielkimi oczami, w których malowały się szok i niedowierzanie. Ona, zupełnie nieprzejęta wstrząsem, jaki mu zafundowała, mówiła dalej:

– Pojechałam, a co mi tam. Może drań zostawi dziecku jakiś spadek? Ale Szponder nie dość, że był przeżartym rakiem sukinsynem, to jeszcze splukany sukinsynem. Nory, w której dogorywał, nie można było nazwać domem. Magda zajmowała się nim, ale bez zbytniego zaangażowania, bo też Szponder nie wykazał żadnego zainteresowania nią. Przez całe życie udawał, że najstarsza córka nie istnieje, i przypomniał sobie o niej dopiero wtedy, gdy został sam. Z rakiem. Tak mi mówiła i ja jej wierzę. Posiedziałam przy nim, wysłuchałam płaczliwych zwierzeń, jakie to miał parszywe życie, on, rozumiesz? Bydlak, co to porzucał dziewczyny, gdy tylko którąś zapylił! Zniosłam przez godzinę czy dwie uzalenie się starego dziada nad samym sobą i wreszcie, gdy chciałam się chłodno pożegnać i uciec gdzie pieprz rośnie, ten wyjeżdża z sensacją, że jest jeszcze ktoś. Że Emilka i Magda mają brata. Ciebie.

Szturchnęła chłopaka w pierś.

On cofnął się jak rażony piorunem.

– Wyszperał z barłogu list – mówiła dalej – ostatni, który napisał, i ostatni, którego nie wysłał, a tam twoje imię, nazwisko i adres. Warszawski adres. Wzięłam od drania kopertę, obiecując, że wyślę list, ale tak jakoś wyszło, że o nim zapomniałam. Przypomniałam sobie, dopiero gdy grunt zaczął mi się palić pod nogami, a policja ściagała mnie za oszustwa i wyłudzenia. Chociaż... tak po prawdzie... co ja się tam nawyłudzałam. Po prostu odbierałam to, co mi się należało. Młoda, śliczna kochanka nie jest przecież za darmo! Jedynie te durne stare capy myślą, że lecimy na ich intelekt i powab. Gówno prawda. Interesowały mnie tylko ich pieniądze. Dla dziecka. Trochę też dla mnie, ale przede wszystkim dla dziecka.

Umilkła, jakby to był koniec bajki.

Nataniel mógł się domyślić reszty. Znalazła jego dawne mieszkanie, ale nie zastała już ani mamy Nataniela, ani jego samego. Szukała pewnie dalej. Trafiała w internecie na wizytówkę jego firmy, poprosiła o pomoc w odnalezieniu brata swojej córeczki-sierotki któregoś z kontrahentów albo wydawców, ten miał miękkie serce, więc podał uroczej, zapłakanej dziewczynie tutejszy adres: Senna, kolonia numer dwa. I tak oto Iwonka zawitała do chaty nad jeziorem, by złamać Natanielowi serce... Ale też obdarować go, pewnie wbrew woli, czymś bezcennym. Małą siostrzyczką. Zaraz, zaraz, nie jedną!

– Mówiłaś, że Magda... Jest córką...

– Tak. To twoja siostra. Starsza od ciebie o jakieś siedem, czy osiem lat. Fajna. Polubisz ją – odparła dziewczyna obojętnie.

Nataniel w tym momencie wszystko zrozumiał. Właśnie ją Sodarow miał na myśli, Magdę Śniegocką, napomykając o odnalezionej rodzinie chłopaka!

– Gdzie ona mieszka? Dasz mi jej adres albo chociaż telefon? – poprosił bez chwili namysłu.

Chciał poznać swoją starszą siostrę. Jak najszybciej. Ktoś, kto opiekuje się schorowanym ojcem, choćby ten postąpił z nim najpodlej, musi być porządnym, dobrym człowiekiem.

– Nie mam nic. – Iwona musiała go oczywiście rozczarować. – Zrozum: wpadłam do tamtej nory i wypadłam z niej równie szybko. Miałam jedynie list do ciebie. Chciałam przy najbliższej sposobności podać ci adres do starego Szpondera, ale Sodarow, który miał go odnaleźć, powiedział, że tamten umarł, niech mu ziemia mimo wszystko lekką będzie. Tak więc... – Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Ale przecież... – Nataniel aż wstał. Jak Iwona może mu odbierać rodzinę, siostrę!, skoro przed chwilą go tą rodziną obdarowała?! – Znajdę ją – postanowił. – Dla siebie i dla Emilki. Magda jest przecież i jej siostrą. Znajdę

ją... – powtórzył i już miał ruszyć do wyjścia, gdy zatrzymało go żalosne, jęgliwe pytanie Iwony:

– Ty ją znajdziesz, a o mnie zapomnisz? No tak, po co ci wariatka, przestępczyni, skoro masz nie tylko moje dziecko, ale i kogoś do opieki nad nim.

– Przestań! – syknął, odwracając się ku niej, niczym żmija. – Wykorzystywałaś mnie w jednym celu: żeby znaleźć bezpłatną opiekę właśnie dla Emilki. Że nie wspomnę o wyciągnięciu z mojego konta grubej kasy. Przestań się nad sobą użalać, przestań pogrywać ludźmi. Ci, którzy mają sumienie i serce na miejscu, starają się pomóc tobie i dziecku. Walczą, byś wyszła z kryminału, oddając okradzionym przez ciebie facetom własne ciężko zarobione pieniądze. Otrząśnij się, kobieto! Skończ z życiem pieprzonej glisty ludzkiej, weź się do uczciwej roboty i zajmij się córeczką. Ona ma tylko jedną mamę, mamę, którą kocha. Emilka. Mówi ci jeszcze coś to imię czy o niej też zapomniałaś, bo przecież tylko tobie jest w życiu smutno i źle?! Informuję cię, że twoja córeczka, ta właśnie Emilka, dwa tygodnie temu straciła w pożarze dom i ukochaną ciocię, dobrą, wspaniałą doktor Kraszewską. Pamiętasz ją? Złamałaś jej serce wtedy na pomoście, pieprząc się z Siergiejem, i to serce parę miesięcy później nie wytrzymało. Marta zmarła na zawał, mając zaledwie czterdzieści parę lat, a ty użalasz się nad sobą?!

Iwona słuchała tego wybuchu na początku ze złością w przymrużonych oczach, ale ta złość zmieniała się stopniowo w poczucie winy, a na końcu w niedowierzanie.

– Naprawdę? – wyjąkała, gdy Nataniel skończył. – Marta nie żyje? Nie wiedziałam...

– Sodarow ci się nie zwierzył? Byliście tak blisko – odparł z gryzącą ironią.

– Prawdę mówiąc, nie siedział tu zbyt długo. Dostał, co chciał, i wyszedł. Nie był zbyt rozmowny. Naprawdę Marta miała zawał? I nie żyje?

– Na miłość boską, nie żartowałbym przecież z tak poważnych spraw! Tak. Zmarła na zawał serca w noc, w którą ktoś podpalił mój dom. Gdyby nie łut szczęścia, byłibyśmy z Emilką w środku, gdy to się stało.

Do dziewczyny nagle dotarła groza sytuacji. Pobladła tak bardzo, że pod białą skórą można było dojrzeć błękitną siateczkę żył.

– Ktoś chciał spalić ciebie i moją Emilkę... – wyszeptała. Do oczu nabiegły jej łzy.

Nataniel nie wiedział, czy są szczerze czy to kolejna z jej gier, i prawdę mówiąc, nie obchodziło go to. Przyjechał tu, żeby podtrzymać dziewczynę na duchu, prosić, by wytrzymała do chwili, gdy Siergiej wyciągnie ją z kryminału. Bez względu na to, czy Natanielowi udało się ją przekonać czy wręcz przeciwnie – ostatnią wiadomością dobił Iwonę całkiem – nic więcej nie mógł dla niej uczynić. Od tego miała lekarzy. I Sodarowa.

– Pójdę już – odezwał się łagodniejszym tonem.

Ona siedziała nieporuszona, ze spuszczoną głową i łzami kapiącymi na splecione dłonie. Jeśli był to pokaz gry aktorskiej, brawo, była dobrą komediantką, jeśli naprawdę słowa Nataniela tak ją poruszyły, może obudzi się w niej sumienie. Może Iwona Bugaj otrząśnie się w końcu z legendy, w jaką sama siebie oblekła, i stanie się normalną, czującą kobietą, uczciwie zarabiającą na siebie i swoją córeczkę, jak tysiące polskich kobiet, samotnych matek, czyni to przez całe lata bez słowa skargi. Bez uciekania się do nieczystych sztuczek czy okradania naiwnych. Życie naprawdę jest proste, zanim sami sobie je skomplikujemy...

– Nie będziesz wyczyniała żadnych głupstw? – zapytał na koniec.

– Próba samobójcza nie jest głupstwem – odrzekła szeptem.

– Wiem, przepraszam, źle się wyraziłem. – Położył dłoń na chudym ramieniu dziewczyny i uściśnął lekko. – Pamiętaj, że Emilka na ciebie czeka. I nie jesteś sama. Nie zostawimy ciebie i dziecka bez pomocy.

– Dziękuję. Siergiejowi też podziękuj. I... – Przytrzymała go za rękę,

uniosła nań ciemnogrnatowe oczy pełne łez. – Pomódl się w moim imieniu na grobie doktor Kraszewskiej. Mnie Bóg raczej nie wysłucha. – Pokręciła głową i ponownie wbiła wzrok w splecione na kolanach dłonie.

ROZDZIAŁ XIII



Tak się jakoś zdarzyło, że Nataniel zapomniał o tajemniczej siostrze – Magdzie Śniegockiej – o której wspomniała Iwona. Może nie tyle zapomniał, bo o takiej niespodziance od losu trudno nie pamiętać, co pogodził się z faktem, że na razie Magda w jego życiu nie zaistnieje. Nie miał jej adresu, telefonu ani żadnych bliższych danych oprócz imienia i nazwiska, które notabene mogła zmienić. Żeby być uczciwym w stosunku do samego siebie, zajrzał do internetu i na samym Facebooku znalazł kilkanaście osób tak się nazywających, ile więc Magd czy Magdalen Śniegockich było w całej Polsce? I nie tylko w Polsce! Ona mogła przecież mieszkać za granicą! Oczywiście można zawęzić poszukiwania do osób w odpowiednim wieku, ale... nie teraz, nie teraz! Miał naprawdę pilniejsze sprawy na głowie!

Pierwszą i najważniejszą było zlecenie od pana „Lubaszki”. Nataniel, choćby nie wiem jak się starał, nie mógł przyspieszyć prac, a doba nie chciała się wydłużyć. Projektowanie tak skomplikowanej strony wymagało uważności i skupienia. A skup się tu, gdy Marek Sidło zawraca ci głowę jakimiś papierami – a tak, w związku z budową domu – Emilka codziennie grymasi, że nie chce iść do przedszkola, natomiast gdy Nataniel odbiera ją po południu, z tego samego przedszkola nie daje się wyciągnąć do domu, panią Mariannę przy Mateuszu trzeba czasem zastąpić – kobieta potrzebuje odpoczynku, choćby nie wiem jak temu zaprzeczała, a na dodatek Siergiej, który obiecał wrócić lada dzień, wciąż włóczy się po świecie, pozostawiając zwierzęta na głowie Nataniela.

Chłopak kursował między ranczem, leśniczówką, przedszkolem, dworem i domem Micińskich niczym jakiś nawiedzony pątnik, każdą wolną chwilę poświęcając pracy zawodowej...

W ten sposób minęły mu maj i czerwiec.

Pierwszego lipca stała się rzecz straszna: na całe dwa tygodnie zamknięto przedszkole.

– Może pan zapisać Emilkę na dyżur letni, tu niedaleko, do ośrodka państwowego – poradziła mu pani dyrektor i Nataniel byłby skłonny to uczynić, gdyby nie Emilka.

Ta, gdy usłyszała, że nie zobaczy już swoich pań i Nataniel ma zamiar oddać – tak się wyraziła – oddać ją gdzie indziej, po prostu się rozchorowała.

W nocy dostała gorączki, na co młody mężczyzna zupełnie nie był przygotowany. Gdy termometr wskazał trzydzieści osiem i pół stopnia, Nataniel po prostu wpadł w panikę. Chwycił dziecko na ręce, owinął kołderką i pobiegł do samochodu. Kwadrans później zatrzymywał się z piskiem opon na opustoszałym przyszpitalnym parkingu. Emilka, która do tej pory grzecznie siedziała w foteliku na tylnym siedzeniu, zaczęła się niepokoić. Gdy wyciągnął ją z samochodu i zobaczyła, dokąd przyjechali, rozlamentowała się na całe gardło.

– Miluszko, ciii – zaczął uspokajać dziecko. – Pani doktor tylko cię zbada, może syropek poda...?

– Nie chcę! Dostanę zastrzyk! – krzychało dziecko, wyrywając się z jego drżących ze zdenerwowania rąk.

Lekarka z oddziału pediatrycznego nie była zachwycona krzycząca wniebogłosy pacjentką. Był środek nocy, dzieci spały, i niech śpią, na miłość boską!

– Proszę uspokoić dziecko – odezwała się szorstkim głosem, ale, cóż... mogła sobie prosić.

Nataniel nie bardzo wiedział, jak sprostać temu zadaniu. Błagał dziewczynkę, by zamilkła choć na chwilę, lecz nic więcej nie mógł uczynić. Przecież nie będzie na chorą Miluszkę krzychał! Ani tym bardziej jej bił!

– Co dziecku jest? – Lekarka sięgnęła po stetoskop, na co Emilka

zareagowała jeszcze głośniejszym zawodem.

– Ma temperaturę. Trzydzieści osiem i pół – odparł Nataniel podniesionym głosem, by ją przekrzyczeć.

– I...? – Kobieta spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– I to chyba wszystko – odparł zmieszany, korzystając z chwili, że Emilka nabrała powietrza do płuc, by krzyczeć jeszcze głośniej.

– Od kiedy ma tę gorączkę?

– Nie wiem. Gdy szła spać, nic jej nie dolegało. W nocy mnie zawołała... Patrzę, ma błyszczące oczy, coś mnie tknęło, dotykam czoła: rozpalone. Pobiegnę po termometr i proszę, gorączka. Więc od razu przyjechałem tutaj! – Jego ostatnie słowa odbiły się echem od ścian, bo Emilka, zainteresowana latarką, którą podała jej pani doktor, nagle umilkła.

– Proszę pana – zaczęła lekarka zwodniczo łagodnym tonem – które to zachorowanie dziecka w pana ojcowskiej karierze?

– Pierwsze – odparł szczerze. Emilka była wyjątkowo zdrowym dzieckiem, a poprzednio zachorowała przy Marcie, nie przy nim, na całe szczęście.

– Pierwsze od... ile dziewczynka ma... pięciu czy sześciu lat?

– Opiekuję się nią od grudnia zeszłego roku, to sześć miesięcy. I jakiś tydzień.

– Rozumiem. Przedtem dzieckiem zajmowała się matka, natomiast tatuś nagle sobie przypo...

– Jestem wujkiem Emilki, nie ojcem – wpadł jej w słowo, żeby za dużo nie powiedziała.

Ale to jej nie przekonało.

– Czy to jej matka oddała ją panu na wychowanie? Jest pan z tym dzieckiem spokrewniony?

– Co pani sugeruje...? – Tym razem on się nastroszył.

– Niepokoję się, że obcy człowiek, który nie za bardzo radzi sobie z tym dzieckiem...

– Nie jestem dla niej obcym człowiekiem! Jestem jej bratem!

Urwała. Uniosła brwi. I nagle złagodniała. Brata, który pod nieobecność matki zajmuje się siostrzyczką, sam, od pół roku, w całej swojej karierze jeszcze nie oglądała.

– Ty jesteś moim bratem, wujku Natanielu?! – wykrzyknęła nagle Emilka, która wcale taka zajęta latarenką nie była. – Prawdziwym, najprawdziwszym bratem, a nie wujkiem?! – Dotknęła jego policzka małą rączką, zdumiona i uradowana.

Lekarka zaś ponownie się nastroszyła. Coś zaczęło się jej bardzo nie podobać. Oto w środku nocy wpada do pokoju lekarskiego młody mężczyzna z małą dziewczynką na rękach, owiniętą kołdrą, a owa dziewczynka nie wie, że to jej brat... Mimo że ów „wujek” opiekuje się nią od pół roku! To bardzo, ale to bardzo podejrzane. Takich „wujków”, co to lepią się do swoich małych „siostrzeniczek”, paru w życiu już spotkała...

– Muszę dziecko zbadać – odezwała się tonem ostrzejszym niż przed chwilą. – Proszę postawić małą na podłodze i poczekać na korytarzu.

Nataniel pragnął uczynić to, co nakazała, naprawdę chęci miał szczere, ale Emilka – którą za chwilę porzuci – dostała hysterii. Krzyk znów poniósł się szpitalnymi korytarzami. Do pokoju zajrzała pielęgniarka i poproszona o pomoc, próbowała oderwać dziecko od Nataniela. Z mizernym skutkiem, bo Emilka trzymała się jego ramienia z nadludzką siłą. Nie wiadomo, jak i kiedy by się to skończyło, gdyby dobry Bóg nie zesłał... Zosi Micińskiej.

Dziewczyna nadbiegła korytarzem i poznając głos Emilki, wpadła do pokoju lekarskiego.

– Zosiu! – wykrzyknęli unisono lekarka z Natanielem, po czym spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Już jestem, Miluszko, już jestem! – Dziewczyna przytuliła dziecko, które ucichło niemal natychmiast. Tylko od czasu do czasu małym ciałkiem wstrząsał bolesny szloch. – Co się stało? Wysłałeś mi esemesa, że Emilka jest chora. Od razu wsiadłam w samochód i pojechałam do ciebie, ale dwór był pusty, więc pognałam tutaj. Co jej jest?! Coś groźnego?!

– Oprócz podwyższonej temperatury nic małej nie dolega. Płuca, jak słyszałaś, ma zdrowe – odezwała się z przekąsem lekarka.

Nataniel patrzył to na jedną, to na drugą, niczego nie pojmując. Najwyraźniej się znały. Całe szczęście, bo już widział siebie, zakutego w kajdanki, jak wsadzają go do radiowozu, podejrzanego o pedofilię i Bóg wie co jeszcze...

– Próbowałam ją zbadać, ale wujek pacjentki – tu spojrzała na Nataniela – czy też brat, zaczynam się w tym gubić, nie potrafi radzić sobie z dzieckiem.

– Wujek jest moim bratem? – zapytała Emilka, równie zdumiona jak przed chwilą.

Nataniel nie zdążył jej tego powiedzieć. Czekał na odpowiedni moment, który nadszedł właśnie teraz, jak się okazuje, w chwili najmniej odpowiedniej ze wszystkich...

– Tak, jestem twoim starszym bratem – odrzekł i pogłaskał dziewczynkę po głowie. – Czy możemy dostać coś na tę gorączkę i po prostu pojechać do domu?

– Proszę pana, ibuprofen w syropie, czy cokolwiek innego, może pan kupić nie tylko w każdej aptece, ale i w supermarkecie, prawdopodobnie na stacji benzynowej czynnej całą dobę również – zaczęła surowo lekarka. – Naprawdę...

Zosia położyła dłoń na jej ramieniu, uścisnęła lekko i szepnęła:

– Rozumiesz, starszy brat. Pierwsza gorączka u siostrzyczki i spanikował.

Lekarka pokiwała głową i uśmiechnęła się z przymusem.

– Oślucham dziecko, jeśli nie rozkrzyczy się ponownie – rzekła, biorąc do ręki stetoskop.

Tym razem Emilka, której oczy zaczęły się kleić ze zmęczenia, nie zaprotestowała.

– Oskrzela czyste, płuca również – rzekła lekarka po chwili, chowając słuchawki do kieszeni fartucha.

– Co więc mogło wywołać tę gorączkę? – zmartwił się Nataniel.

– Nie było dolegliwości żołądkowych? Wymiotów?

Pokręcił głową.

– Żadnej wysypki? Biegunki? Mała się nie uderzyła? Nie miała wypadku?

Zaprzeczył.

– Dyrektorka przedszkola powiedziała mi o tym.

– Może dziecko coś mocno przeżywa? Jakąś zmianę? Przeprowadzkę?

I wtedy go olśniło.

– Jutro miałem ją zawieźć do nowego przedszkola, bo są wakacje... – odezwał się, zażenowany do granic.

Zosia tym razem położyła dłoń na jego ramieniu w pocieszającym geście.

– Tak bywa – rzekła lekarka tonem: „Proszę już iść i następnym razem kupić dla dziecka hydroksyzynę, dla siebie najlepiej też”.

Przeprosił, pożegnał się i już ich nie było.

– Nie miałem pojęcia, że dzieci są tak wrażliwe! Na wiadomość o nowym przedszkolu od razu gorączka?

– Raczej ty jesteś nadwrażliwy, a nie Emilka – zaśmiała się Zosia. – U dziecka trzydzieści osiem z kreskami to nieco mniej niż ta sama temperatura u mężczyzny. My, kobiety, mając taką gorączkę, po prostu łykamy syrop czy tabletkę, w przeciwieństwie do faceta z męską gripą, który szykuje się od razu na tamten świat, rozdając majątek rodzinie. – W jej głosie

zabrzmiała nuta złośliwości.

Już miał się odgryźć, ale zamiast tego rzekł miękko:

– Całe szczęście, że przyjechałaś. Po raz nie wiadomo który uratowałaś mi skórę. Już widziałem siebie w aresztanckiej celi, podejrzanego o różne bezceństwa. Jak bym wyjaśnił moje pokrewieństwo z Emilką, nie mając żadnych dowodów? Dziękuję, że jesteś, Zosiu. – Pogłaskał ją wierzchem dłoni po policzku.

Ona stała nieruchomo, nie śmiąc głębiej odetchnąć. Żeby nie zdradzić uczuć, jakie w tej chwili nią targąły.

„Zabierz tę dłoń, proszę cię” – błagały w mroku oczy dziewczyny, chociaż serce prosiło o coś przeciwnego. „Nie mogę cię kochać. Wiem, że tobie nawet nie przejdzie to przez myśl, ale ja...” Spuściła wzrok, drżąc lekko.

On cofnął rękę.

– Przepraszam, trzymam cię na chłodzie, zamiast po prostu przeprosić za zamieszanie, raz jeszcze podziękować, wsiąść do samochodu i wreszcie cię od siebie uwolnić.

– Ale ja... – Ugryzła się w język, nim powiedziała za dużo. On nie powinien wiedzieć, że mogłaby tu stać w tę ciepłą lipcową noc aż do świtu, byle był przy niej, głaskał ją po policzku tak jak przed chwilą, mówił do niej cichym, niskim, miękkim tonem, aż się ciepło robiło na sam dźwięk tych słów.

– Nie ma sprawy – rzekła zamiast tego, co chciałyby mu powiedzieć. – Gdybyś mnie potrzebował, dzwoń o każdej porze dnia i nocy.

– Jesteś wspaniałą przyjaciółką – zapewnił, poczekał, aż ona wsiądzie do swojego samochodu i odjedzie.

Dopiero wtedy usiadł za kierownicą nissana, na którego tylnym siedzeniu słodko spała Emilka, ale zanim włączył silnik, jeszcze trwał nieruchomo przez kilka chwil, zapatrzony niewidzącym spojrzeniem w dal. Miał

wrażenie, że coś mu umknęło. Coś bardzo ważnego. Ale...

Dobrze, że Zosia przybyła z odsieczą. Uśmiechnął się i ruszył drogą prowadzącą do domu.

ROZDZIAŁ XIV



Emilka na te dwa tygodnie, w czasie których przedszkole było zamknięte, została w domu.

Była grzecznym i cichym dzieckiem, jeśli oczywiście nie groziło jej badanie lekarskie – wtedy, jak wiadomo, włączała jej się syrena alarmowa – lecz na co dzień potrafiła godzinami bawić się w kącie pokoju, podczas gdy Nataniel wieczorami pracował nad zleceniem.

Za dnia jeździli razem na plac budowy, którym stała się polana po drugiej stronie jeziora, kilkaset metrów od domu Micińskich. Nataniel nakazywał wtedy dziecku, by bawiło się z dala od pracujących, ale na tyle blisko, by je widział, sam zrzucał koszulę i brał się do roboty, ramię w ramię z chłopakami z Sennej.

Wznosili dom z sosnowych bali, grubych i ciężkich, wspaniale pachnących żywicą, jeszcze nieco od niej lepkich. Drewno, które wykombinował Marek Sidło – nie chciał powiedzieć, czy kupił je czy też ukradł – przyjeżdżało już ociosane, zaimpregnowane, gotowe do składania na pióro i wpust. Zadaniem ekipy, złożonej z kumpli sołtysiaka, było ułożyć je w odpowiedniej kolejności. Sidło, jak się okazało, cieśla z zawodu, dyrygował załogą, nie kryjąc dumy. Dom rósł w oczach, jeszcze piękniejszy niż ten, co spłonął.

– Jesteś naprawdę zdolny – odezwał się Nataniel któregoś dnia, gdy Sidło zarządził przerwę na złapanie oddechu i usiedli ramię w ramię, sięgając po kanapki. – To będzie wspaniały dom. Wart ogromnych pieniędzy. A wszystko dzięki tobie...

Podał sołtysiakowi butelkę z kompotem domowej roboty, którą rano zapakowała mu pani Marianna. To również stało się zwyczajem: gdy zaglądał

każdego ranka do leśniczówki, mama Zosi już miała dlań naszykowane kanapki i kompot. A to z wiśni, a to z malin, a to – najlepszy! – z rabarbaru... Dzielił się potem tymi pysznościami z przyjaciółmi, bo tak zaczął mówić o chłopakach z Sennej, którzy budowali jego dom, nie pytając o dniówki, nie domagając się zaliczek, prawdopodobnie nie licząc w ogóle na wynagrodzenie. Starsi i młodszy przychodzili albo przyjeżdżali – samochodami czy, częściej, na rowerach – by pomagać jednemu z nich. Domoradzkiemu. Bo stracił w pożarze swoją chałupę.

On również ruszyłby z pomocą, gdyby któregoś z nich dotknęło takie nieszczęście, ale do tej pory nie przyszło mu do głowy, że ludzie z Sennej są tak życzliwi jemu, przybłądzie!

– Gdy dostanę forszę za całość zlecenia – zaczął nie po raz pierwszy, ale Sidło rzucił mu ostre spojrzenie i rzekł:

– Nie robimy tego dla forsy. To dobrosąsiedzka pomoc. Kiedyś ktoś przyjdzie z prośbą do ciebie, nie po parę złotych na wódkę, ale o... – machnął ręką w kierunku budowy – wtedy też nie odmówisz. Bo tak trzeba. Wieś to nie miasto, gdzie nikogo nie znasz, a jak nawet znasz, to mają cię w dupie. Tutaj sam nie przeżyjesz, jak dojdzie co do czego. Pożar... powódź... dwa metry śniegu... Trzeba sobie pomagać, bo dziś ty, a jutro podobny szajs może spotkać mnie. I gdzie się z matką podziejem? Bez dachu nad głową? Bez pieniędzy?

Natanielowi pozostało jedynie przytaknąć.

Emilka podbiegła do nich, odziana w umorusany gliną dresik i kaloszki. Lepiła nieopodal naczynia dla całej zgrai swoich lalek, co sprawiało jej niekłamaną radość. Na początku upewniła się, że Nataniel jej nie zruga za utyłane ciuszki, ale gdy wielkodusznie pozwolił się jej umorusać, oddała się zajęciu z całym zaangażowaniem. Glinę miała wszędzie. We włosach również.

– Nie wiem, jak domyjesz tego brudasa – mruknął Sidło, rzucając dziewczynce ponure spojrzenie.

Pokazała mu język, gdy Nataniel odwrócił na chwilę wzrok.

– Jak się wysuszy, to się wykruszy – rzekła wyniośle. Obaj parsknęli śmiechem. – Tak mówi ciocia Marianna, a ona wie wszystko.

– Będzie ślub? – podchwycił temat sołtysiak, kiedy Emilka napiła się kompotu i pobiegła do swoich lalek.

Nataniel spojrział nań ze zdumieniem.

– Czyj?

– Cioci Marianny i wujka Mateusza. Ptaszki ćwierkają, że tych dwoje żyje w leśniczówce na kocią łapę, a to kończy się zwykle przyspieszonym ślubem. Rozumiesz... – Pokazał wymownym gestem krągły brzuch.

– Ależ ty pieprzysz – zachnął się Nataniel. – Mateusz nie mógł dojść do siebie po śmierci Marty. Marianna Micińska zgodziła się go przypilnować, by nie zrobił jakiegoś głupstwa. Jest jego opiekunką, gosposią, jeśli łatwiej ci to pojąć. Nic więcej.

– Ona o tym wie? Że nic więcej? – zakpił Sidło. – A on? Mateusz? Ponoć widziano, jak się do siebie kleili. W lesie. Na polance.

– Co za brednie...?! – rozeźlił się Nataniel nie na żarty. – Kto rozpusza takie ploty?!

– Nie ciskaj się na mnie! Jestem tylko posłańcem! Pytaj u źródła, czy to są tylko ploty czy jednak nie.

I Nataniel, który już myślał, że los mu odpuścił i życie zaczyna płynąć spokojnie, miał nowe zmartwienie.

Jeszcze tego samego wieczoru w drodze powrotnej wstąpił do Zosi Micińskiej. Akurat wróciła z gabinetu, mając na sobie biały, ładnie skrojony lekarski fartuch, który idealnie podkreślał jej kształty, czego Nataniel nie omieszkał zauważyć.

Oderwał wzrok od szczupłej talii dziewczyny i niewielkich, ale krągłych piersi, przywitał się i rzekł prosto z mostu:

– Ludzie plotkują o twojej mamie i Mateuszu.

Uniosła nań spokojne spojrzenie.

– Wiem.

– I...? Trzeba coś z tym zrobić. Uciąć te plotki!

Wzruszyła ramionami, co go naprawdę zdumiało.

– Mama jest dorosła – zaczęła bez emocji. – Od paru tygodni spędza w leśniczówce nie tylko dnie, ale i noce. Ludzie zawsze będą plotkować. Tacy już są.

– Ale... ktoś przyłapał tych dwoje w dwuznacznej sytuacji, a to coś więcej niż zwykła opieka nad chorym.

– Żałujesz im? – Uniosła kącik ust w uśmiechu.

– Zosiu! Twojej mamie i Mateuszowi nieba bym przychylił, jeśli miałoby ich to uszczęśliwić, jednak...

– ...przytulaniek im żałujesz? – wpadła mu w słowo i zaśmiała się odrobinę złośliwie. – Pies ogrodnika, jak babcię Kocham!

Nagłym gestem – pobudzony jej bliskością, kształtnym ciałem, a wreszcie tym śmiechem – zagarnął dziewczynę ramieniem, szarpnął ku sobie, przycisnął do piersi i... Zosia znieruchomiała. Uniosła nań wielkie, pociemniałe oczy, rozchyliła usta...

... jakby zaraz miała rzucić ostro: „Puść mnie natychmiast!”, ale nie powiedziała nic.

W umyśle chłopaka rozbrzmiał alarm: „Co ty wyprawiasz?! Stracisz przyjaciółkę!!!”. Wypuścił ją tak nagle, jak pochwycił. Przez chwilę czuł, jak serce łomocze mu w piersi, a gardło ścisną się boleśnie. Ból czuł także gdzie indziej. Wreszcie zdobył się, by spojrzeć dziewczynie w twarz.

– Przepraszam – wydusił. – Nie wiem, co mi odbiło. To się więcej nie powtórzy.

Kiwnęła głową, przyjmując jego przeprosiny, i odwróciła się gwałtownie, by nie ujrzał łez, które nagle rozbłysły jej w oczach.

– Między nimi do niczego nie doszło – odezwała się, ledwo panując nad głosem. – Wiedziałabym o tym. Plotkami się nie przejmuj. Ciebie i mnie też już wzięli na języki.

– Kto...?! – zaczął oburzony, ale ona wzruszyła ramionami, nadal zwrócona w drugą stronę.

„Nie chce cię więcej widzieć, ty brutalny, napalony bydlaku!” – coś zaskowyczało mu w duszy. „I cóż się jej dziwić!”. Wyduł: „Przepraszam. Za wszystko”, i kompletnie załamany, wrócił do samochodu.

Zosia Micińska, która zrobiła to, co zrobiła, z powodu wręcz przeciwnego, została jeszcze chwilę na podwórzu, patrząc, jak nad drogą, którą odjechał, wiatr rozwiewa kurz. Tak właśnie rozwiewały się jej marzenia o Natanielu Domoradzkim.

W samochodzie jadącym do leśniczówki przez chwilę panowała cisza. Ale tylko przez chwilę. Emilka, której bystre oczka obserwowały całą scenę z wnętrza auta, zapytała tonem poważnym i uroczystym:

– Wujku Natanielu, czy to oznacza, że ciocia Zosia jest twoją dziewczyną? Podarujesz jej ząb?

W innej sytuacji młody mężczyzna szczerze by się roześmiał, ale nie dziś.

– Zosia jest moją przyjaciółką – odmruknął.

– Ale może być dziewczyną? – dociekało dziecko.

– Nie może!

– Ale na podwórku wyglądało, jakbyś chciał ją pocałować. Sama widziałam!

– To źle widziałas. Możesz teraz patrzeć w okno i liczyć zające?

Emilka namyślała się jedynie przez krótką chwilę, po czym odrzekła:

– Prawdę mówiąc, nie. Wolę porozmawiać o tobie i twojej dziewczynie.

– Zosia nie jest i nie będzie moją dziewczyną – wycedził Nataniel, by w następnym momencie zastanowić się, co w słowach Emilki tak go wkurzyło.

Były przecież zupełnie niewinne! I przed samym sobą musiał przyznać: pragnął Zosi Micińskiej. Był zdrowym, młodym facetem, nie miał kobiety od wielu miesięcy, a lubił seks, lubił pieścić i być pieszczony. Jego ciało trawiła tęsknota, lecz Zosia nie należała do dziewcząt, które zabiera się na siano, by zaliczyć upojny numer. Ona zasługiwała na szczerą miłość. I sama – był tego pewien – pragnęła tego jedyne taką właśnie miłością obdarzyć. Lecz serce Nataniela było zupełnie zimne, w przeciwieństwie do lędźwi.

Miał teraz dwa wyjścia: albo zacisnąć zęby i trwać w celibacie, albo poszukać dziewczyny, która go zaspokoi. Jakoś nie przyszło mu do głowy wyjście trzecie: pokochać doktor Micińską. Ot, mężczyźni...

Dziewczyna, niekoniecznie taka, o jakiej marzył, czekała nań cierpliwie – właśnie w tej chwili, gdy wściekły na cały świat, a przede wszystkim na siebie, zdążył do leśniczówki – siedząc na schodkach ganku. Na nos włożyła stylowe przeciwsłoneczne okulary, na głowę błękitny kapelusz. Podwinęła zielono-żółtą sukienkę do połowy ud i wyciągnęła przed siebie długie, zgrabne nogi, by złapały przed wieczorem nieco słonecznych promieni. Wyglądała bardzo ponętnie, przyznałby to każdy mężczyzna, gdyby ją ujrzał, ale jej nie interesowali mężczyźni. Ona przyjechała tu tylko dla jednego: Nataniela. I będzie nań czekać do skutku. Aż on przyjedzie i... no cóż... zdziwi się.

ROZDZIAŁ XV



Tymczasem Nataniel, któremu gniew nie chciał przejść, wysiadł z samochodu, zamykając Emilce drzwi przed nosem, rzucił Mariannie, która wieszala w ogrodzie pranie, zdawkowe „Dobry wieczór”, po czym wpadł do środka, od razu, od samego progu burząc spokój tego domu.

Mateusz siedział przy stole z talerzykiem sernika i kubkiem bawarki, przyzwoicie odziany, ogolony i nie tak chudy jak przed dwoma miesiącami, chociaż smutek nie zniknął z jego twarzy. Na widok chłopaka uśmiechnął się i... nie zdążył rzucić: „O, Nat, miło, że wpadłeś”, bo ten zaczął szybko, przyciszonym, pełnym złości głosem:

– Słyszałem, że obściskujesz się publicznie z Marianną! Ludzie ze wsi już obstawiają, kiedy „przypieszony ślub”, jak wyraził się Marek Sidło. Masz mi coś do powiedzenia?

Mateusz na pierwsze słowa chłopaka podniósł się powoli, oczy pociemniały mu z gniewu.

– Nie obściskiwałem się z Marianną ani publicznie, ani prywatnie – wycedził. – Za kogo ty mnie masz? Rozumiem, ludzie ze wsi miałą ozorami, pleciugi, ale ty?!

– W każdej plotce tkwi ziarno prawdy. Bezpodstawnie nie rzucaliby takich oskarżeń.

– Mylisz się. Czasem zobaczą coś niewinnego, a dopowiedzą sobie resztę. Tak, któregoś wieczoru, kilka dni temu, siedzieliśmy na ławeczce pod modrzewiem i mogło to wyglądać... no dobrze, będę szczery: miałem chwilę słabości, przypomniało mi się, jak na tej ławce siadywałem z Martą, oczy

zaczęły mi się trochę pocić i Marysia przytuliła mnie, tak po przyjacielsku. Ja ją potem pocałowałem. W rękę. I w policzek. Przez wdzięczność. Nie było żadnego obściskiwania!

– Okej, wierzę ci – mruknął Nataniel zmieszany i jeszcze bardziej zły, że dał wiarę sołtysiakowi, zamiast od razu pytać u źródeł. – Zosia знаła te plotki i nie była zdziwiona, uznałem więc, że to prawda.

Mateusz stanowczo pokręcił głową.

– Od śmierci Marty minęły dwa miesiące i dwadzieścia siedem dni. Myślisz, że pomyślałbym tak szybko o wypełnieniu pustki po niej? Po mojej duszce?

– Myślę, że jesteś zdrowym facetem w sile wieku i czasem może brakować ci... no wiesz... czegoś więcej niż przytulenie i całus w policzek.

– Mówisz chyba o sobie. – Mateusz uśmiechnął się krzywo. – Mnie niczego nie brakuje. Prawdę powiedziawszy – ściszył głos – czasem pragnąłbym pobyć sam. Ale nie powiem przecież tego Mariannie. Nie po tym, co dla mnie zrobiła. Na początku byłem trudny, naprawdę trudny. Nie wiem, jak ona zniosła te moje humory i opryskliwość. Sama niepełnosprawna, ledwo się porusza o kulach, zajmowała się starym niedołęgą, który umyć się nie potrafił... Będę jej wdzięczny do końca moich dni, chociaż... – Urwał, a Nataniel dopowiedział sobie resztę: „Chociaż bez niej zapisałbym się spokojnie na śmierć i teraz być może byłbym już z Martą”.

– A być może nie – odezwał się cicho.

Mateusz spojrzał nań pytająco.

– Myślę, że nadszedł czas, by pani Marianna wróciła do domu. Ty nie potrzebujesz już opieki.

Pytanie w oczach starszego mężczyzny ustąpiło miejsca zaskoczeniu.

– Ale jak to tak – wyjąkał. – Przecież...

– Jesteś całkiem sprawny, z żalobą sobie radzisz, jak potrafisz – ciągnął

Nataniel. – Ale zabijać się już nie będziesz? Nie będziesz – odpowiedział sam sobie. – Pora, by wszystko wróciło na swoje miejsce, czy raczej wszyscy. Mama Zosi do Zosi, ty do lasu, Sodarow – zabiję drania, jak go dorwę!, gdzie on się szlaja?! – na ranczo, a ja... no tak, ja do wynajmowanego dworu. Jutro z rana przyjadę po Mariannę. Myślę, że będzie szczęśliwa, gdy uwolni się od opieki nad starym głupcem.

– Może warto byłoby zapytać ją o zdanie? – odezwał się Mateusz z urazą w głosie.

– Och, ona odpowie, że z radością jeszcze tutaj zostanie. Jest zbyt nieśmiała, żeby...

– A-ale j-ja napraw-w-wdę mogę tu-uu-taj zostać – rozległo się od drzwi.

Nataniel odwrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Marianną Micińską.

Wspierała się na kulach, jak zazwyczaj, jednak wyprostowane plecy i uniesiona gniewnie broda czyniły ją znacznie wyższą. Prawdę mówiąc, Nataniel poczuł się w tej chwili mały. Całkiem malutki.

– Nie zwa-ażam na t-to, co-o mówią lu-u-udzie. Jeśli Mat-Mat... – Urwała na chwilę, do oczu nabiegły jej łzy wysiłku, a potem wstydu i rozpacz. – Jeśli chce-esz, zostanę – wykrztusiła wreszcie, zwracając się do Mateusza.

– Pamiętaj, co mówiłeś o samotności – odezwał się chłopak, również na niego patrząc.

Mężczyzna milczał przez długą chwilę, wreszcie odezwał się powoli, bez cienia wątpliwości:

– Tak, mówiłem, że czasem pragnąłbym pobyć sam, rozumiesz to, Marysiu, prawda? Odwykłem od obecności drugiego człowieka, bo Marta rzadko zachodziła do leśniczówki. Twoja obecność, cicha i serdeczna, jest mi bardzo miła i... nie chciałbym... jeszcze nie teraz, nie jutro... Może za parę dni?

Nataniel pokręcił tylko głową, czując nagłe zmęczenie. Wszystko zdało mu się bez sensu. Mateusz nie chciał tej kobiety, bo nadal był wierny Marcie. Marianna wiedziała o tym, a jednak chciała z nim zostać. On, Nataniel, nie kochał Zosi, jedynie pragnął, w związku z tym – by nie stracić jej przyjaźni – od dziś musi się trzymać od dziewczyny na zdrową odległość. Zosia zaś... Nie miał siły dociekać, co o nim myśli w tej chwili doktor Micińska. Wiedział jedno: dzisiaj, gdy tak pochwycił ją brutalnie i szarpnął ku sobie, ledwo się powstrzymała, by nie przywalić mu w twarz. Nie życzyła sobie takiego zachowania i na pewno sama się od Nataniela odsunie, urażona i rozczarowana.

Cóż... Miał chłopak rację, ale tylko w pierwszej części. Zosia rzeczywiście postanowiła trzymać dystans, chociaż z zupełnie przeciwnego powodu...

Słońce zaszło za las nad jeziorem. Nataniel z Emilką wracali do domu krętą leśną drogą. Dziecko milczało, zmęczone po przeżyciach całego dnia, milczał i Nataniel, bardziej z rezygnacji niż ze złości. Ta mu przeszła. On nad sobą popracuje, weźmie zimny prysznic i przestanie myśleć o zgrabnym cieple pani doktor, odzianym w obcisły lekarski fartuch, zaś reszta świata... cóż... może czas sobie przypomnieć, że niewielki mamy na nią wpływ.

Drzewa rozstąpiły się przed autem, wjechali na podjazd przed dworem. Nataniel, który już miał odetchnąć z ulgą, nagle zeszywniał, otworzył szeroko oczy i w następnej chwili rzucił cichym przekleństwem. Tak cichym, by Emilka nie słyszała. Pragnął, na miłość boską, spokoju i samotności, a nie czyichś odwiedzin!

– O, wujku Natanielu, nowa ciocia na ciebie czeka! – wykrzyknęło dziecko, znów pełne życia i wcale nie zmęczone. – Może jej podarujesz...

– Błagam, Miluszko, nie mów nic o zębach – jęknął, zatrzymując samochód nieopodal ganku.

– Ty mówisz o zębach, wujku – odrzekła rezolutnie dziewczynka i zaczęła rozpinać pasy.

Nataniel, zamiast pomóc dziecku, siedział za kierownicą jeszcze chwilę nieruchomo, patrząc na nieznaną blondynkę w obcisłej – ale nie wyzywającej – zielono-żółtej sukience, która kończyła się w połowie zgrabnych, szczupłych ud. Tyle stwierdził na pierwszy rzut oka.

Miała na ustach karminową pomadkę, która pasowała i do sukienki, i do błękitnego kapelusika. W dłoniach ścisnęła czarną torebkę, współgrającą z takimiż sandałkami. Kogoś jako żywo Natanielowi przypominała i dlatego nie spieszył się, by ją poznać: była bardziej „oswojoną”, kulturalniejszą wersją Iwony Bugaj, a Iwon – i ich wersji – miał dosyć do końca życia.

Musiał jednak wyjść kiedyś ze swej jaskini, w tym momencie samochodu, i zapytać nieznajomej, czy czasem nie zabłądziła i kiedy sobie pójdzie. Najlepiej zaraz. Doprawdy, to nie był chyba jego najlepszy dzień.

– Dobry wieczór! – wykrzyknęła kobieta, unosząc dłoń w geście powitania. – Nataniel Domoradzki?

Chłopak, który właśnie miał otwierać Emilce drzwi, by wypuścić ją z auta, znieruchomiał na dźwięk swojego nazwiska. I z „kiedy sobie pójdiesz” nici! Ta kobieta przyszła do niego i zapewne nieprędko da mu spokój...

– Tak, to ja – odezwał się.

– Kurczę, to ekstra! Cieszę się! Nareszcie! – Nieznajoma podbiegła i zatrzymała się może z metr od niego, widząc odpychającą minę Nataniela.

– Ciociu, jaki masz śliczny kapelusik! – wykrzyknęła Emilka, wreszcie wypuszczona na wolność.

Nieznajoma przyklęła naprzeciw dziewczynki.

– Dziękuję, ślicznotko. Twój dresik jest równie uroczy, choć znacznie mniej czysty niż mój kapelusik. Niech zgadnę: lepiłaś z gliny naczynka dla lalek?

Oczy Emilki zogromniały, Nataniela, prawdę mówiąc, też. Jasnowidząca ich nawiedziła czy co?!

– Och, zgadywałam! – zaśmiała się nieznajoma. – Masz glinę wszędzie, nawet we włoskach, a co może lepić dziewczynka, jeśli nie elegancki serwis dla swoich lał?

– Tak! Suszy się przed domem! Naszym nowym domem w budowie – odrzekła uradowana dziewczynka. – Jeśli wujek się zgodzi, to jutro pojedziesz z nami...

– Dostyc tego – odezwał się Nataniel surowym tonem. – Wejdz do domu, umyj chociaż buzię i ręce. Ja muszę zamienić parę słów z panią...? – Spojrzał pytająco na kobietę.

– Śniegocka. Nazywam się Magda Śniegocka i coś mi się zdaje, że jestem twoją siostrą.

Nataniel oniemiał na parę chwil. Patrzył na kobietę okrągłymi oczami, wreszcie wydusił:

– Magda. Córka Arkadiusza Szpondera.

– Tak właśnie! Nie wiem, czy cieszysz się na mój widok czy wręcz przeciwnie... Ja bardzo chciałam cię poznać, ale Iwona, jedyne ogniwo łączące nas dwoje... – wskazała siebie i jego – ...zniknęła! Ile ja się jej naszukałam! Widzisz, Natanielu, nie miałam pojęcia o twoim istnieniu przez trzydzieści pięć lat mojego życia. No, nieco mniej, bo przez pierwszych kilka dzieciak niewiele kuma. I nagle, tuż przed śmiercią ojciec coś majaczy o jeszcze jednym dziecku! Trzecim, bo okazuje się, że Iwonie machn... eee... – W ostatnim momencie ugryzła się w język, patrząc na Emilkę. – ...że został tatą jeszcze jednego, najmłodszego. A Iwona wpadła, porwała list z twoim nazwiskiem, po czym wypadła i tyle ją widziałam. Dobrze, że znałam chociaż jej ostatni adres, ale sąsiedzi powiedzieli, że jakiś czas temu poszła siedzi...eee... do sanatorium? – Spojrzała błagalnie na Nataniela. Przecież małe dziecko słuchało jej paplaniny!

Zaraz, zaraz... Przyjrzała się dziewczynce uważnie. Czarne włosy jak u Iwony, czarne oczy też po mamie, ale już rysy twarzy jakby bardziej znajome. Takie widywała codziennie w lustrze.

– Ej... – wyszeptała, klękając przed dzieckiem. – Jak masz na imię, skowroneczku?

– Emilka! I mówisz, ciociu, do mnie tak ślicznie jak czasem mówiła moja mamusia! Ona też nazywała mnie skowroneczkiem. – Dziecko posmutniało nagle. – Jest w sanatorium już tak długo... Tęsknię za nią... Bardzo...

– Chodź tu do mnie, kruszynko. – Magda przygarnęła dziecko do siebie i utuliła serdecznie. – Jestem twoją siostrą, wiesz? Twoją starszą siostrą. Będę o ciebie dbała nie gorzej niż twoja mama.

– Naprawdę? – Emilka podniosła na kobietę oczy pełne łez.

– Zaraz, zaraz! – Nataniel otrząsnął się nagle ze stuporu. – Emilkę oddano pod opiekę mnie, jej bratu, i tutaj ze mną zostanie.

– Oczywiście! Kochany, absolutnie nie chciałam wchodzić ci w paradę! – Magda poderwała się z klęczek. – Jeśli jednak będziesz potrzebował pomocy, wiedz, że nie jesteś sam. Masz mnie!

Przez chwilę stali i patrzyli na siebie bez słowa.

Wreszcie do Nataniela dotarło, kogo tak naprawdę ma przed sobą i jak podle od pierwszych chwil tego kogoś traktuje.

– Rany... To naprawdę ty? Córka Szpondera? Moja siostra? – wydusił.

– No pewnie! Mam brata! – Zaśmiała się i chwyciła go w objęcia. On zacisnął ramiona na szczupłym ciele siostry, tak właśnie: siostry!, czując, jak do oczu napływają mu łzy, dobre łzy wzruszenia.

– I ja! Ja też! – upomniała się Emilka, podskakując przy nich niczym wróbel.

Nataniel chwycił ją wpół i przytulił razem z Magdą.

Był to chyba najpiękniejszy moment w jego życiu...

Trwał dość krótko.

– To nowa narzeczona, opiekunka do dziecka czy przytulasz, ot tak,

przygodnie spotkaną kobietę? – usłyszał za plecami kpiące słowa Sodarowa.

Czar chwili przysł. Nataniel wypuścił Magdę z objęć i odparł zjadliwie:

– A tobie co do tego? Gdzieś się szlajał, tak na marginesie? Myślisz, że nie mam innych zajęć niż harówka przy twoich chabetach?

– Odpowiedz na moje pytanie, to może ja odpowiem na twoje – odrzekł Siergiej, mierząc nieznaną przeciągłym spojrzeniem.

Ona odwróciła się doń, uniosła brew i wypaliła:

– Wy tutaj tak na co dzień bawicie się w piratów? – Wskazała opaskę na oku mężczyzny. – Jeszcze ci żelastwa brakuje na kikutach palców i będzie Kapitan Hak, wypisz wymaluj!

Z twarzy Sodarowa znikł kpiący uśmieszek.

– Nie podskakuj, sikoreczko, bo takie jak ty lubię z piórek skubać – odparował.

Magda pokręciła głową.

– Ten nieokrzesany pirat chce mnie z piórek skubać? – Spojrzała na Nataniela, szukając u niego odpowiedzi.

– Ludzie, opanujcie się! – Chłopak wreszcie oprzytomniał. – To moja siostra, o której jakiś czas temu wspomniałeś, Magda Śniegocka, a on, ten pirat, to mój... – chciał powiedzieć „przyjaciel”, ale był na Siergieja zbyt wściekły – ...sąsiad. Nieznośny sąsiad, który wpada jak zwykle niezapowiedziany i jak zwykle psuje mi humor.

– Bo nie masz go za grosz – skwitował te słowa Sodarow i wyciągnął do Magdy rękę. – Siergiej Sodarow, sąsiad, jak wspomniał ten dzieciak.

Nataniel spurpurowiał na twarzy, czego na szczęście w zapadającym mroku nie było widać.

– Sorry za tę „sikorkę” – ciągnął Siergiej, gdy kobieta podała mu dłoń. – To nie było obraźliwe. W żółto-zielonej sukience z czarnymi dodatkami i niebieskim kapeluszu wyglądasz, wypisz wymaluj, jak modraszka. Sikorka

modra czyli.

Magda klepnęła go z uznaniem w ramię.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy. Rzeczywiście czasem inspiruję się przyrodą. Jestem stylistką. Pracuję dla magazynów mody. Dobieram stroje dziewczynom z okładek. I to... – spojrzała po sobie – takie tam, zboczenie zawodowe.

– Całkiem, całkiem to zboczenie. – Sodarow ponownie zmierzył ją wzrokiem konesera. – Wyglądasz uroczo. Dokładnie tak jak modraszka.

– Powiedziałabym, że i tobie do twarzy z tą opaską, ale cóż... oczekuje się po mnie szczerości.

Siergiej parsknął śmiechem.

– Straciłem oko na wojnie rusko-ukraińskiej. Palce u dłoni też. Torturowano mnie.

– Och... Przepraszam! Byłam nietaktowna. Nie wiedziałam, że w dzisiejszych czasach, w dwudziestym pierwszym wieku... Tu, w Polsce, to znaczy blisko naszych granic...

Machnął ręką, ucinając temat, i zwrócił się do Nataniela:

– Zaprosisz nas do środka czy będziemy tkwić pod domem do świtu? Dziecko ci na rękach usnęło. – Wskazał Emilkę, która spała słodko, wtulona w brata.

Chłopak, do tej pory przysłuchujący się tej dziwnej wymianie zdań w niemym zdumieniu, drgnął, skinął głową i poprowadził ich do domu.

ROZDZIAŁ XVI



Parę minut później Nataniel wrócił z sypialni dziecka, gdzie rozebrał Emilkę z utyłanych gliną ciuszków i machnąwszy ręką na kąpiel, nakrył ją po prostu kołdrą.

Ku jego zdziwieniu, ale i radości, tych dwoje, tak do siebie na pierwszy rzut oka niepasujących – Siergiej i Magda – wiodło całkiem przyjazną konwersację. On opowiadał kobiecie akurat o swoich koniach, a był urodzonym gawędziarzem, jeśli się tylko postarał. Słuchała jak zaczarowana historii o pierwszej klaczy czystej krwi, którą uratował z transportu śmierci i nie chcąc oddawać pięknego zwierzęcia w obce ręce, zatrzymał je dla siebie. Ta właśnie klacz, Bella Simona, dała początek jego hodowli. I jego pasji.

– Jej nie sprzedam nigdy – dokończył takim tonem, jakby składał przysięgę. – Bella zostanie u mnie do końca swoich dni. To wspaniałe, mądre i dobre zwierzę. – Przeniósł wzrok z zasłuchanej kobiety na Nataniela. – Pytałeś, gdzie się... jak to określiłeś... szlajam? Otóż przez pierwszych kilka tygodni zajmowała mnie sprawa Iwony i tylko jej. Przez trzy następne rozprzedawałem majątek.

– Słucham? – Nataniel zdumiał się nie po raz pierwszy tego dnia. – Jak to...

– Ano tak. Nie dam rady dłużej zajmować się tyloma końmi. Nie z okaleczoną ręką i bez oka. Lata też już nie te...

– Taa... Przed pięćdziesiątką do grobu będziesz się wybierał. Co ci odbiło? Przecież pomagam, jak mogę! – rozeźlił się chłopak.

Ranczo i konie były całym życiem Siergieja, szczególnie teraz, po śmierci Marty. Nie mógł się ich pozbyć, po prostu nie mógł!

– Pomagasz – odparł poważnie Sodarow – to prawda, sam mając aż za dużo obowiązków. Nie bój się, ranczo zatrzymam, tylko dla koni znalazłem lepsze ręce. Kompletne, a nie okaleczone.

– Brak dwóch palców do tej pory ci nie przeszkadzał! Co ci odbiło, Siergiej?! – Chłopak nie mógł przyjąć do wiadomości jego tłumaczeń. Ranczo bez koni? Puste wybiegi? Pusta stajnia? Przecież Sodarow oszaleje z tęsknoty i nudów!

– Nat, doceniam twoją troskę, ale po prostu nie okazywałem, jak ciężko jest machać widłami, gdy u jednej ręki brak ci kciuka i wskazującego. Nie widziałeś, jak wypada mi z ręki wiadro pełne wody, bo trzymałem je tylko trzema palcami, za słabymi...

– Możesz napełnić je w połowie! To nie jest tłumaczenie!

– Taa... w połowie nałożyć koniom siana do żłobów, w połowie dopiąć popręg przy siodle i w połowie wygarnąć z boksu nawóz. Niektóre rzeczy robi się pełną parą albo nie robi się ich wcale. Spróbuj w połowie się ko... – Urwał i machnął ręką.

Magda ukryła uśmiech, wiedząc, co miał na myśli.

– W porządku, niech ci będzie... – odezwał się Nataniel, nieprzekonany. Nagle przestraszył się, że Sodarow, ten nieznośny Sodarow, sąsiad i przyjaciel, który tyle krwi napsuł choćby jemu, Natanielowi, sprzeda nie tylko część koni, ale i całe ranczo jakiemuś snobowi z miasta i... zniknie. Odejdzie. Już nigdy tu nie wróci. – To znaczy nic nie jest w porządku. Jeśli sprzedasz część koni...

– Wszystkie. Oprócz Belli. I Śnieżki z Kacperkiem, bo one należą do ciebie.

– Okej! Belli, Śnieżki i Kacperka! Jeśli sprzedasz całą resztę, czym będziesz się zajmował? Z czego żył? Masz odłożone pieniądze, by ot tak przechodzić na wczesną emeryturę?

Sodarow wzruszył ramionami i rzekł:

– Za dużo forsy nie mam, ale pomysłów, co zrobić z ziemią i domem, co niemiara!

– Na przykład?

Siergiej wahał się chwilę, nagle niepewny.

– Pewnie mnie obśmiejesz... – zaczął, lecz Nataniel uczynił zachęcający ruch ręką. – Chcę obsiać moje pola lawendą.

Nataniel parsknął śmiechem, jednak spoważniał pod srogim spojrzeniem przyjaciela i odezwał się:

– Rozumiem, że obsiałbyś rzepakami, koniczyną... Nie wiem, czym obsiewa się polskie pola, ale lawenda? Skąd ci, na Boga, przyszedł taki pomysł do głowy?!

– Marta mi go podsunęła – odparł Siergiej po prostu. – To było jedno z jej cichych marzeń, którym z tobą się, widać, nie podzieliła: chciała mieć lawendowe pole. Marzyły się jej rzędy przepięknej srebrnofioletowej lawendy w promieniach zachodzącego słońca. I ja spełnię jej marzenie. Będzie to żywy pomnik na jej cześć. Każdy, kto spojrzy na lawendowe pole, wspomni Martę. Tak postanowiłem.

Nataniel milczał, czując wstyd. Magda również, chociaż ona była zafascynowana pomysłem Siergieja.

– Lawendowe pole tutaj, w środku Mazur – odezwała się z rozmarzeniem. – Chciałabym to zobaczyć. Myślę, że nie tylko ja. Otwórz pensjonat, jeśli lubisz przebywać wśród ludzi. Może gospodarstwo agroturystyczne? Konie masz, dokupisz kurki, kózki, owieczki...

– I strusie – prychnął Nataniel. – Przecież Siergiej właśnie oznajmił, że pozbywa się zwierząt, a ty mu radzisz, by dokupił stado nowych. Gdzie w tym logika?

– Nie wiem dlaczego, bo nie znam ani ciebie, ani Siergieja, ale wydajesz się nastawiony negatywnie do wszystkiego, co on zamierza – odparła spokojnie kobieta. – Z tego, co usłyszałam, sprzedał konie, bo nie radził sobie

z opieką nad nimi, ale przy drobnych zwierzętach jest mniej pracy niż przy dużych. Wiem, co mówię. Jestem po zootechnice.

– Żartujesz... – Siergiej spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Serio! Dwie owce wymagają mniej zachodu niż dwie krowy.

– W to wierzę, ale trudno mi uwierzyć w twoją zootechnikę. Wyglądasz, jakbyś nie wiedziała, gdzie krowa ma tył, a gdzie przód.

– Kierujesz się stereotypami...

– Widzę dobrze ubraną kobietę, w eleganckich i niewątpliwie drogich sandałkach, sukience prosto od projektanta, która kosztowała pewnie tyle, co roczne wyżywienie moich koni...

– Mój drogi – przerwała mu, mrużąc z rozbawieniem oczy – sukienkę uszyłam sama, własnoręcznie, na maszynie w moim skromnym mieszkanku, a większą część życia przelatałam w dżinsach, gumiakach i rozciągniętym T-shircie, bo wychowałam się na wsi. Dopiero parę lat temu, po śmierci dziadków, którzy się mną opiekowali, postanowiłam zmienić swoje życie od podstaw i sięgnęłam po mój głęboko ukryty talent: projektowanie odzieży. Widać jestem w tym niezła, ponieważ w krótkim czasie zyskałam w zamkniętym świecie projektantów pewne uznanie. Może o mnie nie słyszałeś, nie mam znanej marki, bo po prostu mnie na to nie stać, ale wydawcy magazynów modowych ustawiają się po moje stylizacje w kolejce.

– Okej, okej, wierzę, że jesteś zdolna, lecz nadal nie potrafię sobie wyobrazić twoich zgrabnych nóg w kaloszach, a równie zgrabnej pupy w wytartych dżinsach – odparł Sodarow.

– Ćwicz wyobraźnię. – Puściła doń oczko.

On tylko pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Udała ci się siostra, Nat. Jest za dziesięć punktów.

– Dziesięć na sto? – Magda postanowiła jeszcze trochę się z nim podroczyć.

– O nie, kolejnego komplementu tak łatwo ze mnie nie wyciągniesz. – Sięgnął przez stół i pociągnął ją za kosmyk czarnych włosów.

Trzepnęła go po ręce.

Nataniel patrzył to na jedno, to na drugie szeroko otwartymi oczami. Dawno, naprawdę dawno nie widział Siergieja tak... zwyczajnego. To dobre słowo. Uśmiechniętego. Spokojnego. Drocącego się bez seksualnych podtekstów z sympatyczną kobietą. Wbrew pozorom Sodarow nie uwodził Magdy, a i ona zdawała się go traktować jak nowo poznanego kumpla z zadatkami na przyjaciela – Nataniel potrafił wyczuć w powietrzu chemię, iskrę przeskakującą między pociągającymi siebie nawzajem kobietą i mężczyzną. Tu była jedynie rodząca się sympatia...

– No dobra – odezwał się, czując, jak złość, którą dziś przyniósł do domu, rozplywa się w ciepłe tej sympatii. – Będę cię popierał, Siergiej, we wszystkim, co postanowisz: chcesz mieć lawendowe pole zamiast stadniny, jestem z tobą, o ile nie każesz mi orać i siać. Na tym się nie znam. Ty, jak mniemam, też.

– Mam pieniądze ze sprzedaży koni. Wynajmę ludzi.

– Dostałeś już pieniądze? – Nataniel mimo wszystko się zdumiał. – Więc to już postanowione?

– Tak. Nowy właściciel przyjeżdża po konie w przyszłym tygodniu. Przygotuję je do podróży. To niedaleko, pod Olsztynem. Łąki i pastwiska odpoczną do następnego roku. Wtedy wszystko zaorzę i posieję lawendę.

– Ale maleńkie pólko dla owieczek zostawisz? – Magda błagalnie złożyła dłonie. – Wrzosówek! Koniecznie naszych staropolskich, kresowych wrzosówek! Zostało ich tak mało...

– Tylko jeśli ty będziesz je strzyc.

– Będę! Pewnie, że będę! Dwa razy w roku, za miskę stawy i dach nad głową będę strzyc twoje wrzosówki! A z wełny będę dziergała unikatowe kardigany.

Siergiej wyciągnął do niej rękę. Przybili piątkę.

Nataniel prychnął.

– Pogieło was, jak Boga kocham. Ten zamiast koni będzie hodował owce, ta zamiast projektowania drogich ciuchów dla bogatej klienteli na kołowrotku będzie przędła wełnę z wrzosówek. Mnie w ten projekt nie angażujcie. Nie będę ani twoich owiec strzygł – tu spojrzął na Sodarowa – ani twoich swetrów dziergał – zwrócił się do siostry.

– Ale nakarmisz mnie dzisiaj i przenocujesz? – odpowiedziała pytaniem i roześmiała się, widząc zmieszanie chłopaka.

– Sorry, ta rozmowa była tak zajmująca, że zupełnie zapomniałem o obowiązkach gospodarza. Ty, Siergiej, też jesteś pewnie głodny? Lodówkę masz pustą. Nie spodziewałem się twojego powrotu. Gdybyś uprzedził...

– Zrobisz kanapki i będzie super – przerwał mu Sodarow. – Herbata też by się przydała – dodał, czym stropił Nataniela jeszcze bardziej, bo ten nawet herbaty gościom nie zaproponował.

Zajął się kolacją, podczas gdy tamtych dwoje z ożywieniem snuło plany na przyszłość. Przyszłość rancza, rzecz jasna. Z minuty na minutę do skromnego stadka owiec dołączały króliki, kury, kaczki i gęsi. Apetyt rósł coraz bardziej, zanim więc Nataniel postawił przed Magdą i Siergiejem talerz z kanapkami, inwentarz powiększył się o krówkę jerseykę i kucyka, przy czym łaskawie mógł nim zostać Kacperek. „Jeszcze tylko stada strusi potrzeba...” – Nataniel nie powiedział tego na głos, ale tak właśnie pomyślał. W następnej chwili Magda odezwała się z ożywieniem:

– Te strusie, o których wcześniej wspomniał, złośliwie zresztą, Nataniel, to wcale nie jest głupi pomysł! Dzieciaki z połowy kraju by do nich przyjeżdżały! Jeszcze kilka alpaka...

– I żubr – podsunął chłopak.

Spojrzała na niego oczami błyszczącymi podekscytowaniem, a widząc, że kpi, wydeła usta.

– Śmieję się, śmieję. Zobaczysz, jak wspaniałą agroturystykę Siergiej tutaj stworzy.

– Z twoją pomocą – wpadł jej w słowo Sodarow.

– Z moją – zgodziła się. – Jeszcze mu będziesz zazdrościł – dodała, patrząc na brata.

– Taa... Miliona zwierzaków i ani chwili wolnego. Będzie się dniami i nocami użerał z rozpieszczonymi warszawiakami, dla których łóżka będą za twarde albo za miękkie, w pokojach za zimno albo za gorąco, mleko zbyt krowie, pomidory za czerwone, a jajka pełne cholesterolu. O tym właśnie marzy Siergiej Sodarow. Największy odludek, jakiego znam.

– Poza tobą – wtrącił uprzejmie mężczyzna. – I poza Mateuszem. *À propos* Mateusza: co z nim? Żyje jeszcze?

– Dzięki, że spytałeś na sam koniec dyskusji o gospodarstwie agroturystycznym – rzekł Nataniel z przekąsem. – Pani Micińska pomogła mu nieco się otrząsnąć. I od razu uprzedzę złośliwe pytanie: nic ich nie łączy oprócz przyjaźni, ale... postanowili zamieszkać razem.

Tym razem Sodarow kręcił głową w niemym zdumieniu.

– Mateusz z Marianną? Kto by pomyślał... Jemu się nie dziwię, to miła kobieta, ale ona...? Nie bała się?

– Czego miała się niby bać? – Nataniel wzruszył ramionami. – Mateusz przecież by jej nie skrzywdził.

– Więc ty nic nie wiesz...? – pytanie zawisło między nimi. – Nieważne – Siergiej wycofał się szybko, zanim Nataniel zdążył zapytać, co on niby ma na myśli. – Będę wracał do siebie. Koni na noc nie oporządziłeś?

– Nie zdążyłem – odmruknął chłopak.

– Nie ma sprawy. – Mężczyzna obszedł stół, pochylił się ku Magdzie i ujął ją za rękę. – Cieszę się, że cię poznałem, modraszko. Jesteś niezwykłą kobietą. Jeszcze dziś po południu miałem wątpliwości, czy agroturystyka

i lawendowe pole to dobry pomysł, jeszcze większe, czy poradzę sobie z nowym wyzwaniem, lecz dzięki tobie jestem pełen wiary na przyszłość. Dziękuję. – Ucałował jej dłoń, a potem, kierując się do wyjścia, klepnął Nataniela w plecy ze słowami: – Masz fajną siostrę, Nat, dbaj o nią jak o bezcenny skarb.

Magda uśmiechnęła się, zmieszana, ale zadowolona, Nataniel... też. Dobrze było usłyszeć od Siergieja słowa pochwały. Tak dla odmiany.

Gdy zostali z Magdą sami – po raz pierwszy, od kiedy się spotkali – najpierw przez parę chwil patrzyli na siebie niepewnie, pytająco, lecz zaraz Nataniel poprosił siostrę do salonu, rozpałił w kominku, umościł im obojgu gniazdko z koców i rzekł krótko, ale na temat:

– Opowiadaj. Wszystko. Chcę nadrobić tych dwadzieścia siedem lat, gdy nie miałem pojęcia o twoim istnieniu.

ROZDZIAŁ XVII



Rozmawiali do późna w nocy. Gdy obojgu oczy zaczęły się zamykać, rozeszli się do swoich sypialni – Nataniel na parterze, obok pokoju Emilki, Magda na poddaszu, gdzie były pokoje gościnne.

Nazajutrz musiała wracać do pracy, a jeszcze mnóstwo było do opowiedzenia! Zerwali się więc oboje tak wcześnie, że Emilka jeszcze spała, i znów mieli czas na snucie wspomnień...

Nataniel opowiadał siostrze o mamie i babci, o tym, jak stracił jedną i drugą zaledwie półtora roku temu. O tym, jak czyściciele kamienic wyrzucili go z mieszkania, w którym się urodził, gdzie spędził całe dotychczasowe życie. O tym, jak jadąc przed siebie bez celu, trafił tutaj, do Sennej, gdzie poznał wspaniałych ludzi, przyjaciół, którzy pomogli odbudować jego mały świat. O Marcie, która w pewnym sensie zastąpiła mu mamę. Wreszcie o strasznej nocy sprzed dwóch miesięcy, kiedy stracił i dom, i Martę. Ponownie...

Magda zwierzyła się bratu z trudnego dzieciństwa bez ojca i matki. Szponder zmył się zaraz po tym, jak ściągnął „kłopoty” na głowę młodej dziewczyny z niewielkiej podpoznańskiej wsi, gdzie ciąża u panny była bardzo niemile widziana. Anka Śniegocka urodziła dziecko, owszem, lecz niedługo potem uciekła z domu i rodzice tyle ją widzieli. Wychowali wnuczkę najlepiej, jak potrafili, dali jej tyle miłości, ile mogli, ale i tak do dziś ma poczucie bycia tą gorszą od rówieśników, tą niechcianą.

– Miałam naprawdę wszystko, nie zrozum mnie źle – mówiła do słuchającego uważnie chłopaka. – Dziadkowie dbali o mnie niczym o jedynaczkę, ale matki przecież nikt dziecku nie zastąpi. Dlatego tak się

przejęłam, gdy poznałam Iwonę. Myśl, że moja siostrzyczka, Emilka, może zostać pozbawiona tego, co najważniejsze, matczynej miłości, po prostu nie dawała mi spokoju. Ile ja się jej, Iwony, naszukałam, braciszku! Nawet detektywa zatrudniłam! Tylko po to, by odszukać Emilkę i ciebie. Wreszcie – jest. Znalazłam Iwonę. Ta podaje mi adres, ale od razu uprzedza, że twój dom spłonął i ona nie wie, gdzie się z dzieckiem podziewasz. Więc ja wskakuję do samochodu, nie tracąc nadziei, że was odnajdę. Ludzie w Sennej cię znają. Wskazali ten dwór. Przyjeżdżam: pusto. Nie mam pojęcia, co dalej. Myślę: poczekam na ciebie. Kiedyś chyba wrócisz. I wróciłeś. – Uśmiechnęła się do niego.

Tak się czasem dzieje, że dwoje ludzi potrafi się z miejsca znienawidzić, ale znacznie częściej od pierwszego wejrzenia obdarzamy kogoś miłością. Człowiek bowiem, normalny człowiek, bardziej pragnie kochać i być kochanym, niż tonąć w bagnie złych uczuć. Nataniel i Magda, dwie do bólu samotne dusze, pokochali się od pierwszej chwili. I z godziny na godzinę obydwójce czuli jeszcze silniejszą więź. Dlatego otworzyli przed sobą serca i rano, po śniadaniu, gdy poznali nawzajem swoją przeszłość, wydawało im się, że są rozdzielonym przed laty rodzeństwem, które cudem się odnalazło. Chwilami szczęście aż zatykało i wtedy jedno albo drugie przerywało zwierzenia i tylko patrzyli na siebie błyszczącymi radością i niedowierzaniem oczami lub trzymali się kurczowo za ręce, jakby znów ktoś chciał ich rozdzielić.

Gdy odprowadzał ją kawałeczek ścieżką nad jeziorem, tak by Emilka, kiedy wstanie, ich widziała, czuł narastający z każdym krokiem smutek i żal. Odnalazł siostrę, pokrewną duszę, i tak szybko ją traci...

Magda też o tym pomyślała.

– Już tęsknię! Musimy do siebie często dzwonić! Naprawdę jestem szczęśliwa, że mam brata. I siostrę. Gdy dziadkowie odeszli, zostałam całkiem sama. Tak przeraźliwie sama... Owszem, mam w pracy kolegów i koleżanki, cały dzień jestem wśród ludzi, ale oni zawsze będą patrzyli na mnie z góry. Jestem „słoikiem”. Dziewczyną ze wsi, która próbuje się

wkręcić w miasto. Na dodatek mam talent, a to w świecie zawistników jest chyba gorszym grzechem niż pochodzenie. Uśmiechają się, gdy na nich patrzę, ale potrafią wbić nóż w plecy. Albo chociaż szpilę. Przepraszam, Nat, ty jesteś warszawiakiem z urodzenia i pewnie bolą cię podobne słowa, ale taka jest prawda.

Zamyślił się przez chwilę.

– Może i jest, ale tylko w korporacjach. Ktoś, kto jak ja pracuje na siebie, kręci własny mały biznes, zupełnie inaczej ocenia ludzi. Już nie wspominając, że ja inaczej oceniam ludzi. Nie ma znaczenia, czy jesteś z miasta czy ze wsi. Jeśli masz podłą duszę, nie chcę mieć z tobą do czynienia. Jeżeli jesteś dobrym człowiekiem, pragnę widzieć w tobie przyjaciela. Zresztą zobacz: czy tak wygląda człowiek z miasta? – Wskazał na siebie. Na swoje najgorsze spodnie, w których za chwilę pójdzie do roboty przy stawianiu domu, na rozciągnięty podkoszulek, stary, ale wygodny, któremu nic już nie zaszkodzi, nawet krople żywicy, lepkie i nie do sprania. Potarł policzek, szorstki od kilkudniowego zarostu, którego po prostu nie chciało mu się golić.

– Wolałbym nie oglądać w lustrze swojej zapuszczonej facjaty – mruknął. – Przynajmniej do kiedy nie skończymy budowy i będę mógł odetchnąć. I zająć się wszystkim, co zaniedbałem przez ostatnie miesiące.

– Krygujesz się, braciszku. – Zaśmiała się cicho. – Niejedna dziewczyna strzela za tobą oczami, jestem tego więcej niż pewna. Niejednej zdążyłeś złamać serce. Przyznaj się...

– Szczerze? Dwie złamały serce mnie. Iwona pierwsza, a druga... szkoda gadać. – Machnął ręką.

– I co? Nie ma żadnej innej? Dobrej, uczciwej dziewczyny, która potrafi naprawdę kochać? Nie wierzę!

Natanielowi, słuchającemu tych słów, Zosia Micińska stanęła przed oczami jak żywa. Zosia, która pilnowała, by nigdy nie wyszli poza przyjacielskie stosunki. Która każdą próbę skrócenia dystansu traktowała z chłodem i natychmiast przywoływała Nataniela do porządku, po prostu się

wycofując. Bez słowa. Widziała w nim tylko przyjaciela i nie chciała niczego więcej. Nikogo innego na jej miejsce nie było.

– Ej, braciszku, posmutniałeś. – Magda zatrzymała się i zajrzała mu w oczy. – Jest ktoś taki?

– Nie wiem – odrzekł niechętnie. – Czasem mam wrażenie, że ona potrzebuje czegoś więcej niż zwykłej przyjaźni, czasami zaś jestem pewien, że już przyjaźń to dla niej za wiele.

– Może zapytaj, zamiast snuć domysły?

– Tak po prostu? Przyjdę do dziewczyny i zapytam, czy chce się ze mną kochać czy jednak pozostaniemy przyjaciółmi?

– Ach, myślisz więc tylko o seksie... No, w tym ci nie pomogę. Musisz radzić sobie sam.

– Nie tylko o seksie! – rozżłościł się dokładnie tak jak wczoraj. – Ale... ona nie chce ode mnie nic. Zupełnie nic.

– Spotykacie się ot tak, przypadkiem, mijacie... nie próbuję zgadnąć gdzie, bo zgoła nic nie wiem o tej dziewczynie... pod spożywczym czy w kościele. Ona rzuca: „cześć”, ty odpowiadasz: „cześć”, i to wszystko? Tak mam rozumieć „ona nie chce ode mnie nic”?

– To miejscowa weterynarz. Bardzo mi pomogła po śmierci Marty. Zajęła się Emilką, gdy ja nie miałem siły ani chęci zajmować się nawet samym sobą. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi, ale... ja pragnę czegoś więcej, a ona... ona nigdy nie okazała, że czuje to samo.

Magda przewróciła oczami.

– Mężczyźni... – westchnęła. – Chyba nie wymagasz od porządnej kobiety, by rzuciła ci się na szyję z okrzykiem: „Chodźmy na siano!”. My potrzebujemy nieco dłuższych zabiegów... dłuższych podchodów... uwodzenia... miłych, romantycznych gestów... takich drobiazgów, do których wy nie przykładacie żadnej wagi. Tak już jesteśmy skonstruowane, że rozpływamy się na widok chłopaka z bukietem konwalii w dłoni. O ile te

konwalie są dla nas, rzecz jasna. Potrafisz chyba zakręcić się koło dziewczyny? Co, braciszku? – Szturchnęła go łokciem w bok. – Nie muszę dawać ci dobrych rad, jak się poluje na dziewczynę?

– Nie musisz. Tyle że ta dziewczyna...

– Wiem, wiem. Ona chce tylko przyjaźni, a miłość ma gdzieś. Naprawdę wierzysz w taką nedorzeczność? Każdy pragnie być kochany, absolutnie każdy. Miłość jest nam niezbędna do życia jak oddychanie. Kto twierdzi inaczej, ten łże albo jest bez serca. Ty masz serce, Nat, aż za wielkie, pozostaje więc druga możliwość: kłamiesz. Dlaczego? Może to ty nie jesteś jeszcze gotów na miłość? Po tych dwóch laskach, które cię zawiodły?

Wzruszył ramionami, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając.

– Wiem, że Zosia by mnie nie skrzywdziła – rzekł cicho.

– Ty jej też nie – dodała miękko Magda.

– Mam się więc koło niej zakręcić tylko dlatego, że oboje, ja i ona, jesteśmy samotni? A jeśli z mojej strony jest to li tylko pożądanie? Nie kocham jej, ale pragnę, bo jest jedyną dziewczyną w zasięgu ręki?

Magda roześmiała się. Tak po prostu.

– Błagam, nie mów, że nie potrafiłbyś przygruchać sobie żadnej innej na jedną noc czy nawet parę nocy! Ty, ze swoją przystojną, męską twarzą, oczami błękitnymi jak skrawek nieba i tak dalej, i tym podobne... No nie mów, że nie mógłbyś mieć każdej, którą byś sobie upatrzył.

– Ale ja nie chcę pierwszej lepszej! Chcę...

– Proszę bardzo, oświeć mnie, czego właściwie chcesz. – Westchnęła teatralnie, a on... on wycedził, doprowadzony do ostateczności:

– Chcę mieć żonę, dzieci i dom!

– I tego się trzymaj, braciszku – odrzekła, bo o to jej właśnie chodziło: by Nataniel zrozumiał, czego pragnie najbardziej. – Ta dziewczyna, do której wzdychasz, a która ponoć „przyjaźń i tylko przyjaźń”, byłaby dobrą żoną?

– Najlepszą.

– A matką?

– Też.

– Więc pozostaje ci dom, który z tego, co wiem, właśnie stawiasz. – Położyła mu dłonie na ramionach, ucałowała w policzek i rzekła ciepło, serdecznie: – Do zobaczenia, Nat, za kilka tygodni, gdy będę mogła znów wyrwać się z pracy, a ty zechcesz mnie zobaczyć.

– Będę na ciebie czekał. Emilka też. Pamiętaj, że mój dom jest twoim domem. Nie jesteś już sama – odparł równie serdecznie, przytulając siostrę do siebie. – Daj znać, kiedy przyjeżdżasz, przygotujemy z małą coś pysznego.

– Mam nadzieję, że następnym razem będziesz miał dla mnie, oprócz pyszności, także dobre wieści.

Pokręcił głową, nieprzekonany.

– Pamiętaj, Nataniel: żona i dzieci.

Pozostawiła go z tymi słowami pośrodku ścieżki. Patrzył, jak znika za zakrętem, jak jej żółta sukienka migoce przez chwilę między trzcinami, wreszcie i ona niknie. Przeniósł zamyślane spojrzenie na srebrzystą taflę jeziora. Czuł w sercu pustkę, ale i spokój. Także pewność, że tę pustkę potrafi zapełnić miłością kobiety i do kobiety. Pytanie, czy była nią Zosia Micińska. Może to nie ona, a on pragnął jedynie przyjaźni?

Będzie musiał znaleźć odpowiedź na to i wiele innych pytań, a na razie... Na razie wróci do domu, przygotuje dla siebie i Emilki śniadanie, ubierze małą w czysty dresik, potem ona zajmie się zabawą, on pracą i tak minie dzień. Kolejny dzień, zbliżający ich oboje do chwili, gdy w drzwiach dworku stanie nieoczekiwany gość i wszystko, dosłownie wszystko, rozniesie w proch i pył niczym potężna fala zamek z piasku.


Nataniel, który zdąży do tego czasu pokochać spokój letnich tygodni, stary dwór, dający poczucie bezpieczeństwa, a nade wszystko chwile spędzane z uroczą, radosną, kochaną dziewczynką, swoją siostrą, zostanie

postawiony przed najtrudniejszym wyborem w swoim życiu: jego miłość do dziecka czy miłość dziecka do matki? Bo tym gościem, który miał ponownie zburzyć jego świat, odbudowany z takim trudem, będzie Iwona Bugaj. Mama Emilki, która przyjedzie po swoją córeczkę.

Nataniel będzie musiał wybrać: walka o dziecko czy oddanie dziecka bez walki? Czarne chmury gromadziły się daleko na horyzoncie. Nad piękny, cichy dwór nadciągała burza. Jego mieszkańcy jeszcze cieszyli się słońcem, jeszcze spoglądali w błękitne niebo z nadzieją na piękny dzień, ale on za chwilę zgaśnie wraz z pierwszym podmuchem wichru. Nie było „zlituj się”.

ROZDZIAŁ XVIII



djechała? – to było pierwsze słowo, jakim przywitał Nataniela Siergiej.

– Cześć, ja też się cieszę, że wpadłeś – odpowiedział chłopak. I dodał, widząc wzrok mężczyzny utkwiony w drzwiach dworu: – Tak, na dziewiątą musiała być w pracy, więc wyruszyła wcześniej rano. A co, zdążyłeś się zakochać?

Sodarow posłał mu mało przyjazne spojrzenie i wycedził:

– Jeśli polubiłem jakąś dziewczynę i o nią pytam, od razu musi to oznaczać miłość? Co z tobą, człowieku? To, że ty rzucasz się na pierwszą, która ukaże się w zasięgu wzroku, nie znaczy, że...

– *Pax! Pax...* – przerwał mu Nataniel, unosząc ręce. – Podroczyć się z tobą nie można? Coś ty taki wrażliwy się zrobił?

Siergiej przysiadł na najniższym stopniu, przyglądając się, jak Nataniel zmywa kurz i błoto z samochodu, po czym odparł po zastanowieniu:

– Dodała mi wiary i sił. Ostatnio nieczęsto spotyka się ludzi, którzy cię uskrzydłają. Przeważnie cię dołują, patrz: Nataniel Domoradzki, a Magda, proszę, zapaliła się do mojego pomysłu.

– Bo to twój pomysł. Gdyby ona sama miała sprzedawać dorobek całego życia i inwestować w tak niepewny biznes jak uprawa lawendy i gospodarstwo agroturystyczne na Mazurach, dodajmy, że ty jesteś na dodatek niepełnosprawny, pewnie nie byłaby nastawiona tak entuzjastycznie.

– Nat, ustalmy jedno: to, że nie mam oka i dwóch palców, nie oznacza, że jestem niepełnosprawny. I ustalmy drugie: niczym nie ryzykuję. Pieniądzy na skromne życie wystarczy mi do emerytury, na którą się jeszcze nie wybieram.

Chcę podjąć jakieś wyzwanie, nowe wyzwanie, a że znam się tylko na przemyśle i prowadzeniu rancza...

– Już lepsze ranczo. Ja nie odwodzę cię od tego pomysłu, Siergiej, tylko włos mi się jeży na głowie, gdy sobie pomyślę, że raz na jakiś czas postanowisz wybyć, a ja będę musiał się zajmować twoim inwentarzem oraz lawendowym polem. Wierz mi, nie marzę o dodatkowej robocie. Z własną nie mogę się uporać.

Siergiej uśmiechnął się tylko.

– Nie zamierzam już więcej „wybywać”, jak to określiłeś. Postanowiłem się ustatkować. Zakotwiczyć w Sennej na stałe.

– Taa... Dopóki krew ci się w żyłach nie wzburzy i zew przygody cię nie wezwie. O ustatkowaniu się ja mogę mówić, ale nie ty. Wskakujesz? – Nataniel otworzył zachęcająco drzwi po stronie pasażera.

Sodarow, nie pytając, dokąd jadą, wsiadł do auta.

Nowy dom był wzniesiony do połowy. Dziś mieli układać legary pod podłogę poddasza. Nad głowami pracujących wznosiły się belki podporowe przyszłego dachu. Młodzi ludzie uwijali się jak w ukropie, korzystając ze słonecznej pogody. Zanim nadejdą deszcze, dach musi być gotowy, inaczej z domu będzie katastrofa!

Sodarow wysiadł z samochodu i gwizdnął cicho, z uznaniem.

– Robi wrażenie – mruknął do Nataniela, który właśnie podwijał rękawy kraciastej flanelowej koszuli, takiej samej, jakie nosili wszyscy tutejsi robotnicy, żeby zabrać się do pracy. – Sidło ich skrzyknął czy ty zatrudniłeś tych wałkoni?

– Dobrze, że cię nie słyszą, bo poczuliby się urażeni. Słusznie urażeni. Pracują za darmo i, wierz mi, nie opieprzają się. Trochę dziwne na początku mi się to wydawało, bo miałem o chłopakach takie zdanie jak ty, lecz jak widać, cuda się zdarzają. Ja im za to w zimie będę podjazdy odśnieżał albo ratował żywiznę podczas powodzi.

– Powódź? W Sennej? – Siergiej roześmiał się.

Nataniel, który pamiętał słowa Marka Sidły, tylko wzruszył ramionami. Powódź była przenośnią. Równie dobrze mógłby to być pożar...

– Jeśliś taki pełnosprawny, pomożesz? – Chłopak wskazał Siergiejowi deski, które trzeba było nosić na górę.

– Pewnie – odparł tamten.

Chwilę później, słuchając disco polo płynącego z radia, pracowali ramię w ramię.

Przed południem dołączył do nich ktoś jeszcze. Zupełnie nieoczekiwany.

Oto na rozklekotanym rowerze podjechał pod wiatę z drewnem Kazimierz Jarząbek, złapał pierwszą deskę z brzegu i nie witając się z nikim ani słowem, unikając wzroku pracujących, zaczął dźwigać ją na górę. Z początku wszyscy rzucali mu kose spojrzenia, bądź co bądź jego córki zawdzięczali tę bezpłatną fuchę, lecz z godziny na godzinę przyjmowali jego milczącą obecność jako próbę odkupienia nie swoich win, a po południu, gdy zrobili sobie krótką przerwę na papierosa, był znów jednym z nich.

Tylko Nataniel nie potrafił się przemóc i podejść do starszego mężczyzny. Jarząbek wyglądał jak bezdomny włóczęga. Wychudł, koszula wisiała na jego kanciastych ramionach jak na szkielecie. Spodnie związał w pasie sznurkiem od snopowiązałki, bo spadłyby mu z tyłka. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia i zbyt wielu trudnych przeżyć. Problemów nie na jego siły. Wzbudzał litość, owszem, ale chłopak miał jeszcze zbyt wiele żalu do Aśki, by z otwartymi ramionami powitać na placu budowy jej ojca.

Robotnicy gawędzili między sobą, któryś wyciągnął do Jarzábka paczkę papierosów, ten przyjął poczęstunek z wdzięcznością. Nikt słowem nie wspomniał o podpalaczce. Jakby nie istniała. Jakby nie zżerała wszystkich ciekawość, co się z Jarzábkami działo przez tych kilka miesięcy i gdzie podpalaczka się ukrywa. A może już siedzi?

Wieś nie zapominała krzywd, ale potrafiła być na nie głucha i ślepa.

Przez następne dwa tygodnie Jarząbek pracował z nimi ramię w ramię. A potem znikł tak nagle, jak się pojawił.

Nikt nie zapytał, co się z nim stało. Zupełnie jakby nie istniał...

Dom był niemal gotów. Dziś kończyli przybijając papę na dachu. Sierpniowe słońce przez cały dzień paliło niemiłosiernie, od miesiąca nie spadła ani kropla deszczu, co żniwiarzom – i budującym dom dla Nataniela – było bardzo na rękę, ale reszta gospodarzy narzekała na suszę. Zresztą... ludzie tu, jak wszędzie, lubili ponarzekać. Zawsze było albo za dużo słońca, albo za mało. Za mokro lub za sucho. Nawet Pan Bóg nie potrafił dogodzić wszystkim naraz...

Siergiej pracował ramię w ramię z Natanielem. Czasem rozmawiali o planach na przyszłość, Sodarow o swoim lawendowym polu, Nataniel o wydawnictwie, które zainteresowało się jego ilustracjami, ale częściej milczeli, bo w tych planach czegoś brakowało. Siergiej za chińskiego pana nie przyznałby się, że co dnia, przyjeżdżając do dworu, wypatruje Magdy Śniegockiej, Nataniel za to ani słowem nie wspominał o Zosi Micińskiej, którą widywał jedynie wtedy, gdy odwoził do domu panią Mariannę, czyli raz na kilka dni. Zosia była wtedy dla Nataniela uprzedzająco miła, ale... pilnowała, by nie zostali sam na sam.

Chłopak wiele razy przeklinał się w duchu za tamten wybryk, którym zraził do siebie doktor Micińską. Przyjaźń, jaka ich łączyła, zdawała się gasnąć, a innym uczuciem Zosia najwyraźniej nie była zainteresowana, a Nataniel nie mógł się jej dziwić. Wyszedł na kawał nieokrzesanego brutala, co delikatnej i wrażliwej kobiecie nie mogło się podobać.

Tak się zapomniał w owijaniu tamtego wydarzenia legendą, że w swoich oczach wychodził na gwałciciela.

Zosia zaś... Ona czuła coś zupełnie przeciwnego. Uważała, że to Nataniel jej unika, nie na odwrót. Przyjeżdżał jedynie wtedy, gdy mama prosiła go o podwiezienie. Wizyty bez powodu, po prostu po to, by spotkać się z przyjaciółką, skończyły się wraz z otwarciem przedszkola dla Emilki. Zosia

czuła się zbędna. Nie była już Natanielowi potrzebna do opieki nad dzieckiem, więc też na jej przyjaźni, bezinteresownej przecież!, przestało mu zależeć.

Gdy prosiła go czasem spojrzeniem, żeby zaprzeczył, by zaręczył, iż nadal są przyjaciółmi, nadal zależy mu na Zosi tak, jak kiedyś... on uciekał wzrokiem. Ona zaś odchodziła rozżalona i nieszczęśliwa.

I tak dwie dusze, być może sobie przeznaczone, mijałyby się w nieskończoność, gdyby wreszcie nie nadeszła burza...

Przez cały dzień pracowali niezamordowanie. Jeśli nie skończą przed wieczorem, nawałnica, którą na dziś zapowiadano, mogła zniszczyć dwa miesiące ich ciężkiej harówki. Dom zalany deszczem będzie sechł przez następne miesiące. Ale jeśli zdążą, Nataniel będzie mógł się do niego wprowadzić jeszcze przed końcem wakacji.

Późnym popołudniem chłopak musiał jednak zejść z dachu, gdzie razem z Markiem Sidłą i Sodarowem mocowali papę do krokwi, żeby odebrać od Mateusza Emilkę. Tego ranka przyjaciel zadzwonił bowiem do niego z propozycją, że zabierze dziewczynkę do ośrodka. Chłopak ucieszył się podwójnie: dziecko nie będzie się bawiło na budowie, co nie jest dla niego najbezpieczniejsze, a ponadto oboje z Mateuszem pojedą w odwiedziny do ociemniałych dzieci! Znaczyło to, że stary przyjaciel naprawdę wraca do żywych!

– Pewnie, jedźcie – odparł bez wahania.

Mógł dzięki temu pracować na budowie dłużej.

Teraz jednak, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, z północy nadciągały burzowe chmury, a powietrze aż drżało od napięcia, musiał zejść z dachu, żeby przed burzą zdążyć po dziecko.

– Nie spiesz się tak. Zacznie się za jakąś godzinę, może dwie, nie wcześniej – uspokoił go Siergiej, ale Nataniel, którego jakaś przemożna siła zaczęła odciągać od budowy, zbył go w paru słowach.

To coś, co unosiło się w powietrzu, kazało mu się spieszyć. Do kogo i po co, jeszcze nie wiedział albo nie chciał wiedzieć. Może była to tęsknota za Emilką – nie widział jej przecież cały dzień! – a może za kimś zupełnie innym?

– Zabierzesz się z któryms? – rzucił do Sodarowa.

Ten, pewny, że na ranczo podrzuci go, jak co dnia, Nataniel, posłał mu zaskoczone spojrzenie. Ale chłopak już tego nie widział, wskakując za kierownicę srebrnego suzuki i ruszając za szybko jak na stęsknionego brata.

– Do kobity mu spieszno – zaśmiał się któryś.

– Do pani doktorowej – dodał inny.

I Siergiej nie miał więcej pytań.

Rzeczywiście Nataniel nie skręcił w kierunku wsi, skąd było bliżej do leśniczówki, lecz postanowił zajrzeć do Zosi, ot tak, po sąsiedzku, tym razem bez alibi w postaci pani Marianny. Jadąc tu, myślał, jak ułoży się między nimi za parę miesięcy, gdy dom będzie ukończony i faktycznie zostaną sąsiadami. Czy będą się wtedy jeszcze przyjaźnić, czy to, co kiedyś ich łączyło, umrze zupełnie? Bardzo by tego nie chciał, ale...

Dom, gdzie mieszkały Micińskie, był pusty. Lecznica również. Nataniel zaklął w duchu, czując złość i rozczarowanie, po czym już miał wsiadać z powrotem do samochodu, gdy... coś go tknęło. Ruszył ścieżką prowadzącą do półdzikiego sadu. I stanął nagle, w pół kroku, zapatrzony, zachwycony, zauroczony...

Zosia siedziała na trawie w prostej, uroczej sukience z błękitnej bawełny w margerytki. Już sam widok dziewczyny spowitej w promienie gasnącego słońca był zachwycający. Włosy nad jej głową utworzyły złocistą aureolę, cień padał na policzki, podkreślając subtelne rysy twarzy, sukienka niemal prześwitywała, ukazując patrzącemu zarys szczupłego ciała, ale było coś jeszcze bardziej poruszającego: Zosia trzymała na kolanach maleńkie sarniátko i karmiła je mlekiem z butelki. Ta scena, naturalna,

niewyreżyserowana i nieobliczona na wzruszanie kogokolwiek, naprawdę poruszała. Patrzył na dziewczynę i zwierzątko i wstrzymywał oddech, by nie spłoszyć piękna tej chwili...

Wreszcie sarniátko odwróciło pyszczek. Zosia ucałowała je w małeńką główkę, postawiła na trawie i wstała, skromnie obciągając sukienkę, która podwinęła jej się do połowy ud. Nataniel nie miałby nic przeciwko temu, by tak została, ale...

– Och, to ty! – Usłyszał jej cichy okrzyk i oderwał głodny wzrok od nóg dziewczyny. – Przestraszyłeś mnie.

Ruszył jej naprzeciw.

Zatrzymali się może dwa kroki od siebie i zanim zapadło niezręcznie milczenie, Zosia rzekła, wskazując sarenkę:

– Przynieśli mi ją. Znaleźli bidulę w lesie na polanie i zamiast zostawić maleństwo, bo niedaleko na pewno była jego matka, zabrali z dobrego serca ze sobą i przywieźli do mnie. I co ja z tą sierotką pocznę? Wymaga stałej opieki, inaczej umrze...

– Może Mateusz mógłby się nią zająć? Niewiele ma w swojej samotni do roboty, a mleko podgrzać potrafi.

– Myślisz?

– Mogę cię do niego zabrać. Od razu.

Zosia nie zastanawiała się ani chwili. Sama nie mogła zajmować się sarniátkiem tak troskliwie, jak należało. Czasem wyjeżdżała w teren na kilka godzin, nawet na cały dzień, gdy wzywano ją do szczepień drobiu. Kto w tym czasie nakarmiłby zwierzątko? Poza tym... chciała spędzić w towarzystwie Nataniela jeszcze parę minut, a odwiedziny u Mateusza były dobrym ku temu pretekstem.

Wzięła sarenkę na rękę.

– Ależ śliczna – odezwał się Nataniel półgłosem, głaszcząc zwierzątko po

główce.

Bliskość Zosi, ciepło jej ramienia, którego dotykał dłonią, kwiatowy zapach płynu do kąpieli, którego używała, oszałamiały. Serce biło tak mocno i silnie, jakby chciało uciec do dziewczyny. Gardło zaciskało się boleśnie, aż nie mógł wykrztusić ni słowa. Pragnął...

Jej pragnął.

Otworzył przed dziewczyną drzwi samochodu, by mogła usiąść z sarenką na kolanach.

Sam wskoczył za kierownicę. Wrzucając pierwszy bieg, musnął wierzchem dłoni – celowo, a może i nie? – udo dziewczyny i... przekręcił kluczyk, gasząc silnik.

Zosia spojrzała nań zdumiona. On zaś trwał przez chwilę w milczeniu, ważąc w duchu słowa, jakie zaraz wypowie. Wreszcie zaczął, głosem zduszonym przez złość na samego siebie:

– Przepraszam, Zosiu, bardzo cię przepraszam, za tamto zachowanie. Masz prawo uważać mnie za brutalnego palanta, ale wierz mi... Po prostu chciałem wtedy... Chciałem... – Urwał. Przecież nie może wyznać tej dziewczynie, że w tamtym momencie najpierw chciał przyrznąć jej klapsa, a potem całować dotąd, aż by mu tego klapsa wybaczyła. No tego powiedzieć jej nie mógł!

– Nataniel – zaczęła dziewczyna powoli, przyglądając mu się niepewnie – o czym ty właściwie mówisz? W życiu nie uważałam cię za brutalnego palanta i nie mam pojęcia, za co mnie przepraszasz.

Teraz on spojrzał na nią. Z takim samym zdumieniem.

– Parę tygodni temu, gdy rozmawialiśmy o plotkach na temat twojej mamy i Mateusza. Ty powiedziałaś, że żałuję im przytulaneq, że jestem jak pies ogrodnika. Chwyciłem cię wtedy... szarpnąłem do siebie brutalnie, ale to było... Przyznam, że miałem chęć dać ci klapsa i udowodnić... że niczego nie żałuję ani im, ani... nam. Spojrzałaś na mnie z taką pogardą...

– Ja? Z pogardą?! – Dziewczyna przytknęła dłoń do ust i z niedowierzaniem pokręciła głową. – Nat... wiem, że noszę grube okulary – odezwała się po chwili, z trudem panując nad rozbawieniem. – Ale powinieneś jednak odróżnić pożądanie od pogardy. Owszem, gdy zagarnąłeś mnie ramieniem niczym Wilhelm Zdobywca uległą brankę, byłam zaskoczona, przez sekundę, nie dłużej, ale... w następnej chwili chciałam cię pocałować! Pogarda... Człowieku, jak ty coś wymyślisz... Nigdy w życiu tobą nie gardziłam! – Znów pokręciła głową w wyrazie najwyższego zdumienia.

Nataniel... on patrzył na dziewczynę, jakby spadła mu właśnie z Wenus. Bo tak się czuł: jakby mieszkał na innej planecie niż Zosia. Jakby mówił innym językiem i gubił się w domysłach, o co chodzi tej drugiej istocie, bardzo doń podobnej, to na pewno, ale zupełnie niepojętej. I nagle zaczął się śmiać. Zosia po chwili mu zawtórowała.

– Boże jedyny, spać po nocach nie mogłam, zastanawiając się, dlaczego z przyjaciela stałeś się nagle obcym człowiekiem – mówiła, czując pod powiekami łyżę ulgi. – A ty uważałeś, że tobą gardzę. Nat, z całym szacunkiem, ale niskie masz o mnie mniemanie, sądząc, że za taką błahostkę mogłabym odtrącić przyjaciela...

– Ja od tygodni chodzę jak struty, wyrzucając sobie, że przez głupi wybryk straciłem twoją przyjaźń – odpowiedział, czując taką samą ulgę jak ona.

Patrzył na Zosię oczami błyszczącymi radością, lecz nagle spoważniał.

– Zaraz, zaraz. Mówiłaś, że w tamtej chwili chciałaś mnie pocałować?

Dziewczyna zarumieniła się z zakłopotania. Doprawdy, mógłby nie zadawać takich pytań! Wystarczy, że raz się do tego przyznała.

– A gdybym spróbował teraz...? – Dotknął pytająco jej dłoni. Potem ujął jej twarz pod brodę i uniósł.

Spojrzała mu prosto w oczy i odrzekła cicho:

– Poprosiłabym, żebyś tego nie robił.

Ręka mu opadła. Patrzył na dziewczynę z niedowierzaniem.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś...

– Nat! – przerwała mu tak ostro, aż się cofnął, zaskoczony i zraniony. – Nic nie rozumiesz! Wydaje ci się, że znasz mnie na wylot, że wiesz o mnie wszystko, ale to nieprawda! Jak każdy mam tajemnicę, którą... która... Przez którą nie mogę ci pozwolić... Nam pozwolić...

– Powiedz. Tak po prostu – przerwał jej sucho. – Nie bawmy się w zgadywania, bo one prowadzą do nieporozumień. I tracimy przyjaciół. Nie wiem, co straszego możesz mieć do ukrycia, że nie pozwolisz mi na niewinny pocałunek, naprawdę się nie domyślam. Powiedz więc, jeśli możesz. Jeżeli zaś nie... Żałuję, że nie zasłużyłem na twoje zaufanie.

Słuchała jego gorzkich słów ze zwieszoną głową, łykając łzy. Nie mogła mu wyznać całej prawdy. Zdobyła się jedynie na ciche:

– Mnie nie wolno kochać. Proszę, zrozum to dobrze. Bardzo pragnęłabym być dla ciebie kimś więcej niż przyjaciółką, ale nie chcę ranić ani ciebie, ani siebie, bo na przyjaźni musimy poprzestać.

– Dlaczego? Powiedz coś więcej! – Nie mógł pogodzić się z jej odrzuceniem. – Jesteś chora? Masz AIDS?

– Nie! Skąd ci to przyszło do głowy?!

– Nie znam żadnej innej przyczyny, dla której ktoś może przekreślać siebie tak, jak ty to robisz! Nie dajesz nam żadnych szans. Nie dajesz mnie szans!

– O czym marzysz? – zapytała nagle. Tak nagle, że umilkł. – Mówiłeś mi o tym wiele razy, więc powtórz raz jeszcze: o czym marzysz?

Żachnął się, ale poprosiła raz jeszcze. Odrzekł więc:

– O rodzinie. O żonie i dzieciach. O szczęśliwym domu.

– Właśnie. Nie mogę ci tego dać, Nataniel. Przykro mi.

Koniuszkami palców dotknęła przepaszająco jego policzka, po czym – zostawiając ogłuszonego chłopaka w samochodzie, wysiadła, nadal z sarniakiem na ręku, i zamknęła drzwi. Spojrzał na nią oczami pociemniałymi z bezsilnego gniewu i rozpacz.

„Jedź. Po prostu jedź” – błagała go bez słów.

I być może zrobiłby to, spełniłby jej bezgłośnie prośbę, gdyby los nie zdecydował inaczej. W momencie gdy kładł dłoń na kierownicy, a drugą chwycił kluczyk, ciemne niebo przeciął oślepiający błysk. Piorun uderzył tak blisko, że oboje krzyknęli. Huk był ogłuszający. Chwilę później, zanim otrząsnęli się z przerażenia, powietrze z porażającym sykiem przeszła następna błyskawica. Od huku zadrżała ziemia. Deszcz lunął tak nagle, jakby Bóg postanowił utopić tych dwoje głupich dzieciaków.

– Do domu! – krzyknęła Zosia i rzuciła się biegiem ku otwartym drzwiom.

Wypadł z samochodu, przemókł w sekundę i ruszył za nią. Wpadł do sieni, zatrzasnął drzwi na zasuwę. Przez chwilę stali w ciemnościach, widząc tylko swoje błyszczące z przerażenia oczy i słysząc przyspieszone oddechy. Pierwsza parsknęła śmiechem ona. Po chwili Nataniel jej zawtórował.

– Masz odpowiedź – wykrztusił. – Ktoś tam, na górze ma wobec nas inne plany.

– Jeśli ten ktoś na górze ma rozum, powinien wspierać mnie w postanowieniach – odparła.

Odnalazł w ciemnościach jej ramiona. Przyciągnął ją do siebie i odezwał się miękko, tonem, wobec którego żadna nie pozostałaby obojętna:

– Proszę, powiedz, dlaczego nie mogę cię kochać...

Uniosła oczy, by móc mimo mroku na niego patrzeć.

– Miałam siedem lat, byłam w pierwszej klasie, gdy zdiagnozowano u mnie białaczkę. Możesz sobie wyobrazić, co czuła moja mama, gdy usłyszała ten wyrok. Tak właśnie: wyrok. Pamiętam, że do mnie to

w pierwszym momencie nie dotarło. Nie zrozumiałam, że mogę umrzeć. Nie wiedziałam, jak bliska śmierci jestem... Od miesięcy słabłam, nie jadłam, chudłam, ale mama myślała, że przejmuję się nową szkołą. Lekarz w przychodni mówił: „Zosia jest taka wrażliwa, to minie”. Okazało się, że zabija mnie rak krwi... Lekarze zastosowali bardzo silną radio- i chemioterapię. Nie było chwili do stracenia ani szans na łagodniejsze leczenie. Uratowali mi życie, ale... straciłam szansę na zostanie kiedyś, w przyszłości, mamą. Jestem bezpłodna, Nat. Całkowicie bezpłodna. Nigdy nie miałam miesiączki. Tak naprawdę nie czuję się kobietą. – Głos, dotąd drżący, załamał się jej zupełnie.

Nataniel nie widział, ale czuł, że po policzkach spływają jej łzy. Łzy gorzkości i bezsilności.

Powinien ją przytulić. Wiedział, że Zosia czuje się w tej chwili strasznie samotna i nieszczęśliwa, ale nie miał sił nawet rąk unieść. To, co wyznała, zdruzgotało go. Po prostu roztrzaskało jego małe nadzieje w pył. Stał więc w ciemnym korytarzu, mając w umyśle zupełną pustkę. Nie wiedział, co jej powiedzieć. Nie wiedział, czy ona życzy sobie jakichkolwiek słów, jeśli nie dostała od niego zwykłej ludzkiej życzliwości, tego, co powinien uczynić, gdyby był prawdziwym przyjacielem: przytulić ją. Tak po prostu.

– Przepraszam – wydusił, bo jedynie to słowo przepuściła spazmatycznie zaciśnięta krtani, po czym wyszedł. Zostawił ją w ciemnościach i wyszedł, pal licho szalejącą wokół burzę. Była ona niczym w porównaniu z tą, którą miał teraz w sercu.

ROZDZIAŁ XIX



*J*ak znalazł się w domu Mateusza? Nie bardzo pamiętał. Wsiadł do samochodu, włączył wycieraczki, mimo że niewiele to dało, i jechał na oślep dotąd, aż mu się droga skończyła – na podjeździe przed leśniczówką.

Chwilę później pukał do drzwi zupełnie przemoczony.

Mateusz otworzył. Na widok chłopaka przypominającego podtopioną kurę zabrakło mu słów. Wciągnął go do środka, odsunął Emilkę, która zaczęła radośnie dookoła nich podskakiwać, i pobiegł do łazienki po ręczniki.

Pani Marianna, widząc, że Natanielowi nie tylko burza dała się we znaki, bo spojrzenie miał nieruchome, puste, zwabiła Emilkę do pokoju na poddaszu, żeby dać chłopakowi spokój. Gdy Mateusz wrócił z ręcznikami, zostali na parterze we dwóch.

Nataniel pozwolił wytrzeć sobie włosy i twarz, pozwolił owinąć się ręcznikami i posadzić w fotelu przed kominkiem. Nie odezwał się do tej pory ani słowem. Wreszcie, kiedy Mateusz usiadł obok niego i zaczął się weń wpatrywać pytającym wzrokiem, chłopak rzucił głosem tak wypranym z uczuć, jakby pytał o zeszłoroczny śnieg:

– Czy ja jestem przeklęty?

Mężczyzna uniósł brwi. Spodziewał się każdych słów, ale... nie takich!

– Oczekujesz odpowiedzi czy pytasz retorycznie? – odpowiedział ostrożnie, mając nadzieję, że ten nieco żartobliwy ton wyrwie chłopaka z odrętwienia.

– Gdy tu przybyłem, gdy razem z Martą pomogliście mi odnaleźć moje miejsce na ziemi, poczułem się szczęśliwy – zaczął głosem równie

beznamiętnym. – Dotarło do mnie, że jestem normalnym, pieprzyć przeklętą nogę, facetem, który potrafi kochać i może być kochany. Pierwsza, która mi tę nadzieję dała, puściła się z moim kumplem. I z połową wsi. Po czym odeszła. Druga... Druga była jeszcze lepsza. Zaliczyła ze mną wpadkę, cóż, zdarza się, ale kiedy byłem gotów wziąć ją za żonę i być dobrym ojcem dla tego dziecka, gdy zacząłem się na nie cieszyć, ona to małe zabiła. Usunęła. Wyrzuciła, tak jak wypieprza się zbędny łach. Nawet mnie nie zapytała, czy nie chciałbym, by ono się urodziło... Dziś, gdy spotkałem dobrą, kochaną kobietę z sercem pełnym miłości do całego świata... – Urwał, czując piekące łzy pod powiekami. Przytknął rękę do oczu, próbując je powstrzymać.

Poczuł dłoń Mateusza na ramieniu.

– Mówisz o Zosi? – usłyszał jego ciche pytanie i zdobył się jedynie na potaknięcie. – Powiedziała ci o swojej... o swoim nieszczęściu?

Poderwał głowę.

– Wiedziałeś o tym?! – W jego głosie po raz pierwszy tej nocy Mateusz usłyszał uczucia. Wściekłość i niedowierzanie. – Powiedziała tobie, a nie mnie?!

– Marianna mi się zwierzyła – odparł Mateusz.

Nataniel z powrotem opadł na fotel. Umysł znów miał pusty. Serce też.

– Dla ciebie, Nat, to jeszcze nie koniec świata – zaczął mężczyzna, patrząc w ogień – ale dla Zosi... Tak, ona naprawdę może mówić o przekleństwie. Ty kiedyś znajdziesz tę jedyną, która urodzi ci wymarzoną gromadkę dzieci, ale Zosia? Której mężczyzna weźmie za żonę chorowitą kobietę, u której białaczka może się w każdej chwili odnowić, a nawet jeśli nie, to nigdy nie doczekają się dzieci? No powiedz? Skoro nawet ty, człowiek o dobrym sercu, ją skreśliłeś?

– Nie skreśliłem jej!

– Naprawdę? Przed chwilą mówiłeś co innego. Nazwałeś ją swoim przekleństwem...

Nataniel chciał zaprzeczyć. Zaprzeczyć, strzelić Mateusza z pięści i wyjść, ale... cóż... faktów nie zmienisz, choćbyś pobił przyjaciela.

– Wiesz, że tak o Zosi nie myślałem – próbowałem się tłumaczyć przed samym sobą. – Po prostu miałem dziś nadzieję... Gdy okazało się, że Zosia się na mnie nie gniewa... miałem nadzieję, że coś z tego będzie.

– Przepraszam, Nat, za szczerość, ale mówisz o związku z tą dziewczyną jak o pieczeniu chleba, że porównam twoje słowa tylko do tego. „Coś z tego będzie”? To mówi Nataniel Domoradzki, którego znam, czy raczej znałem, jako prawego, pełnego szlachetnych uczuć człowieka? „Coś z tego będzie” mógł powiedzieć Marek Sidło o Asi Jarząbek, ale nie ty! Wygląda na to, że nic do Zosi tak naprawdę nie czułeś. Miałeś może jakieś oczekiwania i nadzieje, ale rozwiały się przy pierwszych trudnościach.

– Nie „pierwszych trudnościach”, tylko jej niepłodności! – syknął chłopak przyciszonym tonem, żeby Emilka i pani Marianna go nie słyszały.

– Wiesz, ile jest sierot potrzebujących prawdziwego domu, rodziny, kochającej mamy i kochającego taty? Zosia byłaby przeschęśliwa, mając dom pełen takich dzieci.

– A ja chciałbym mieć swoje własne – uciął sucho Nataniel. – Mam chyba do tego prawo?

– Masz, oczywiście, że masz. Dopóki tobie nie przytrafi się takie nieszczęście jak Zosi, masz pełne prawo do swoich własnych dzieci. Wprawdzie możesz je mieć i z nią, ale podejrzewam, że już o Zosi nie myślisz. Już ją skreśliłeś, czy chcesz się do tego przyznać czy nie.

Nataniel uchwycił się jego poprzednich słów niczym tonący brzytwy.

– Mogę mieć dzieci z nią? Mówisz o in vitro?

– A dlaczego nie? – odparł zaczepnie Mateusz. – Bo ksiądz proboszcz potępi? Niech się zajmie własnymi grzeszkami, przy których wasze in vitro... – Machnął ręką, a potem pochylił się do przyjaciela i rzekł prosząco: – Daj Zosi szansę. Daj wam szansę. Może się nie udać, zdarza się,

ale możesz zyskać wspanią towarzyszkę życia. Potrafisz zaryzykować jej utratę? Jeśli nie, spróbuj.

– Teraz ty mówisz jak sołtysiak – zaczął Nataniel. – W miłości nie ma miejsca na próbowanie. Albo się kocha, albo trzeba dać sobie spokój. Jak sobie tę „próbę” wyobrażasz? Pochodzę z Zosią przez pół roku, sprawdzę, czy jest dobra w łóżku, przekonam się, czy mogę być z taką „ułomną” czy też wolę poszukać innej, wartościowszej, i odejdę, łamiąc tę dziewczynę całkiem? Oszalałeś?!

Mateusz cofnął się, unosząc ręce.

– Nic więcej nie powiem. To twoje życie, twoje wybory, twoja odpowiedzialność. Chciałem pomóc.

– A namieszałeś jeszcze bardziej – odmruknął chłopak i... poderwał się nagle. – Wrócę do niej, nawet jeśli nie mam Zosi nic do zaoferowania. Nikt nie powinien być w takiej chwili sam.

Zanim Mateusz zdążył go powstrzymać, prosić, by przebrał się chociaż w suche rzeczy i wziął parasol, tamten zniknął za drzwiami w strugach deszczu.

*

Drobna, szczuplutka dziewczynka, siedmio-, najwyżej ośmioletnia, siedziała pośrodku trawnika zupełnie nieruchomo.

Dookoła niej ganiała gromada rozwrzeszczanych dzieciaków.

Wiedziała, że jeden jej ruch, jedno słowo i znów zaczną ją kopać i bić. Będą na nią krzyczeć i pluć. Trwała więc nieruchomo, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia i ustami rozchylonymi do krzyku, ale nie wydobył się z jej krtani najcichszy dźwięk. Tego nauczyła ją niepełnosprawna mama: przetrwania.

Do dzieciaków podeszła jakaś pani, wyglądała na miłą.

– Co się stało? Czemu krzyczycie na tę dziewczynkę?

- Ona jest chora!
- I łysa!
- Przyszła nas pozarażać!
- Ma pasożyta!

Pani oddaliła się pospiesznie, nie oglądając się więcej na biedne, zaszczone dziecko. Bandzie osiedlowych urwisów znudziła się zabawa w dręczenie kogoś, kto nie płakał, nie żebrał o litość, nie przeklinał ich, nie reagował. Pobiegły szukać następnej ofiary.

Dziewczynka, nie po raz pierwszy poniżona, odrzucona, powlokła się do domu, płacząc cicho i bezradnie. Ludzie na ulicy oglądali się za chudym, łysym nieszczęściem – chusteczkę, którą nosiła na głowie, zabrał jeden z łobuziaków – ale nikt się nie zatrzymał, nie zapytał, co się stało, nie przytulił i nie otarł łez.

Była sama ze swoim nieszczęściem.

Tak jak dzisiaj...

*

Zosia Micińska jak wtedy, siedemnaście lat temu, siedziała pośrodku kuchni zupełnie nieruchomo. Tylko płynące po policzkach łzy były żywe. Paliły niczym ogień. Serce w niej umarło. Nadzieja również. Pozostały tylko one: łzy za straconym marzeniem. I ból. Ból tak straszny jak wtedy, gdy do żył tłoczono truciznę, która miała ocalić jej życie.

Nigdy nie zadawała sobie pytania, czy nie lepiej byłoby wtedy umrzeć – miała przecież mamę, dla której była całym światem, ale dziś...

Nawet jej nie przytulił... Nie pocałował na pożegnanie... Po prostu uderzył milczeniem i wyszedł...

– Zosiu!

Nataniel wpadł do domu.

– Zosiu! – krzyknął od progu.

W następnej chwili był w kuchni. Uniosła nań półprzytomny wzrok. Chwyił ją w ramiona, poderwał w górę i przytulił do piersi z całych sił. Czuł jej serce, trzepocące niczym schwyty w dłonie ptak, słyszał jej urywany szloch, łzy mieszały się z kroplami deszczu skapującymi z jego włosów i rzęs.

– Już jestem, jestem, wybacz mi – szeptał, tuląc dziewczynę do siebie, jakby znalazła się na krawędzi otchłani i właśnie miała runąć w przepaść, a on w ostatniej chwili ją złapał. Uratował dla siebie i dla niej.

Świat dookoła tych dwojga przestał istnieć. Trwali spleceni w ciasnym uścisku, nie zważając na szalejącą za oknem burzę. Tutaj, w ciepłej, przytulnej kuchni, nagle rozbłysło słońce, rozkwitły kwiaty, rozśpiewały się ptaki.

„Słyszysz?” – chciała zapytać, ale nie śmiała się odezwać, by nie prysła magia tej chwili.

„Słyszysz?” – chciał wyszeptać, ale bał się, że spłoszy to, co nieśmiało, niczym płochliwy duszek, zaglądało do ich serc.

Ona wreszcie przestała szlochać, uspokoiła się pod łagodnym dotknięciem jego dłoni. Wziął ją na ręce, lekką niczym skrawek tęczy, przeniósł na kanapę w saloniku, usiadł razem z nią, bo nie chciała wypuścić go z objęć.

Nie próbował jej pieścić, uwodzić, brać w posiadanie. Nie należała do dziewcząt, które się „bierze”. Nie próbował wykorzystać bliskości i poczucia winy, by zaspokoić pragnienie, jakie czuł od dawna. Ona chciała mu się oddać, tak!, pragnęła go tak samo jak on jej, i zrobi to, zrobią to razem, ale nie dziś, nie teraz, gdy cudem się odnaleźli... Przyjdzie dzień, a może noc, kiedy oboje będą potrzebowali czegoś więcej niż połączenia dusz, wtedy tak, wtedy odda mu się z radością, miała dwadzieścia pięć lat i gotowa była na ten pierwszy raz, ale... nie dziś... nie dziś...

– Jesteś przemoczony – wyszeptała, zaglądając mu w oczy.

– Ty też – odpowiedział szeptem. – Przyniosę ręcznik...

– Nie. Nie odchodź. Tu jest koc. To wystarczy.

Owinął siebie i ją kocem. Złożyła mu głowę na piersi i słuchała równego, mocnego bicia serca.

W pewnej chwili zdjęła zaparowane okulary i odłożyła na bok. Uniósł jej twarz ku sobie i aż zachłysnął się pięknem oczu tej dziewczyny. Długo wpatrywał się w niemym zachwycie w ogromne, szmaragdowoniebieskie tęczęwki okolone czarną obwódką, jakby patrzył w morską toń, na której dnie ukryta była antracytowa perła.

– Mogę cię pocałować? – poprosił szeptem.

– Marzę o tym od chwili, gdy cię spotkałam – odpowiedziała równie cicho.

Dotknął jej warg lekko, pytająco, a ona je rozchyliła. Posmakował ich, musnął językiem. Nie cofnęła się, nie uciekła. Smakowała poziomkami... Całował długo, powoli, rozkoszując się każdą sekundą. Ona miękła od dotyku jego ust, osuwała się w nadstawione dłonie tego mężczyzny, rozpływała w ciepłe dotyku jego warg i dłoni, jakby była płatkami śniegu, okruszem czekolady, lodową igłą, która trafiła w kochające serce.

Oderwał się od jej ust, gdy zabrakło mu oddechu. Zamrugła jak obudzona z długiego, pięknego snu. Uśmiechnęła się nieśmiało, tak jak uśmiecha się dziewczyna po pierwszym pocałunku, a on nie mógł się powstrzymać i scalał ten uśmiech z jej warg. Delikatnie, czule i pięknie.

– Nie mogę ci obiecać... – zaczął, ale dotknęła dłonią jego ust.

– Ciii, nic nie obiecuj. Nie proszę ani nie żądam od ciebie niczego więcej niż to, co możesz mi dać tu i teraz. Co możemy dać sobie nawzajem. Tylko tyle i aż tyle. Przyrzeknij mi jedynie, że nie będziesz mnie zwodził, gdy postanowisz odejść. Powiesz po prostu „nie mogę z tobą być” i odejdziesz.

Otworzył usta, by zapewnić ją, że nigdy... przenigdy! Ale nie cofnęła dłoni.

– Proszę cię o tylko to. Przysięknij.

– Przysiękam, Zosiu – odparł poważnie, patrząc w jej niesamowite oczy, tonąc w ich błękitnozielonej głębi.

Przyciągnęła go do siebie i nagrodziła za te dwa słowa najczulszym pocałunkiem. A on wiedział, że jeśli kiedykolwiek skrzywdzi tę dziewczynę i porzuci, do końca życia będzie mu się śnił widok tych bezbronych, wypełnionych miłością źrenic. I jeszcze słowa, które wyszeptała w następnej sekundzie...

Ukojenie. Tym jednym słowem mógł Nataniel opisać uczucie, które mu towarzyszyło, gdy nad ranem wracał do domu.

Zatrzymał się w pewnym momencie, zapragnąwszy odetchnąć krystalicznie czystym, pachnącym niedawną burzą powietrzem, zszedł z drogi, którą przyjechał, i cichy, ukojony, stanął nad brzegiem jeziora. Było równie spokojne jak dusza Nataniela. Brzask rozsrebrzył niebo na wschodzie i gładką taflę. Budzące się ze snu ptaki zamarły w oczekiwaniu na pierwszy promień słońca. Cisza unosiła się nad światem razem ze smugami mlecznych mgieł. Magiczna noc nie chciała dobiec końca, błagała o jeszcze jedną chwilę...

„Dziękuję Ci, Boże” – Nataniel uniósł oczy do granatowego nieba, gdzie po stronie północnej nadal migotały gwiazdy. „Nawet jeśli ma się ta cudna chwila zaraz skończyć... dziękuję”.

Bóg nie odpowiedział, ale leciutka bryza była niczym dotknięcie anielskich skrzydeł.

– Dziękuję – wyszeptał, zmówił jeszcze modlitwę za dusze mamy i babci, chociaż był pewien, że nimi Bóg czule się zaopiekował. Na koniec poprosił, by dobry los czuwał nad delikatnym kwiatem, jakim była jego miłość do pewnej rudowłosej, morskookiej dziewczyny...

– Ciesz się, mój drogi, tym ukojeniem, póki trwa – szeptał wiatr.

– Ciesz się spokojem i patrz z ufnością w przyszłość, póki możesz –

szemrały liście lipy rosnącej przy dworku. Huragan Iwona jest coraz bliżej. Uderzy. To pewne. Uderzy nie dziś i nie jutro, a dopiero wtedy, gdy poczujesz się naprawdę szczęśliwy i bezpieczny. By zniszczenie, którego dokona, było tym boleśniesz... Na tym polega smak życia. Czyż nie?

ROZDZIAŁ XX



Coś ty taki rozanielony? – Siergiej rzucił chłopakowi podejrzliwe spojrzenie. – Nie widziałem cię takiego od czasu... niech pomyślę... Iwony?

– Spadaj – mruknął chłopak, ale bez złości.

Nawet wtedy, gdy rozkojarzony palnął się młotkiem w palec, zamiast rzucić przekleństwem, jedynie pokręcił głową i uśmiechnął się, ssąc obolałe miejsce.

– Słuchaj, Nat, albo się czegoś naćpałeś... – Siergiejowi coraz mniej się to podobało. – Nie hodujesz chyba w dworku Marty ziela szczęśliwości?! Albo... Ludzie, trzymajcie mnie! Ty jesteś zakochany!

– Ciii! – syknął chłopak, oglądając się na pracującego piętro niżej Marka Sidłę.

– Niech zgadnę! – Sodarow nie mógł darować sobie takiej okazji. – Nasza urocza pani doktor?

– Zamknij się, człowieku! – Nataniel wyglądał na naprawdę rozgniewanego, ale tylko przez chwilę. W następnej nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Mężczyzna, widząc to, chciał rzucić jeszcze jakąś uszczypliwość, ale... zamiast tego rzekł z głębi serca:

– Życzę ci wszystkiego, co najlepsze, dzieciaku. I Zosi też. Zasługuje dziewczyna na dobrego człowieka. Takiego jak...

Przerwał mu pełen przerażenia krzyk. A potem stłumione tąpnięcie.

Poderwali się obaj. Na równe nogi. W tym samym momencie, gdy ktoś

krzyknął:

– Człowieku, kurwa! Żyjesz?!

– Rany boskie...! – wymamrotał Nataniel, zbiegając po drabinie na niższe piętro, gdzie spadł z ponad trzech metrów Kazimierz Jarząbek. Dzisiaj jakby nigdy nic, jakby nie zniknął na kilka tygodni, wrócił do pracy na budowie. I teraz leżał bez przytomności, krwawiąc z rozbitej głowy. Nataniel w kilka sekund był przy nim.

– Siergiej, wzywaj pogotowie! – krzyknął, pochylając się nad rannym.

Upadek z takiej wysokości nie powinien być śmiertelny, chyba że ktoś spadł płasko, na plecy, gruchocąc sobie żebra i tonąc we krwi zalewającej pokaleczone płuca, jak starszy mężczyzna w tej chwili.

Nataniel jednym ruchem obrócił go na bok, do pozycji bezpiecznej. Teraz Jarząbek nie mógł zakrztusić się krwią, ale umierać – umierał.

Sodarow ukląkł obok niego.

– Pogotowie w drodze – rzucił do Nataniela. – Możemy coś zrobić?

– Modlić się, by zdążyli – odparł chłopak blady jak śmierć. Jeśli przy budowie tego domu ktoś umrze... Wolał nie kończyć tej myśli.

– Wybacz, Nat – usłyszał szept rannego. – Ona nie wiedziała, co robi. Wybacz...

– Nic nie mów, leż spokojnie – poprosił, bo Jarząbek zachłysnął się krwią i z trudem odzyskał oddech. Otaczający ich robotnicy stali nieruchomo, w milczeniu.

– Ją Pan Bóg pokarał za ciebie – padły ciche słowa. – Ukrywa się. Żyje ze złym człowiekiem. Bardzo złym. Ale ty jej wybacz, Nataniel. Będzie lżej...

– Wybaczam. Już dawno wybaczyłem – odparł Nataniel zduszonym przez przerażenie głosem. – Proszę się trzymać. Karetka zaraz będzie. Nie umrzesz nam tutaj, prawda? – Błagał, ściskając zimną dłoń mężczyzny.

– Musimy znieść go przed dom. Będzie szybciej – odezwał się półgłosem

Sodarow.

Czterech już niosło zbite z surowych desek, zaimprovizowane nosze. Przenieśli na nie rannego, a potem powoli, uważnie, by nie zadawać mu zbędnego cierpienia, znieśli na dół. Znow Kazio Jarząbek stał się jednym z nich. Przypomnieli sobie, jakim był dobrym sąsiadem, który nikomu pomocy nie odmówił.

– Trzymaj się, Kaźmirz – powtarzał sołtysiak, klepiąc starego po ramieniu.

Sodarow odsunął Sidłę łagodnie, acz stanowczo, wiedząc, że ten jest w szoku, jak większość z nich. Chyba tylko on, Siergiej, który nie takie przypadki widywał w swojej przemytniczo-wojennej karierze, nie poddał się panice i przerażeniu. Ale stracił panowanie nad sobą w chwili, gdy ranny wyprężył się, rozwarł szeroko usta, próbując chwycić powietrze i... znieruchomiał.

– Kurwa! – rzucił, rąbnął pięścią w mostek tamtego i rozpoczął reanimację.

Trzydzieści uciśnień i przerwa na dwa wdechy-wydechy. Znow: trzydzieści uciśnień...

– Błagam, Siergiej, proszę cię – szeptał Nataniel, patrząc z niedowierzaniem na dramat, który się rozgrywał tuż przed nim. – Ja nie chciałem tego domu. Proszę, panie Jarząbek, wybaczyłem Joasi już dawno, proszę nie umierać...

Inni stali dookoła w ciszy tak gęstej jak przekleństwa rzucane do niedawna na głowę starszego człowieka.

Tak, klęli go, bo wychował córkę na podpalaczkę. Na zdziwę, która podłożyła ogień pod czyjś dom. Na szmatę, która spowodowała śmierć Bogu ducha winnej doktor Kraszewskiej i pozbawiła dachu nad głową tego tu, Domoradzkiego, i małą dziewczynkę. Zła miłość złą miłością, niejeden porachował kości konkurencji, zemsta zemstą, wielu miało na sumieniu

grzechy, z których się potem pilnie spowiadało, tak, byli wściekli na Aśkę, że zszargała dobre imię całej wsi w oczach miastowego, owszem, złorzeczyli Jarząbkowi, ale... przecież nie na serio! Nikt nie życzył źle cichemu, przepraszającemu, że żyje, człeczynie, który teraz, tak kruchy, chudy i zmarniały, umierał na ich oczach.

– Daj, przejmuję go – odezwał się Nataniel. Odliczył do trzech i podjął reanimację. – Dzwon, gdzie to pogotowie?! Człowiek nam tutaj schodzi!

Ranny poruszył się nagle. Wciągnął haust powietrza. Zakrztusił się krwią, ale chłopak natychmiast obrócił go na bok.

– Oddychaj – poprosił. – Spokojnie. Oddychaj.

– Przykryjcie go czymś! – nakazał Sodarow.

Było ciepłe sierpniowe popołudnie, ale człowiek w szoku odczuwał dotkliwe zimno. Zaraz znalazło się kilka kurtek... W oddali rozbrzmiało jękliwe wycie karetki.

– Trzymaj się, Kaziu, jeszcze trochę – wyszeptał Nataniel, ściskając chudą dłoń Jarząbka. – I pamiętaj: wybaczyłem.

Starszy człowiek otworzył oczy, zogniskował spojrzenie na klęczącym przy nim chłopaku i uśmiechnął się leciutko. Z wdzięcznością. Nataniel nie przyjął do wiadomości – tak właśnie!, nie chciał przyjąć! – że mógł to być ostatni uśmiech Kazimierza Jarząbka...

– Musisz żyć! – krzyknął, gdy ratownicy kładli rannego na nosze.

Sodarow odciągnął chłopaka.

Pozostało jedynie czekać...

„Dziękuję wam z całego serca, ratownicy medyczni, ruszający na pomoc każdemu, kto jej potrzebuje, czy to święto czy dzień powszedni, słoneczny ranek czy parszywa jesienna noc. Nie doceniamy was, gdy nie jesteście potrzebni, a przecież ratujecie nam życie. Może być coś cenniejszego?” – tak myślał Nataniel, gdy dwóch mężczyzn w czerwono-czarnych uniformach

walczyło o życie Jarzábka.

„Dziękuję wam, lekarze, tak wkurzający i pogardzani, gdy słyszy się o waszej znieczulicy, o łapiących fuchy dorobkiewiczach, o »łowcach skór«, a zapomina o tysiącach oddanych powołaniu i pacjentowi ludzi, którzy trwają przy stołach operacyjnych, na niekończących się dyżurach, pał licho przemęczenie i kiepskie płace, byle nie zostawić nas, potrzebujących waszej pomocy, samym sobie” – tak myślał, gdy przejął rannego starszy, siwy jak gołąbek chirurg.

„Dziękuję, kochane panie pielęgniarki – powtarzał w myślach – niedoceniane, zabiegane, przeciążone pracą za liche wynagrodzenie, a jednak mające dla cierpiącego człowieka dobre słowo”, gdy jedna z nich, widząc młodego mężczyznę ze łzami w oczach czekającego na wynik operacji, położyła mu rękę na ramieniu i szepnęła:

– Wszystko będzie dobrze.

I wszystko było dobrze, zupełnie jakby słowa anonimowej pielęgniarki były zaklęciem.

Kazimierz Jarzábek wybudził się z narkozy. Oddychał wprawdzie przez rurkę tracheostomijną, ale jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo – tak powiedziała pani doktor anestezjolog, za co Nataniel gotów był ją całować po rękach.

Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby starszy człowiek zmarł. Musiałby się wynieść z Sennej, którą pokochał, choć nie przyznałby się do tego na głos, a i jej mieszkańcy obśmialiby go za takie słowa. Każdy z nich oddałby pół życia za mieszkanie w Warszawie. I drugie pół za powrót tam, gdzie jego serce.

– Chodź, Nat, wracamy do domu – odezwał się Siergiej, który razem z chłopakiem czekał na wynik operacji. – Mam szczerą nadzieję, że Jarzábek się z tego wykaraska, w przeciwnym razie będziesz miał prokuratora na karku.

– Ja?!

– Ty. A któż inny? Twoja budowa, twoja odpowiedzialność. Przecież nie moja albo Sidły.

Czy Sodarow miał rację, czy zmyślał, nie było ważne, na pewno miał złośliwą radość, widząc jak chłopak po jego słowach blednie.

– Nie łam się. – Klepnął go krzepiąco w plecy. – Będę ci przysyłał paczki do więzienia.

– Spadaj. Razem ze swoimi paczkami – odgryzł się Nataniel, ale tym bardziej zaczął się modlić o wyzdrowienie Jarzábka.

– Może pan zajrzeć na chwilę do pacjenta – usłyszał głos pielęgniarki, tej samej, co niedawno pocieszała go, że wszystko będzie dobrze. – Dwie minutki – dodała surowo.

Nataniel wszedł do sali pooperacyjnej, gdzie wśród aparatury monitorującej parametry życiowe leżał starszy mężczyzna. Pochylił się ku niemu, ujął jego dłoń i uścisnął lekko, by dać Jarzábkowi znak, że nie jest sam, ma przyjaciół, którzy nad nim czuwają. Ten uchylił lekko powieki i poznając Nataniela, oddał uścisk. Teraz chłopak, o wiele spokojniejszy, mógł wracać do Sennej.

Zawiózł Siergieja z powrotem na budowę, by odpowiadał na pytania o stan rannego, a sam – zapragnąwszy rozpaczliwie znaleźć się w domu, zatrzasnął drzwi i choć na chwilę zapomnieć o świecie i ludziach – ruszył do dworku.

Nie był tu za dnia, od kiedy ukończył pierwszą część zlecenia dla „Lubaszki”, i już zapomniał, jak pięknie może być nad jeziorem w spokojne sierpniowe popołudnie.

Dom, pusty i cichy, wygrzewał się w promieniach powoli gasnącego słońca. Nad różami, które z taką miłością hodowała Marta, unosiły się, brzęcząc miarowo, roje pracowitych pszczół ze starego ula, który stał w najdalszym kącie ogrodu.

Nataniel zrobił sobie miętową herbatę i kanapki z powidłami

śliwkowymi – jeszcze ze spiżarni doktor Kraszewskiej – po czym wziął ze sobą kubek i talerzyk i usiadł na ganku, coś czując, że dzisiejszy dzień, który zaczął się tragicznie, ma dla niego radośniejszą niespodziankę.

Intuicja go nie myliła.

Zanim skończył podwieczorek, od strony jego dawnej chaty dobiegł go dźwięk piosenki śpiewanej miłym kobiecym głosem i oto po chwili zza gęstych trzcin wyłoniła się znajoma sylwetka.

– Magda! – krzyknął zaskoczony i uradowany, bo kogo jak kogo, ale siostry się w to piątkowe popołudnie nie spodziewał. Zeskoczył z ganku wprost na ziemię i wybiegł jej naprzeciw. – Magda! – powtórzył, chwytając dziewczynę w pole i obracając z radości wokoło.

Pisnęła: „Postaw mnie, wariacie!”, po czym stojąc już na pewnym gruncie, uściskała brata serdecznie.

– Wyglądasz oszałamiająco! – rzekł w następnej chwili z podziwem, przyglądając się siostrze.

Miała na sobie żywoczerwoną rozkloszowaną sukienkę, związaną w pasie dwiema kokardami: żółtą i czarną. Na głowie oczywiście kapelusik: czarny, przystrojony żółtą wstążeczką. Na nogach sandały w podobnym kolorze.

– Jak makowa panienka – dodał.

– Brawo! Dziś przebrałam się za kwiat maku.

– Śliczna jest ta sukienka, jaka miła w dotyku...

– To jedwab. – Obróciła się w piruetce, zadowolona z wrażenia, jakie wywarła.

– Siergiej będzie zachwycony, gdy cię zobaczy.

– A jest u siebie? – zapytała Magda jak gdyby nigdy nic.

Nataniel westchnął ciężko.

– Miałem przez chwilę nadzieję, że przyjechałaś w odwiedziny do mnie,

ale rozwiąła się ona w chwili, gdy wspomniałem o Sodarowie.

– Oczywiście, że przyjechałam do ciebie i Emilki! – Magda trzepnęła go po ramieniu. – Nigdy nie wątp, że jesteście dla mnie najważniejsi na świecie, ale mam dla Siergieja parę ciekawych artykułów. I pomysłów. Naprawdę chciałabym, żeby mu się powiodło. O ciebie się nie martwię, ty masz głowę na karku.

– Chodź. Usiądź. – Pociągnął ją na ganek. Posadził w ulubionym fotelu Marty.

Pasowała do tego miejsca bardziej niż Oliwia. Widać było, że Magdzie podoba się i dom, i otoczenie. Mimo przepięknej sukienki, która pasowałaby raczej na modowy wybieg niż na wieś, kobieta wyglądała tak naturalnie i bezpretensjonalnie jak mak w polu. Powodował to jej uśmiech, serdeczny i niewymuszony, jakim podziękowała za kubek herbaty. Kanapkę z powidłami już wcześniej podkraśla z talerzyka Nataniela.

Przysiadł na schodku u jej stóp, tak jak kiedyś siadywał z Martą, i opowiedział siostrze o wszystkich wydarzeniach ostatnich dni. Od czasu, gdy wróciła do Warszawy, aż do dzisiejszego ranka.

Spoważniała, gdy mówił o wypadku na budowie, odetchnęła z ulgą, słysząc, że starszy mężczyzna powinien się z tego wykaraskać. Nie znała Jarzábka, jednak przeżywała i sam wypadek, i to, jak opowiadał o nim Nataniel, nadal wstrząśnięty.

– Powiedz, co słyhać u pani weterynarz – zachęciła go, popijając miętowy wywar, gdy skończył opowieść. – Mówiłeś o wszystkich mieszkańcach Sennej, włączając w to wiejskie kundle, a o niej ani słowa. Owo przeoczenie mam rozumieć...?

Nataniel uśmiechnął się w tak szczególny sposób, że uśmiech ten mówił więcej niż tysiąc słów.

– W pewną burzową noc wyjaśniliśmy sobie wszystkie nieporozumienia. Miałaś rację, wystarczyło zapytać. Zosia zwierzyła mi się z pewnej bolesnej

tajemnicy. Myślę, że mogę ci o tym powiedzieć, jesteś przecież moją siostrą i nie rozpapłasz jej sekretu po wsi: w dzieciństwie zachorowała na ostrą postać białaczki. Lekarze ratowali ją bardzo agresywną chemio- i radioterapią. Przez to nie może mieć dzieci. I przez to nie chciała mnie krzywdzić...

– ...wiedząc, że twoim największym marzeniem jest dom pełen dzieci właśnie – dopowiedziała cicho Magda. – W dzisiejszych czasach są sposoby na bezpłodność – dodała.

– Wiem – uciął krótko – ale jeszcze o tym nie myślimy. Chcemy spokojnie, bez pośpiechu poznać siebie nawzajem, oboje musimy być pewni, że chcemy ze sobą być już na zawsze.

– Nie wyglądasz na cierpliwego – zauważyła z lekką kpina.

On zachnął się.

– Na tę jedyną potrafię czekać!

Zaśmiała się.

– Nie wątpię.

Dokończyli, przekomarzając się, podwieczorek i Nataniel wstał:

– Muszę jechać po Emilkę.

– Podwieziesz mnie do Siergieja? – zapytała, nim zdążył zaproponować, by pojechali do Piza razem. – Zrobię mu niespodziankę. Miłą niespodziankę, mam nadzieję.

– O to nie musisz się martwić, za każdym razem, gdy tu przyjeżdża, wypatruje właśnie ciebie. Nie mnie, nie Emilki, tylko ciebie – odparł Nataniel.

– Podrzucę mu materiały, o których wspomniałam – klepnęła aktówkę, którą miała ze sobą – i jestem z powrotem tutaj. Tym razem samochodem. Leśnymi dróżkami już się naspacerowałam...

Przyjechali na ranczo, w chwili gdy z budowy wrócił także Sodarow. Na

widok Magdy i jej karminowej sukienki gwizdnął z uznaniem.

– Pamiętaj, że to moja siostra! – krzyknął Nataniel przez uchylone okno samochodu. – Jeśli wyrządzisz jej jakąkolwiek krzywdę...

– Możesz nie kończyć, dzieciaku – przerwał mu mężczyzna z kpiącym uśmiechem – bo doprawdy się ciebie nie boję. Jedź już. Makowej Panience włos ze ślicznej główki nie spadnie. Jakem Emanuel*.

Magda parsknęła śmiechem, posłała bratu całusa, ale gdy zniknął za zakrętem, spoważniała, przeniosła pytające spojrzenie na Siergieja.

Ten odezwał się:

– Dasz mi chwilę? Jestem po robocie, brudny i spocony. Wiem, że niektóre laski lecą na facetów w typie drwala, ale coś mi się wydaje, że ty do nich nie należysz. Mylę się?

– Mylisz się. Nie mam nic przeciwko drwalom. Ale idź się ogarnij. Nie ściągnąłeś mnie tutaj, by uwodzić na drwala, no nie?

Przytaknął.

– Wejdiesz do środka czy posiedzisz na ganku? – Wskazał wygodną rattanową sofkę, ale ona odrzekła:

– Wejdę. Ciekawa jestem, jak mieszka taki macho.

– Rozczarujesz się – skwitował i przepuścił ją przodem.

Dom miał charakter ranczerskiej chaty. Był rozłożysty, parterowy, wzniesiony z grubych modrzewiowych bali. Ani na zewnątrz, ani w środku nikt go na szczęście nie zesześcił tynkami. Wszędzie królowało drewno, a wielkie okna i wysokie sufity sprawiały, że wewnątrz było pełno słońca.

Z sieni wchodziło się do salonu z aneksem kuchennym i dużym dębowym stołem. Z salonu kilkoro drzwi prowadziło do gościnnych sypialni, spiżarki, łazienki i korytarzyka wiodącego do królestwa pana domu.

Magda rozglądała się po ogromnej przestrzeni autentycznie oczarowana. Było to surowe, męskie wnętrze, ale drewno, białe, lekkie firanki w oknach

i obicia mebli utrzymane w barwach jesieni nadawały mu przytulności.

– Coś fantastycznego – odezwała się z niekłamanym zachwytem. – Mogłabym tu zostać. Jeśli potrzebujesz gosposi albo kucharki, powiedz słowo, a będę twoja. Bez skojarzeń!

Roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

– Wolę skojarzenia. Nie stać mnie na tak elegancką kucharkę, kochanie.

– Możemy negocjować... – Przechyliła kokieteryjnie głowę, ale oboje wiedzieli, że ani z jego, ani z jej strony nie jest to gra miłosna. Ot, niewinny flirt, tak, ale nie prowadzący prosto do łóżka. Siergiej zdawał sobie sprawę, że ta kobieta nie ma mentalności Iwony Bugaj, zaś Magda była pewna, że on nadal kocha Martę Kraszewską i nie jest jeszcze gotowy na nową miłość.

Wskazał jej szerokim gestem kuchnię.

– Częstuj się. Jeśli zrobisz dla mnie szklanekę zimnej jak nieszczęście lemoniady, będę wdzięczny. I przychylniejszym okiem spojrzę na twoją propozycję.

– Nie ma sprawy. Zimna jak nieszczęście lemoniada.

Zniknął w swojej części domu. Po chwili dobiegł stamtąd szum prysznic. Magda zakręciła się koło lodówki. Wyczarowała zamówiony napój, a że znalazła także kobiałkę truskawek i opakowanie śmietany, szybko przyrządziła prosty, a pyszny deser: truskawki z bitą śmietaną i listkiem mięty. Po miętę wyszła do ogrodu, który bardziej przypominał przydomową dżunglę, lecz mimo to, a może dzięki temu mięta miała się tam świetnie.

Gdy stawiała na stole miseczki z deserem, Siergiej wyszedł z łazienki, przebrany w czyste czarne dżinsy i takiż podkoszulek. Z opaską pirata na oku, śniadymi, wspaniale umięśnionymi ramionami i półdługimi kruczymi kędziorami, które wycierał od niechcienia ręcznikiem, wyglądał tak, że każdej kobiecie zapałoby dech na jego widok.

Magda na co dzień miała do czynienia z najpiękniejszymi mężczyznami modowego świata, więc żaden przystojniak nie powinien robić na niej

wrażenia. Uśmiechnęła się jedynie na widok Siergieja.

– Marzyłem właśnie o czymś takim – odezwał się, patrząc głodnym wzrokiem na deser. – Jesteś genialna.

Nie czekając, aż ona do niego dołączy, porwał miseczkę z truskawkami, nabrał ich kopiastrą łyżką i wyciągnął do dziewczyny, ale ona pokręciła głową.

– Jedz, jedz, to dla ciebie – odezwała się pobłaźliwie, widząc, że on niemal ślini się na widok świeżutkich truskawek skąpanych w bitej śmietance. Sama usiadła przy stole i skosztowała swojego deseru. Rzeczywiście owoce prosto z ogrodu były wyśmienite.

Pozwoliła Siergiejowi, by nasycił pierwszy głód i zaspokoił pragnienie, a potem zaczęła:

– Mów. Co za tajemnice masz, czy raczej już mamy, przed moim bratem? Od razu mówię, że nie podoba mi się to... Kłamię mu, no, może nie kłamię, bo rzeczywiście mam dla ciebie ciekawe materiały, ale też nie mówię całej prawdy...

– Czasem trzeba chronić przed nią tych, których kochamy – uciął.

– Dzwonisz późnym wieczorem i prosisz, bym przyjechała na weekend. Siergiej, z całym szacunkiem, jeśli potrzebowałeś kogoś, kto zrobi ci lemoniadę...

– Potrzebowałem ciebie. I nie tutaj. W dworku. U Nataniela – odparł takim tonem, że poczuła zimny dreszcz na kręgosłupie. – Jutro wydarzy się coś, co go po prostu złamie. Chcę, żebyś przy nim była.

Wysłuchiwała tego, co miał jej do powiedzenia, bezmyślnie przesuwając truskawki w swojej miseczce. Nagle straciła apetyt.

– Może powinieneś poprosić Zosię Micińską? – odezwała się, gdy skończył. – Jest dla Nataniela kimś więcej niż ja. Przecież znam go zaledwie od paru tygodni. Spotkaliśmy się dziś drugi raz w życiu.

– Zrobiłem coś całkiem przeciwnego: poprosiłem Zosię, żeby znalazła sobie na jutro arcyciekawe zajęcie i nie przyjeżdżała do dworku. Wierz mi, bardziej ty mu będziesz potrzebna niż ktoś, kto rozklei się razem z nim. Tylko zbiorowego harakiri nam tu trzeba...

– Bardzo to wszystko okrutne – wyszeptała. – Naprawdę nic nie możesz zrobić?

Zaprzeczył, a potem dodał zimno:

– Życie takie właśnie jest: okrutne. A los bezwzględny. Nie ma zmiłuj się...

Nic więcej nie zostało do dodania.

A jednak nie mogli się rozstać tak szybko.

Noc rozłożyła nad posiadłością Siergieja swe aksamitne skrzydła. Siedzieli na ganku jak dwoje starych przyjaciół, którzy znają się od wieków, i snuli plany na przyszłość. Przyszłość Sodarowa i jego rancza, bo przecież Magda miała pracę, miała mieszkanie, i nie zamierzała niczego w swoim życiu zmieniać.

Pomysłów mieli co niemiara. Jeśli chociaż połowa się powiedzie, Siergiej miał pewne jak w banku, że nudzić się nie będzie. Ale pieniądze też powinny płynąć szerokim strumieniem.

Lawendowe pole – pamięci Marty Kraszewskiej – dochód będzie przynosiło symboliczny, za to wynajmowanie pokojów i domków wakacyjnych, miniaturowe zoo dla dzieci, małpi gaj i jeszcze inne atrakcje łatwe w przygotowaniu za niewielkie pieniądze – one przyciągną klientów z całej Polski. Już jej, Magdy, w tym głowa, by tak właśnie się stało.

– Skończę budowę domu dla Nataniela i zabiorę się do stawiania domków wakacyjnych – odezwał się Sodarow, przeglądając rysunki, które mu przywiozła. – Te szkice są genialne w swej prostocie.

– Tak ma być. Nic wyszukanego: drewniana chatka Baby Jagi z salonikiem, dwiema sypialenkami i maleńką łazienką. – Wskazała jeden

z projektów. – Wszystko w skali mikro, bo zakładamy, że goście będą spędzać całe dni na świeżym powietrzu, między stajnią, minizoo i całą resztą. A wszystko to z łanami fioletowej lawendy w tle... Bajka!

– Pomożesz mi? – Uniósł wzrok na podekscytowaną dziewczynę.

– Pewnie! W tym, co potrafię. Jeśli czas pozwoli – dodała. – We wszystkie wolne dni, jakie uda mi się wygospodarować albo wyblagać, mogę tu przyjeżdżać i działać razem z tobą. Jednak nic za darmo... – zawiesiła głos.

– Wiedziałem – odmruknął. – I powtórzę: nie stać mnie na ciebie. Jesteś stanowczo za droga.

– Ej, nie powiedziałam jeszcze ceny! Wystarczy mi zapłata w naturze! – Szturchnęła go łokciem w żebra. – Będziesz się ze mną dzielił plonami. Lawendowe bukiety, mleko od twojej jerseyki, wiejskie sery i jajka, powidła i dzemy. Takiej zapłaty żądam.

– Dostaniesz znacznie więcej – odparł zupełnie poważnie, a potem, zapominając o powadze, uniósł kącik ust w szelmowskim, dwuznacznym uśmiechu.

Żegnali się pod sklepem spożywczym, gdzie Magda zostawiła swój samochód. Siergiej wytłumaczył jej jeszcze, jak dojechać do dworu, bo znała tylko drogę nad jeziorem. Wreszcie musieli sobie powiedzieć „dobranoc”, żałując każdej chwili na sen. Tak dobrze było ze swą pokrewną duszą siedzieć na ganku w cichą, sierpniową noc i marzyć...

– Boję się jutra – wyszeptała ni to do siebie, ni do niego.

– Wiem – odparł równie cicho. – Ale nic nie poradzimy. Nataniel na pewno się tego spodziewa, tylko nie wie...

– ...że to już jutro? – dokończyła ze smutkiem.

Przytaknął, przyciągnął ją do siebie, uniósł jej twarz pod brodę i lekko ucałował w usta.

– Bądź przy nim. Nic więcej nie możesz dla niego zrobić. Po prostu przy

nim bądź.

* Nawiązanie do bajki dla dzieci „Makowa Panienska i Motyl Emanuel”.

ROZDZIAŁ XXI



Tak jak nawet najczarniejsza noc kończy się srebrnym świtem niosącym nadzieję, tak po każdym, nawet najpiękniejszym dniu przychodzi wieczór, spokojny bardziej lub mniej, ale gdy zajdzie słońce, świat znów pogrąża się w ciemnościach.

Szczęśliwy czas Nataniela Domoradzkiego dobiegł końca. Jeszcze wczoraj wieczorem czytał Emilce własnoręcznie napisaną bajkę o tym, jak paczka zwierzaków poszukuje tajemniczego Dziecka – kim było?, tego Nataniel ani Emilka jeszcze nie wiedzieli... Jeszcze Emilka z dumą pokazywała Magdzie obrazki, jakimi wujek zilustrował tę opowieść...

– Przepiękne! – zachwycała się kobieta zupełnie szczerze i już się nie dziwiła, że amerykański wydawca jest zainteresowany tą historią i Natanielem jako autorem ilustracji...

Patrzyła ze wzruszeniem, jak tych dwoje: jej brat i mała siostrzyczka, pótleżą na łóżku dziewczynki, wymyślając swoje własne historie. Widziała, jak Nataniel odruchowo, z czułością odgarnia dziewczynce włoski z czoła, i nie miała żadnych wątpliwości, że on to dziecko po prostu kocha, a Emilka, podnosząc nań wielkie czarne oczy, pełne blasku, radości życia i ufności, kocha jego.

– Wujku Natanieluuu – mówiła, zabawnie przeciągając ostatnią samogłoskę.

– Jestem twoim bratem – przypominał jej łagodnie. – Mów mi po imieniu.

– Natuś? Tak mam mówić? Natusiu?

– Możesz tak mówić – uśmiechał się do dziecka.

– A ciocia Magda to moja siostra? I mogę mówić do niej: Madziuuu?

– Tak właśnie.

Magda patrzyła na te dwie kochające się istoty i smutniała z każdą chwilą, wiedząc, co wydarzy się nazajutrz.

Emilka wkrótce zasnęła. Nataniel otulił ją kołdrą, pocałował w czółko, które zmarszczyło się komicznie na chwilę, po czym wyszedł na palcach z pokoju, zostawiając włączoną lampkę nocną. Był zmęczony, ale Magda czuła jego głęboki wewnętrzny spokój. Miał dach nad głową, miał obok siebie tych, których kocha, miał trochę pieniędzy na koncie, sprawny umysł i dłonie, które potrafiły wyczarować piękne ilustracje...

Nie martwił się o przyszłość, wiedział, że jeszcze nie raz otrzyma cięgi od losu, ale dziś pełen był wiary i dobrych myśli. Magda zaś nie miała serca go uprzedzić, że jutro... już jutro spadnie nań cios.

Nie. Niech tej nocy Nataniel zasypia z nadzieją, że jutro też będzie Emilkę tulił do snu. Niech jeszcze przez kilkanaście godzin wierzy w to, że świat jest piękny, ludzie dobrzy, a Bóg ma litość w sercu...

Wiedział o tym, co ma nastąpić, Siergiej, wiedziała Magda i Zosia Micińska też. Tylko Nataniel nie przeczuwał, że ten piękny, słoneczny dzień na zawsze zapamięta jako jeden z najczarniejszych w swoim życiu.

Właśnie niósł drewno do kominka, które rąbał przez cały ranek, żeby wieczorem we troje – z Emilką i Magdą – mogli posiedzieć przy żywym ogniu, gdy pod dom podjechał samochód z warszawską rejestracją. Nataniel, widząc kto siedzi obok kierowcy, poczuł, jak serce zaczyna mu łomotać, a włosy na karku podnosi złe przecucie, bardzo złe.

Gdy Iwona otworzyła drzwiczki, wysiadła i uśmiechnęła się doń, poczuł się tak, jakby przyjechała jego śmierć.

Bardzo się zmieniła od czasu, gdy kilka tygodni temu widział ją w szpitalu. Dziś była sobą sprzed roku: piękną, dobrze ubraną i pewną siebie. Jediną różnicą było to, że już go nie pociągała. Przeciwnie. Na jej widok miał ochotę zamknąć się w domu i udać, że wyjechał. Zabrać Emilkę i uciec

daleko stąd.

– Cześć, Nat – odezwała się wesoło. – Jestem. Tamten – machnęła ręką w kierunku kierowcy – to mój kurator. Wypuścili mnie tydzień temu warunkowo. Siergiej dobrze się spisał. Podziękuję mu przy okazji.

Mówiła, mówiła, mówiła, podczas gdy on milczał.

– Dostałam pracę w Warszawie. W fundacji, która pomaga kobietom po przejściach, takim jak ja. Wynajęłam niewielkie, ale ładne mieszkanie i jestem gotowa.

Wreszcie umilkła, czekając, aż odezwie się on.

– Na co? – rzucił, choć nie chciał znać odpowiedzi.

– Zabrać dziecko.

Stało się. Nataniel poczuł, że tonie. Zabrakło mu oddechu.

– Jak to? – wydusił.

– Normalnie. Wyszłam z więzienia, znalazłam pracę, mieszkanie i przyjechałam zabrać Emilkę do domu.

– N-nie możesz jej zabrać – wyjąkał. – Nie widziała cię od miesięcy, dziś przyjeżdżasz jak gdyby nigdy nic, bez uprzedzenia i myślisz, że pozwolę ci z nią odjechać?! – Podniósł głos, cofnął się o krok, zupełnie jakby miał dokąd uciec.

– Nat – zaczęła łagodnie – nie utrudniaj czegoś, co i tak jest trudne...

– Dla mnie! Bo przecież nie dla ciebie!

– Jestem jej matką.

– Gdzie byłaś przez ostatnie miesiące?! Podrzuciłaś mi ją jak uciążliwy bagaż! Myślałaś o Emilce, gdy okradałaś ludzi?! Myślałaś o córeczce, ryzykując więzieniem?!

Pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

– Wypuszczono mnie właśnie po to, żebym rozpoczęła wszystko od

nowa. Wymiar sprawiedliwości dał mi drugą szansę. Nie odbierzesz mi jej.

– A ty nie odbierzesz mi dziecka!

– To moje dziecko, Nat. Proszę, nie rób scen...

Zatkało go. Ta wywłoka, ta kreatura, która nie liczyła się z nikim ani niczym, radzi jemu, by nie robił scen?! On?!

Rzucił polana z pasją pod nogi. Zrobił krok w kierunku Iwony. Drzwi samochodu otworzyły się. Mężczyzna, który do tej pory siedział nieruchomo, przyglądając się tym dwojgu, posłał Natanielowi ostrzegawcze spojrzenie.

„Kurator sądowy będzie zeznawał przeciwko tobie!” – coś krzyknęło ostrzegawczo w zrozpaczonym umyśle chłopaka. Nataniel zmałał nagle, zdusił wściekłość, przywołał na twarz pokorny uśmiech i rzekł:

– Możesz przecież do niej przyjeżdżać. Tak często, jak chcesz. Emilce jest ze mną dobrze. Chodzi do pięknego przedszkola, zaprzyjaźniła się z dziećmi, wychowawczynie za nią przepadają. Zapisalem ją do zerówki! Będziemy razem się uczyć...

– Gdzie ona jest? – zapytała, jakby wszystko to, co powiedział, nie miało znaczenia.

Zapadła cisza tak głęboka jak otchłań, w którą właśnie spadał.

– Gdzie ona jest, Nataniel? – Iwona powtórzyła głośniejszym głosem, a on zaczął się modlić do Magdy, by wyczuła niebezpieczeństwo i zabrała dziewczynkę tak daleko, by Iwona, ta przeklęta po tysiakkroć suka, nigdy jej nie dopadła...

Ale dziecko i matka są związane szczególną więzią i nikt tego nie zmieni.

Emilka, która do tej pory plotła z Magdą wianki w sadzie, w pewnym momencie, tknięta niezrozumiałym dla innych przecuciem, umilkła, znieruchomiała. Wbiła spojrzenie czarnych oczu w coś, co widziała tylko ona. Nasłuchiwała z przechyloną główką długą chwilę, chociaż dookoła słychać było jedynie śpiew ptaków. Żaden dźwięk sprzed domu tutaj nie docierał.

Nagle poderwała się na równe nogi. Zanim Magda zdążyła uczynić

najmniejszy gest, dziewczynka rzuciła się biegiem w stronę domu.

Wypadła z ogrodu, obiegła dwór i oto była na podjeździe, gdzie...

– Mama! – krzyknęła i z nieludzkim wręcz skowytym rzuciła się ku kobiecie. Wpadła w rozwarte ramiona Iwony. Zacisnęła rączki na jej szyi tak mocno, aż pobiełały, i zawodziła cicho, lecz tak przejmująco, że Nataniel poczuł, jak serce mu pęka.

– Mamusia, mamunia – powtarzało dziecko, tuląc się do kobiety jeszcze silniej, o ile w ogóle to możliwe.

Ona spojrzała na Nataniela, jakby mówiła bez słów: „Spróbuj mi ją teraz odebrać”.

Ale on mimo to próbował, bo przecież kochał tę dziewczynkę. Opiekował się nią najserdeczniej, jak potrafił, od pierwszego dnia, gdy doń przybyła. Nauczył się, co ona lubi, a czego nie znosi, poznał zabawy i piosenki, które śpiewali potem razem na całe gardło. Razem z nią śmiał się, gdy była szczęśliwa, a tulił ją i pocieszał, gdy tonęła we łzach. Kupował jej ubranka, szybko poznając, w co ona pozwoli się ubrać, a w co za żadne skarby świata. Nauczył się dla niej gotować, napisał bajkę, którą czytał jej co wieczór, mniejsza o zmęczenie. Był w końcu jej bratem! Jako brat ma chyba cokolwiek do powiedzenia! – to wszystko wykrzyczał Iwonie prosto w twarz, ale ta patrzyła nań obojętnie, z narastającym zniecierpliwieniem.

Nagle znalazła się przy nim Magda. Położyła dłoń na jego ramieniu i uściśnęła, by czuł, że w tej najczarniejszej godzinie nie jest sam.

– Iwona, bądźmy rozsądni – spróbował raz jeszcze łamiącym się głosem. – Nigdy nie zajmowałaś się nią tak, jak trzeba...

– To się zmieni. Pożegnaj się z Emilką, proszę. Bez scen.

– Zostań... zostań tutaj – wydusił błagalnym tonem. – Możemy... zamieszkać razem. Dać jej prawdziwy dom. Przecież kiedyś... byliśmy parą. Kochałem cię...

Magda, słuchając rwących się słów, poczuła, że za chwilę zacznie

krzyczeć. Z jednej strony błagała brata, by się nie poniżał. Ta wściekła suka przyjechała tu po dziecko i z dzieckiem wyjedzie bez względu na to, co Nataniel zrobi albo powie, czy wręcz jemu na przekór! Z drugiej myślała z wdzięcznością o Siergieju, że nie pozwolił Zosi być tutaj, słuchać, jak Nataniel, miłość jej życia, właśnie prosi Iwonę Bugaj o rękę.

Lecz najbardziej Magdzie było żal brata. Widziała, jak plecy zaczynają mu drżeć od siłą powstrzymywanego płaczu, jak do oczu nabiegają mu łzy, jak zaciska szczęki z bezsilności i rozpacz...

– Do widzenia, Nat. Dziękuję, że zająłeś się Emilką – odezwała się Iwona, obróciła na pięcie i ruszyła do samochodu.

Dziecko, wtulone w nią, nawet nie podniosło wzroku. Nie pożegnało Nataniela ani jednym spojrzeniem.

Rzucił się za nimi. Magda w ostatniej chwili chwyciła go za ramię i szarpnęła z całych sił do tyłu. Iwona wsiadła szybko do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Ford ruszył. Nataniel z takim skowytym jak przed chwilą Emilka ruszył biegiem za odjeżdżającym autem, ale potknął się, oślepiony łzami, upadł na kolana. Wsparł się na rękach i tkwił tak pośrodku drogi, dopóki nie dopadła go Magda, nie podniosła z klęczek i nie zamknęła w ramionach.

– Boże mój, Nat... – szeptała, tuląc brata, głaszcząc go po plecach drżących od łamiącego serce łkania. – Emilka wróci. Dzieci zawsze wracają tam, gdzie ich dom. Wróci do ciebie...

Ale były to puste zaklęcia. Dom dla dziecka jest tam, gdzie jego matka, a matki nie zastąpi nawet najbardziej kochający opiekun. Nawet Nataniel. Bez względu na to, jak podłą i nieczułą matką okazała się Iwona, dziecko pragnęło być z nią...

Magda zaprowadziła brata na ganek. Posadziła w fotelu. Pobiegła do kuchni po rolkę papierowych ręczników i szklankę zimnej wody. Gdy wróciła, Nataniel próbował opanować łzy. Przyłożył dłoń do oczu i siedział bez ruchu, oddychając głęboko.

– Proszę. Napij się. – Podetknęła mu szklankę z wodą.

Poderwał głowę i spojrzał na siostrę z jakąś dziką nienawiścią.

– Wszystkie jesteście takie same! – wydusił, po czym odtrącił jej dłoń, aż woda chlusnęła na ścianę, poderwał się z fotela, zbiegł po schodkach ganku i skierował się prosto do drewnutni.

Magda rzuciła się za nim, ale gdy ujrzała brata z siekierą w ręce... cofnęła się przerażona. Minął ją. Podeszedł do dużego, pociętego razami pnia, postawił na sztorc polano i rozłupał je z pasją jednym uderzeniem siekiery.

Pracował bez wytchnienia do późnej nocy. Oczy zalewał mu pot, ramiona drżały ze zmęczenia, a on rąbał drwa, jedno po drugim, dotąd, aż się skończyły. Wtedy, ledwo żywy, mógł wrócić do domu, pustego domu, w którym nie było już Emilki, paść na łóżko i osunąć się w sen jak w bezdenną studnię...

ROZDZIAŁ XXII



Następne dni i tygodnie stały się dla Nataniela niekończącą się udręką. Do tęsknoty za dzieckiem i rwącego serce żalu, że tak po prostu mu je odebrali, dołączył ból chorego uda. Ból nie do zniesienia.

Magda, która wzięła dwa tygodnie wolnego, z przerażeniem i bezsilnością patrzyła, jak brat zwija się w cierpieniu, jak wgryza się we własną pięść, by nie krzyknąć na całe gardło, jak rozbija knykcie o ścianę, zostawiając na niej krwawe ślady.

Nie jadł, nie wstawał z łóżka, całkowicie pogrążył się w świecie cierpienia...

Znosił obecność jedynie siostry. Wszystkich innych oskarżał o zdradę i obrzucał najparszywszymi obelgami. Sodarowa – gdyby mógł – po prostu by zabił, bo to on przecież wyciągnął Iwonę z więzienia i dzięki temu mogła odebrać Natanielowi Emilkę. Nie pomagały tłumaczenia, że któregoś dnia tamta i tak upomniałaby się o własne dziecko. Mateusz, gdy wyrwało mu się, że Nataniel nie miał do małej żadnych praw, dziecko nie było przecież jego, dołączył do grona śmiertelnych wrogów chłopaka.

Może gdyby nie ból fizyczny wbijający kły w jego nogę Nataniel wytłumaczyłby sam sobie, że Emilka ma prawo do własnej mamy, że oprócz szczęścia małej dziewczynki nie liczy się nic, nawet jego złamane serce, ale oślepiany przez rozdzierający ból, nie mógł się zdobyć na rozsądek.

Magda nie wiedziała, co począć, jak pomóc bratu.

Wybłągała u Sodarowa adres Iwony i pojechała do Warszawy zobaczyć się z kobietą, która tak okrutnie, już po raz drugi, zraniła jej brata.

Opowiedziała tamtej, w jakim stanie jest Nataniel, jak strasznie cierpi, ale Iwona, jak poprzednio nie miała dla niego litości, tak nie znalazła jej i teraz. Po długich, upokarzających błaganiach zgodziła się, by Nataniel widywał Emilkę z daleka, tak żeby dziewczynka go nie widziała.

– Dla dobra dziecka – powtarzała słowa, które wbił jej do głowy kurator. „Dobro dziecka” stało się mantrą tej nieczułej kobiety.

Ale Magda nie ośmieliła się przekazać tej wiadomości bratu. Schudł tak strasznie i wyglądał na tak wyczerpanego, że po prostu się o niego bała. Mógł zemdleć na ulicy, mógł go potraćić samochód, gdy nieprzytomnie pod niego wbiegnie, wreszcie serce mogło nie wytrzymać takiego wysiłku i wzruszenia, a Magda zbyt krótko się Natanielem cieszyła, żeby teraz ryzykować jego życiem.

Siedziała więc całymi dniami przy jego łóżku, patrząc na udręczone ciało, słuchając tłumionych jęków na przemian z przekleństwami i... nie mogła uczynić nic, żeby mu pomóc. Kompletnie nic. Najsilniejsze leki przeciwbólowe nie działały...

Wreszcie, gdy dwa tygodnie, które dla Nataniela miała, dobiegły końca, wyszła z domu przesiąkniętego rozpaczą i powłokła się drogą nad jeziorem, przed siebie, żeby choć na chwilę zapomnieć o tragedii, której nie potrafiła zaradzić.

Tego dnia, kiedy Iwona przyjechała po Emilkę, Zosia zafundowała sobie objazd po Sennej i okolicach. Szczepiła za półdarmo przeciw wściekłości wszystkie psy i koty, których właściciele sobie tego życzyli. Coś musiała robić. Nie mogła siedzieć beczynnie, gdy niedaleko stąd ktoś zadawał ból mężczyźnie, którego kochała.

Wróciła późnym wieczorem, silnie przeziębiona. Zadzwoiła do Nataniela, ale nie odebrał, zadzwoniła do Siergieja, ten odesłał ją do Magdy Śniegockiej. Dopiero ona opowiedziała Zosi, jak Iwona okrutnie postąpiła z Natanielem... Zosia pragnęła przybiec natychmiast, żeby po prostu być przy ukochanym w tej czarnej godzinie, ale rosnąca gorączka upominała się o leki.

Rano doktor Micińska nie wstała z łóżka. Zadzwoiła do mamy, która natychmiast przyjechała razem z Mateuszem. Stan dziewczyny był już tak poważny, że bez zwłoki wezwali pogotowie. „Przeziębienie” okazało się wredną gripą. Biedna Zosia następne dwa tygodnie spędziła w szpitalu.

Dziś wróciła do domu, ale była jeszcze za słaba, żeby przyjmować pacjentów. Za to bardzo chciała zobaczyć się z Natanielem, ale on nie nadal odbierał telefonu. Nie namyślając się dłużej sięgnęła po ciepły sweter, narzuciła go na ramiona i ruszyła do drzwi.

– Zos-siu, córee-eńko, zo-ostań– próbowała ją zatrzymać pani Marianna.

– Przepraszam, mamó, ale powinnam przy nim być – odparła cicho, lecz stanowczo. – Nataniel musi wiedzieć, że z tak wielkim smutkiem nie jest sam.

Spieszyła drogą dookoła jeziora, gdy wtem, jeszcze daleko, za zakrętem, zamajaczyła sylwetka kobiety. Zosia, tknięta przecuciem, ruszyła biegiem. I oto miała przed sobą Magdę Śniegocką, siostrę Nataniela, która z oczami pełnymi łez chwytała jej rękę w swoje dłonie.

– Nie mogę mu pomóc! Nic nie mogę zrobić, żeby nie cierpiał tak strasznie! – krzyknęła w bezsilnej rozpacz. – I patrzeć na jego katorgę też już nie mogę!

Zosia objęła ją serdecznym gestem. Przytuliła do siebie i pozwoliła płakać, głaszcząc kobietę po plecach. Gdy Magda uspokoiła się w końcu, ruszyły spiesznie do dworu. Jest czas na rozpacz, tak, każdy ma chwile załamania, ale gdy łzy przestaną płynąć, trzeba podjąć walkę z życiem albo z ludźmi.

– Muszę cię uprzedzić, Zosiu – odezwała się Magda – że Nataniel jest cieniem chłopaka, którego pokochałaś. Nie spodziewaj się ciepłego przyjęcia.

Dziewczyna przytaknęła w milczeniu. Była pewna, że potrafi Natanielowi pomóc. Żałowała jedynie, że nie mogła tego zrobić już dwa tygodnie temu.

– Jesteś strasznie blada. – Magda rzuciła dziewczynie zatroskane spojrzenie. – To on powinien odwiedzać ciebie, a nie na odwrót.

Zosia machnęła ręką i rzekła:

– Nic mi nie będzie. Czy Iwona zgodziła się, żeby Nataniel widywał Emilkę?

– Tylko z daleka. Tak, żeby Emilka nie widziała jego. Dla dobra dziecka – odparła Magda z goryczą.

Dziewczyna pokręciła tylko głową.

– Bardzo to okrutne – szepnęła. – I nie wiem, czy Iwona na pewno kieruje się dobrem Emilki. Może mała tęskni za Natanielem? Może chciałaby spędzić z nim trochę czasu?

– Wiesz... gdy Iwona ją zabierała, Emilka nawet się nie odwróciła, nie pomachała Natanielowi na do widzenia, nie pożegnała się z nim. Myślę, że bardzo go to zabolalo. Zupełnie jakby wszystkie miesiące, gdy opiekował się dzieckiem z oddaniem i miłością, nagle okazały się bez znaczenia...

Zosia zacisnęła jedynie usta i przyspieszyła kroku, a Magda mówiła dalej:

– Mimo to potrafiłabym mu być może pomóc, rozmawiać z nim, tłumaczyć, gdyby cokolwiek do niego docierało. Ból nogi odbiera mu jednak zmysły. Nic do Nataniela nie dociera. Kiedy może mówić, prosi tylko, by to się skończyło... Jakkolwiek...

Wbiegły po schodach na ganek, weszły do ciemnej sieni.

Mimo że w domu było ciepło, dziewczyna owinęła się szczelniej swetrem, jakby nagle owionął ją chłód.

– Zrób dobrej, mocnej herbaty. I mleka z miodem i masłem, dobrze? – poprosiła.

Magda bez słowa skręciła do kuchni.

Zosia została sama pod drzwiami sypialni Nataniela. Nacisnęła klamkę, weszła do środka i w następnym momencie klękała przy zwiniętym na łóżku, drżącym kształcie.

– Pomogę ci – wyszeptała, całując go w skroń.

Odwinęła kołdrę, mimo że chory próbował się nią okryć z powrotem, i położyła chłodną dłoń na jego pobliźnionym udzie. Nigdy nie widziała tych ran, Nataniel zawsze nosił długie spodnie. Teraz w pokoju panowała ciemność, ale pod palcami czuła, jak strasznie tkanki zostały poharatane, czuła zgrubienia kości, parokrotnie łamanej, czuła węzły mięśni, napięte do granic wytrzymałości, i wyczuwała także nerwy, które w oszalałym tempie przesyłały impulsy do ośrodka bólu w mózgu, podnosząc alarm, alarm, alarm!!!

Przymknęła oczy. Podłożyła pod udo drugą dłoń. Obie, jeszcze przed chwilą chłodne, zaczęły się rozgrzewać. Coraz silniej... Wreszcie nieomal paliły...

Kiedyś napomknęła Natanielowi, że być może potrafi uśmierzyć jego cierpienie. Ma pewne zdolności... terapeutyczne zdolności, które chciałaby na nim wypróbować, ale on w nic już nie wierzył, a ona była zbyt nieśmiała i niepewna siebie, by nalegać. Teraz czuła, że pomaga, że ten dar zaczyna działać.

Czuła, jak ciało pod jej dłońmi przestaje spazmatycznie drżeć, jak mięśnie rozluźniają się powoli, bardzo powoli, a puls uspokaja się. Wreszcie, gdy żar, który przykładała do jego ran był prawie nie do zniesienia, cofnęła ręce.

Nataniel leżał nieruchomo, jego oddech, dotychczas płytki i szybki, zaczął zwalniać. Ból mijał. Naprawdę mijał! W miejscu, gdzie do tej pory wbijano mu na żywca gwoździe, za które szarpano cęgami, teraz czuł gorąco, które z każdą chwilą zmieniało się w ciepło. Kojące ciepło.

– Dziękuję – wyszeptał ledwo słyszalnie, spękanyymi z pragnienia wargami.

Magda, która bezszelestnie weszła do pokoju, podała mu kubek z mlekiem. Wychylił do dna. Wyszła tak cicho, jak się pojawiła.

Zosia położyła się obok Nataniela, okryła ich oboje kołdrą, przytuliła policzek do jego piersi i zapadła, zupełnie wyczerpana zabiegiem, w płytki sen. Nataniel objął ją delikatnie, powtórzył z bezmierną wdzięcznością

i czułością: „Dziękuję, Zosiu”, i również zasnął.

Rano, zamiast bólu, obudził go zapach drożdżowego ciasta, które Magda właśnie wyjęła z piekarnika. I wszystko od razu stało się prostsze.

ROZDZIAŁ XXIII



– Mogę się z tobą zabrać? – zapytał Nataniel siostrę, gdy ta dwa dni później zaczęła pakować skromny dobytek do jednej torby, by wrócić do domu, do Warszawy.

Magda uniosła głowę, spojrzała na brata badawczo. Wyglądał o niebo lepiej niż tamtej czarnej nocy, gdy pobiegła po pomoc do Zosi, ale schudł i zmarniał, jakby trzymał się życia resztkami sił.

– No nie wiem... – odmruknęła. – Powinieneś raczej leżeć w łóżku, pielęgnowany przez naszą dobrą samarytanę. – W następnej chwili zapytała, prostując się i stając z bratem twarzą w twarz: – Chcesz zobaczyć Emilkę?

– To też – odrzekł, uciekając wzrokiem.

– Nie rób tego, Nat. Niepotrzebnie zranisz sam siebie. Pozwól tej ranie trochę się zabiźnić.

– Muszę ją zobaczyć. Muszę mieć pewność, że jest szczęśliwa, że... tamta... o nią dba.

– Ja mogę to zrobić za ciebie. Przekażę ci całą prawdę, obiecuję.

Pokręcił głową. Musiał zobaczyć dziecko. Choć na chwilę, z daleka, ale musiał.

– Pojadę tam z tobą, dobrze? – Teraz ona prosiła.

Już chciał odmówić, ale... to była Magda, jego siostra, która przez dwa tygodnie trwała przy nim, patrząc, jak on cierpi, próbując mu pomóc... Jej nie mógł odmówić. Szczególnie że sam nie był pewien, czy zdoła się powstrzymać od porwania dziewczynki, gdy tylko ją ujrzy. Albo chociaż przytulenia jej... Wzięcia na ręce, jak jeszcze parę tygodni temu, zamknięcia

w ramionach, ucałowania pachnących poziomkami włosków... Aż łzy napłynęły mu do oczu na to wspomnienie.

– Dobrze. Jedźmy razem. Później pomożesz mi w zakupach.

– Jeśli będziesz miał siły na shopping, chętnie – odrzekła bez entuzjazmu.

Dobrze będzie, jeśli Nataniel wycieńczony dwoma tygodniami głodówki i bólu nie zemdleje zaraz w samochodzie. O zakupach pomyślą, gdy będzie miał siły z niego wysiąść.

Droga do Warszawy minęła im w milczeniu. Każdy podjęty temat, choćby mieli dywagować nad pogodą zapowiadaną na wrzesień, kończyłby się wspomnieniem Emilki. I znów popłynęłyby łzy, a Nataniel musiał zbierać siły na spotkanie z dziewczynką. Czy raczej na to, żeby odejść z placyku zabaw, dokąd Iwona miała Emilkę przyprowadzić, bez niej.

– Myślisz, że tam będzie? – odważył się zapytać, gdy dojeżdżali do Alei Ujazdowskich. Tam właśnie mieli się zatrzymać. Tam, na pobliskim skwerze, miała się bawić z gromadą innych dzieci Emilka.

– Nie wiem, Nat. Wolałabym chyba, żeby jej nie było – odrzekła szczerze Magda. – Albo chociaż, żeby nie było tutaj ciebie. Sama mogłam...

– Zatrzymaj się! To tutaj!

Po drugiej stronie parkanu rozciągał się piękny plac zabaw. Dzieciarni było na nim co niemiara. Iwona dobrze wybrała miejsce tego spotkania-niespotkania. Nataniel nie miał żadnych szans, by oddalić się z dzieckiem – wejść do parku pilnowali strażnicy – jednocześnie dorosłych i dzieci było tak dużo, że nie rzucał się w oczy.

– Jest! – krzyknął cicho, widząc z daleka małą postać w kolorowej kurteczce. – Jest... – powtórzył łamiącym się głosem.

Magda uścisnęła go w milczeniu za ramię. Jej samej łzy napłynęły do oczu, co więc musiał czuć Nataniel?

On nie odrywał oczu od dziecka.

– Patrz, śmieje się! Wspina się na drabinki i się śmieje!

– Tak, Nat – odezwała się miękko. – Wygląda na szczęśliwą.

Stali na końcu alejki i chłonęli wzrokiem obraz radosnego, rozbrykanego dziecka...

Jeszcze przez długą chwilę Nataniel patrzył na Emilkę. Tak, żeby zachować w sercu uśmiech dziecka na niekończące się samotne wieczory. Już miał odejść, gdy jego spojrzenie spoczęło na szczupłej, czarnowłosej kobiecie siedzącej na jednej z ławek. Uniosła rękę w geście pozdrowienia. On... chciał odwrócić się i odejść, zaciskając dłonie w pięści, ale... kiwnął jej głową. Jeśli Emilka jest szczęśliwa, on, Nataniel, gotów był wybaczyć Iwonie wszystko. Nawet najgorszy ból.

– Jestem z ciebie dumna – szepnęła Magda, wracając z Natanielem pod rękę do samochodu. – Dałeś radę, kochany. – Cmoknęła go z wdzięcznością i niewysłowioną ulgą w zapadnięty policzek.

Nie odezwał się ani słowem. Prawdę mówiąc, nie miał sił. To, co przed chwilą przeżył, wciąż z niego spływało, powodując ucisk w gardle i drżenie rąk.

– Dokąd teraz? – zapytała, siadając za kierownicą. – Wykrzeszysz nieco sił na owe zakupy?

– Galeria Mokotów. Będą krótkie, ale chciałbym, żebyś mi doradziła.

– Nie ma sprawy! – zakrzyknęła, siląc się na wesołość, i przekręciła kluczyk.

Zrozumiała, co to za zakupy, gdy Nataniel pytał w informacji o sklep jubilerski. Oczy jej zogromniały. Rozbłysły niedowierzaniem i radością. A gdy zatrzymali się przed rozświetloną złotem gablotą i Nataniel zapytał: „Jak myślisz, który się jej spodoba?”, po prostu rozplakała się.

Tak samo rozplakała się Zosia, gdy Nataniel jeszcze tego samego wieczoru poprosił ją do ogrodu, i – trzymając w palcach prześliczny pierścionek ze złota i szmaragdów – ukląkł, po czym zaczął rwącym się ze wzruszenia

głosem:

– Kochana moja... – I umilkł. Tak dużo chciał jej powiedzieć... O dwóch połówkach dusz sobie przeznaczonych, które się wreszcie spotkały... O tym, jak jego serce przepęła miłość i wdzięczność do niej, Zosi Micińskiej... Jak boi się, żeby jej nie stracić... Jak pragnie, by dzieliła z nim życie zawsze i na zawsze... Ale głos nie chciał go słuchać. Za to w niebieskich oczach ukochanego mogła odnaleźć wszystkie te zaklęcia. Wreszcie zdołał wypowiedzieć najważniejsze słowa: – Zostaniesz moją żoną? Bardzo cię kocham...

Zosia pochyliła się i ucałowała go w usta, a potem wyszeptała:

– Tak, Natuś. Będę przeschczęśliwa... Jeśli tylko chcesz mnie taką...

Uciszył ją pocałunkiem. Z początku czułym i niewinnym, ale z każdym uderzeniem serca coraz bardziej namiętym i pełnym żaru. Całował ją dotąd, aż zaczęła mdleć w jego ramionach. Wtedy oderwał się od jej warg, wsunął na serdeczny palec dziewczyny złoty klejnocik i pociągnął ją za sobą w noc, do dworu. A tam do sypialni rozświetlonej dziesiątkami świec. Łóżko, zasłane świeżą, pachnącą pościelą, już czekało na dwoje kochanków.

Zosia zatrzymała się w progu, nagle onieśmielona. Posłała Natanielowi spłoszone spojrzenie.

– Nie bój się – wyszeptał – będę bardzo, bardzo delikatny.

Dotrzymał obietnicy.

Rozbierał ją, pieszcząc niespiesznie szczupłe, wrażliwe ciało dziewczyny. Reagowała na dotyk jego palców i warg cichymi jęknięciami. Złożył ją na łóżku i nie przestawał jej oswajać, powoli i łagodnie sprawiając, że dziewicza intymność wilgotniała. Ona przygarnęła go do siebie dłońmi, oddając pocałunki, próbując nieporadnie pieścić również jego, ale odsunął się, ukląkł między udami dziewczyny i zagłębił w jej wnętrzu ciepły, miękki język. Znieruchomiła, oszołomiona intensywnością doznań. Wygięła się w łuk, wychodząc im naprzeciw. Pieścił ją dotąd, aż była gotowa, aż zaczęła prosić,

domagać się!, by w nią wszedł, by mogła go poczuć tam, głęboko. Wiedział, że pierwszy raz będzie dla niej bolesny, więc zrobił to szybko – jednym silnym, głębokim pchnięciem. Stłumiła bolesny jęk. Znieruchomiła, czując przesywające ją ostrze, w oczach rozbłysły jej dwie łzy. Trwał w niej, czekając, aż pierwszy ból złagodnieje, i po chwili zaczął się poruszać, na początku delikatnie, by nie ranić napiętych tkanek jeszcze bardziej, ale z każdym ruchem ona rozluźniała się, podniecenie wracało, chęć na rozkosz rosła. Wreszcie połączyła się z ukochanym mężczyzną w jedną całość. Poruszali się razem niczym uderzająca o brzeg morska fala. Szeptał jej najpiękniejsze słowa miłości, ona szukała jego ust, prosząc i błagając o coś, co do tej pory było dla niej wielką niewiadomą. Tajemnicą. Przyspieszył, zaczął brać ją mocniej i głębiej. Błagania zmieniły się w jęki, gardłowe, przeciągłe, doprowadzające go do obłędu z pożądania. Wreszcie porwał ją ze sobą hen, aż do nieba, w jednym przeciągłym spazmie rozkoszy. Trwali zawieszeni pośród spadających gwiazd, żeby po kilku uderzeniach serca osunąć się w rozżarzone, pulsujące spełnienie.

– Kocham cię – wyszeptał i scałował łzy z kącików jej oczu.

– Kocham cię – odpowiedziała, dotykając jego policzka z nieskończoną czułością.

Nie potrzeba było więcej słów. Oboje wiedzieli, że było pięknie. I że zapamiętają ten wieczór na zawsze.

ROZDZIAŁ XXIV



Tak miało być każdego ranka: Zosię budził zapach kawy i świeżych bułeczek z powidłami albo Nataniela budził zapach czekolady na gorąco i drożdżowego ciasta z masłem, co uwielbiał. To z nich, które pierwsze ocknęło się po nocnych szaleństwach i namiętnościach, starało się wstać po cichu i przyrządzić dla obojga pyszną śniadaniową ucztę.

Potem rozstawali się na cały długi dzień, a przynajmniej próbowali się rozstać, bo Natanielowi ciągle nie dosyć było dziewczyny... Wystarczyło, że ujrzał skrawek nagiego uda ukazujący się pod ręcznikiem, gdy wychodziła po kąpieli z łazienki, i natychmiast głodne ręce mężczyzny wędrowały pod ten ręcznik, szukając wilgotnego, gorącego zakamarka... Zosia nie opierała się zbyt stanowczo i oboje znów lądowali w łóżku, by jeszcze przez parę kradzionych minut sycić się rozkoszą.

Czasem to nie on po nią sięgał, a odwrotnie, to dziewczyna, już gotowa do wyjścia, zawracała od progu, absolutnie nie mogąc się powstrzymać, zarzucała Natanielowi ręce na szyję, wpijała się ustami w usta ukochanego, a gdy zaczynał ją całować, wsuwała dłoń w jego spodnie i zaciskała palce na nabrzmiałej męskości. To wystarczyło. Nie tracił czasu na przenoszenie dziewczyny do łóżka i brał ją tam, w sieni. Opierał plecami o ścianę, ściągał niecierpliwie majteczki z jej zgrabnej pupy, rozpinał spodnie i cóż... doprowadzał oboje do krzyków, jęków i błagania o jeszcze.

Zosia okazała się uroczą kochanką. Na początku nieśmiała, wstydziła się mówić, co lubi, co się jej podoba, i prosić o więcej, z każdym jednak dniem – a raczej nocą – odrzucała wstyd razem z ciuszkami i zaczynała czerpać z seksu tak nieskrępowaną radość jak Nataniel.

Kochali się wszędzie i zawsze, gdy tylko nasza ich ochota – czyli wszędzie i zawsze – i nie było nikogo w pobliżu. Samochód? Proszę bardzo! Leśna polanka? Jak najbardziej! Ścieżka nad jeziorem? Oczywiście! Że o dworku czy domu Micińskich nie wspomnieć, bo to rozumiało...

Lecz piękniejsza od seksu była miłość, jaką tych dwoje się darzyło.

Przyszła cicho, mogła odejść, lecz została, zachwycona.

Ludzie z Sennej życzliwym okiem patrzyli na związek dwojga młodych. Dopytywali o datę ślubu, zapewniając, że przyjdą. Wszyscy.

Chatka nad jeziorem była na ukończeniu. Dobrzy sąsiedzi zakładali ostatnie instalacje. Nataniel kupił kafelki do łazienki i całe jej wyposażenie. Zamówił też ładne meble kuchenne. Pozostawało pytanie, gdzie z Zosią po ślubie zamieszka – ona miała przecież własny dom z lecznicą, Nataniel nadal wynajmował dwór i jakoś przykro było mu się z nim rozstawać. Bliższe jego sercu było stare domostwo, które pokochała Marta Kraszewska, niż nowa chata, niemająca tego czegoś... Duszy? Wspomnień zaklętych w ścianach? Miłości dawnych właścicieli wypełniającej przestrzeń? Cokolwiek to było, dało się wyczuć we dworze. Chata... była tylko chatą.

Gdy człowiekowi jest za dobrze i wydaje mu się, że ma za wiele, los rozwiązuje dylematy za niego. Nie zawsze tak, jak ów się tego spodziewa. Bogowie byli widać zazdrośni o ludzkie szczęście, a może jedynie o szczęście Nataniela, i nie mogli pozwolić, by cieszył się nim zbyt długo.

Cios spadł nagle. Ze strony tak niespodziewanej, że zaszokował nie tylko chłopaka...

Zosia pobiegła z samego rana do pracy, Nataniel siedział na ganku z laptopem na kolanach i kończył opowieść o zwierzakach poszukujących Dziecka. Nie miał dla kogo jej pisać – Emilka odeszła – ale wymyślanie dalszych przygód sprawiało mu taką radość, że nie chciał porzucać tej historii. Nadal nie wiedział, kim jest owo tajemnicze Dziecko i czy przyjaciele w końcu je odnajdą, czy też będą go szukać przez następny tom i kolejne, ale polubił ich radosne, rozdokazywane towarzystwo.

Zosia, której czytał przed snem – jak kiedyś Emilce – napisane w ciągu dnia fragmenty, zaśmiewała się w trakcie lektury, wzruszała czasem do łez, trzymała kciuki za kota-pirata i wiewiórkę-elegantkę, a gdy Nataniel zamykał laptop, mówiąc, że więcej nie ma, błagała, by pisał dalej. Powieść była cudna! Dziewczyna wierzyła całym sercem, że spodoba się dzieciom na całym świecie – czekał na nią przecież amerykański wydawca!

Nataniel więc, pewnego wrześnieowego ranka, stukał pracowicie w klawiaturę, gdy od strony drogi rozległ się wesoły klakson zapowiadający listonosza i oto pucołowaty Antoś Zima zajeżdżał pod dwór.

Zeskoczył ze skuterka tuż przed gankiem.

– Pozdrowienia, panie Domoradzki! – zakrzyknął, jakby ten znajdował się co najmniej po drugiej stronie jeziora, a nie tuż przed nim. Antoś był jednak przygłuchy i innych o głuchotę podejrzewał. – Liścik urzędowy do pana. Obawiam się, że nie miłosny! – Zaśmiał się tubalnie, podsuwając Natanielowi dokumenty do podpisu. – Gdzie narzeczona? Odpoczywa po nocce? – Puścił oczko i uśmiechnął się nieco lubieżnie.

– W pracy – odrzekł chłopak, pożegnał listonosza i wrócił na ganek, żeby w spokoju przejrzeć korespondencję.

List z sądu, bo taki adres był wpisany w miejscu nadawcy, zostawił na koniec. Urzędowe pisma najczęściej oznaczały kłopoty, znacznie rzadziej spadek po nieznanym, za to nieprzyzwoicie bogatym wujku. Ten list nie był wyjątkiem, ale powiedzieć, że oznaczał kłopoty, to nic nie powiedzieć.

Nataniel rozdarł kopertę, przeleciał pismo wzrokiem i... osłupiał.

Nie zrozumiał.

Przeczytał jeszcze raz i ręka z listem opadła mu bezwładnie.

– To niewiarygodne – wyszeptał, nie wierząc, po prostu nie wierząc... – To jakiś ponury żart!

Obejrzał kopertę, przyjrzał się pod światło pieczęciom. List był autentyczny. Ponury żart zmienił się w prawdę tak absurdalną, że chłopak

wybuchnął śmiechem. Nieco histerycznym, ale jednak śmiechem. Zerwał się na równe nogi, wskoczył do samochodu i ruszył, co chwila zerkając na leżący obok list i kręcąc głową.

Siergieja, z którym się zdążył przeprosić, zastał na łące za domem, gdzie ten wyznaczał miejsca pod przyszłą wakacyjną wioskę.

– Cześć, zakochany! – przywitał Nataniela mężczyzna, ocierając przedramieniem pot z czoła. – Przyszedłeś pomóc?

– Może później. Czytaj. – Chłopak podał mu pismo.

Było krótkie, acz treściwe. Sodarow zaczął się śmiać.

– Jajcarz z ciebie, Natanielu drogi – rzekł, ale ten patrzył nań ze śmiertelną powagą. – Powiedz, że to spóźniony Prima Aprilis. Stary cap nie mógł tego zrobić.

Nataniel milczał, ale to milczenie było wymowniejsze od słów. Sodarow spoważniał więc również. Przeczytał pismo po raz kolejny i uniósł na chłopaka osłupiałe spojrzenie:

– To kuriozalne! Jarząbek nie mógł ci tego zrobić! Domaga się, bydlak, odszkodowania?! Pół miliona złotych?! Po tym, jak jego córka spaliła ci dom z całym majątkiem, jak zabiła moją Martę, jak błagał cię o wybaczenie za każdym razem, gdy odwiedzałeś go w szpitalu... Po tym wszystkim ta menda cię pozywa?!

– Na to wygląda – odparł Nataniel beznamiętnym tonem. Nie dlatego, że pismo procesowe z sądu go nie poruszyło, przeciwnie: nadal był w szoku.

– Ukatrupię swołocz! – Sodarow naprawdę się wkurzył. – Pójdę do skurwiela i ryj mu skuję. – Ruszył w kierunku domu, podwijając rękawy, ale Nataniel chwycił go za ramię i odwrócił szarpnięciem do siebie. – Tkniesz go palcem, a pozwie i ciebie, wredny typ. Poradź mi lepiej, jak rozwiązać ten problem bezkrwawo. Nie mam pół miliona i jeszcze za dziesięć lat nie będę miał. Pomóż mi, Siergiej.

Mężczyzna, jeszcze błądy z wściekłości, musiał przyznać mu rację. Tu

przemoc nie pomoże, tylko apetyt tamtego wzrośnie. Potrzebny był dobry prawnik.

– Pojedziemy do Warszawy – odezwał się na głos. – Papuga, który zajmował się sprawą Iwony... Sorry, Nat, wiem, że jej imię działa na ciebie jak płachta na byka, ale prawnik jest świetny. Przyjrzy się temu pozwowi, oceni twoje szanse. Jeśli uzna, że masz więcej niż pięćdziesiąt procent na wygraną, wchodzimy w to, jeśli zaś nie... Cóż, wystaw dziewictwo Zosi na aukcję, bo przyda się każda złotówka. – Widząc oburzoną i zmieszaną minę chłopaka, parsknął złośliwym śmiechem, jak to on. – Coś mi się wydaje, że na tym nie zarobisz. Daj mi chwilę. Przebiorę się i możemy jechać.

Werdykt prawnika był druzgocący: Nataniel przegra tę sprawę. Był inwestorem – „ale nie zainwestowałem w ten dom ani złotówki!, jest dziełem wolontariuszy!” – który nie zabezpieczył odpowiednio placu budowy, wznosił dom bez pozwoleń, bez szkolenia BHP, bez nadzoru inspektora budowlanego i tak dalej, i tak dalej. Całe szczęście, że Jarząbek przeżył, bo dziś Nataniel miałby na karku nie pozew o odszkodowanie, a sprawę prokuratorską...

– Jedyne, co mogę zaproponować, to ugodę – rzekł na koniec przydługiej tyrady mecenas Kopec. – Wnioskując z tego, co panowie mówicie, powód dołączył do ekipy bez wyraźnego zezwolenia pana Domoradzkiego, oczywiście otrzymał zgodę domniemaną, ale nie formalną. Tu może być punkt zaczepienia dla pozwanego, jednakże...

...jednakże prawnik Jarząbka – skąd starego łachudrę stać było na opłacenie prawnika?!, zastanawiał się Sodarow, domyślając się, że to jeden przyszpitalnych sępów, które tylko czekają na podobne okazje – postawił sprawę jasno: ugoda jest możliwa pod warunkiem godziwego odszkodowania. Pół miliona wydaje się kwotą wygórowaną, „choć uszczerbek na zdrowiu mojego klienta, wstrząs psychiczny, który przeżył w związku z wypadkiem i pobytem w szpitalu, a także straty finansowe, których doznał, nie pracując przez cały okres absencji...”. I tak przez dobre pół godziny.

Sodarow nie mógł słuchać prawniczego pieprzenia i po pięciu minutach urwał się na papierosa. Po dziesięciu dołączył doń Nataniel. Wyciągnął do tamtego dłoń nakazującym gestem, a gdy Siergiej, zaskoczony nieco, podał mu paczkę, chłopak poczęstował się jednym papierosem i...

– Przecież nie palisz – zauważył łagodnie Sodarow.

– Ale potrzymać mogę. Chociaż dywan uświnię tytoniem w tej wymuskanej kancelarii – odparł ponuro Nataniel. – Negocjują kwotę odszkodowania. Papuga z sępem. Dobrane towarzyszo.

– Trzymajmy więc kciuki za papugę. Jest dobry, wierz mi, ale pewnych spraw nawet on nie przeskoczy. Szkoda, że nie można ich rozwiązywać jak kiedyś na Dzikim Zachodzie. Z przyjemnością wpakowałbym Jarząbkowi kulę między oczy. Ludzie ze wsi go zlinczują, gdy się dowiedzą, jaki numer ci wykręcił.

I tu się mylił.

Senna podzieliła się na dwa stronnictwa. Jedno brało stronę Jarząbka, chwalać go za spryt i przedsiębiorczość, a poza tym „na biednego nie trafiło” – to było o Natanielu, drugie oburzało się święcie, że jak to tak?! Stary Kaźmirz spalił chłopakowi chałupę, a teraz dochodzi odszkodowań?! Wszyscy zaś w głębi duszy zazdrościli Jarząbkowi.

Po długich negocjacjach stanęło na dwustu tysiącach.

Nataniel, gdy usłyszał tę radosną nowinę, załamał się.

– Nie mam na czynsz – krzyczał do Sodarowa, bo to on był posłańcem złych wieści – a każesz mi wyczarować dwie stówy?! Skąd ja ci wezmę takie pieniądze, człowieku?! Nie mam nic! Nic, co można byłoby...

– I tu się mylisz, Nat – przerwał mu spokojnie mężczyzna. – Masz dom, piękny, nowy dom w świetnym miejscu, wymarzone na letnisko, nad jeziorem, z pomostem, urządzone. Weź kredyt pod jego zastaw albo sprzedaj tę chałupę, a przynajmniej ten problem będziesz miał z głowy. I tak nigdy nie darzyłeś jej sentymentem i już nie obdarzysz.

Kupiec pojawił się jak na zawołanie i Nataniel zaczął podejrzewać, że cała ta sprawa to ukartowany spisek. Dom poszedł w dobre ręce prawnika z Warszawy, tak, tak, zupełnie przypadkiem dobrego znajomego sępa, a Jarząbek wzbogacił się, po odjęciu kosztów wpisu sądowego i działki dla prawnika, o okrągłe sto tysięcy.

Pierwszej nocy, gdy padł nieprzytomny od nadmiaru szampana, włamano mu się do domu i wyniesiono dosłownie wszystko, łącznie z wersalką, która by się ostała, gdyby Kaźmirz padł na nią. Oczywiście złodzieje nie liczyli, że trafi im się owo magiczne sto ptyków, ale uznali, że Jarząbka stać na nowe meble.

Cieszył się nimi niecały tydzień. Fachowcy z firmy zajmującej się ochroną mienia nie zdążyli założyć alarmu i kamer, gdy podobnie jak poprzednio włamywacze weszli w nocy, tym razem ogłuszyli Jarząbka, zanim zdążył podnieść larum, i wyczyścili mu chałupę do gołych murów.

Wyłudzone pieniądze, pieniądze z krzywdy ludzkiej, szczęścia nie dadzą.

Kaźmirz wyprowadził się na drugi kraniec Polski...

Gdy jakiś czas później zawitał do Sennej z powrotem, miał zaawansowaną marskość wątroby i był bez grosza. Przepił wszystko. Nikt go nie żałował.

Tymczasem Nataniel, za którego problem ze zbyt wieloma domami do wyboru został rozwiązany, zajął się tym, co zależało tylko od niego: pracą. Ciężką pracą. Za dnia pomagał Siergiejowi stawiać pierwsze domki wakacyjne. Wieczorami ślęczał nad zleceniami. Noce były dla Zosi i tylko dla niej. Każdego ranka odprowadzał ukochaną kobietę do lecznicy – pielęgowali rytuał codziennych spacerów brzegiem jeziora – potem wracał do domu i dwie godziny poświęcał na pisanie opowieści o Dziecku. Już wiedział, kim ono jest i gdzie się podziało: porwała je zła czarownica i wywiozła daleko, do pewnego miasteczka, gdzie wypuszczała Dziecko jedynie na krótką chwilę, by mogło pobawić się na placyku zabaw z innymi dziećmi...

Emilkę, bo o niej i dla niej spisywał tę historię, widywał co tydzień. Iwona dotrzymywała słowa i w każdą niedzielę, czy słońce, czy deszcz, pojawiała się z dziewczynką w parku Ujazdowskim.

Przychodzili we troje: Nataniel, Zosia i Magda. Siadali z dala – taka była umowa – i wodzili wzrokiem za drobną figurką w kolorowej kurteczce. Natanielowi to nie wystarczało.

Tak strasznie tęsknił za uściskiem małych dziecięcych łapek, za szczebiotem Emilki, za jej niekończącymi się pytaniami o sens wszechświata i rozbrajającymi komentarzami, z których nieraz śmiał się do łez. Tak bardzo chciał usłyszeć: „Natusiuuu”, wypowiedziane jej cienkim, słodkim głosem.

Ale musiało wystarczyć. Na cały długi tydzień, kiedy znów wsiądzie do samochodu z Zosią przy boku, wstąpią po Magdę i, jak co tydzień, pojedą w Aleje Ujazdowskie... Będą siedzieć i milczeć, patrząc na małą dziewczynkę. Smutek Nataniela udzielił się dwóm kobietom, które kochał i które kochały jego, lecz na ten smutek pomóc nie mogły.

Jedna jedyna, która trzymała do niego smycz – owszem.

I właśnie ona któregoś dnia... był to październik... wstała nagle z ławki i ruszyła ku nim szybkim, zdecydowanym krokiem.

Stała przed Natanielem, który podniósł się powoli, bez uśmiechu, gotowy na okrutne słowa, że to ostatnia wizyta Iwony z Emilką na placu zabaw, że więcej on, Nataniel, dziecka nie zobaczy, bo wyjeżdżają... daleko... na zawsze. Pociemniał na twarzy. W oczach błysnęły dwie łzy.

– Możesz się z nią spotkać – padło nagle.

Zamrugął. Spojrzał na Iwonę z niedowierzaniem.

– Mała tęskni za tobą. Bardzo. Zrobiła w szkole kukielkę, nazwała ją twoim imieniem i rozmawia z nią. To znaczy z tobą. Nie chce zabierać jej do domu. Zostawia ją, to znaczy ciebie, w szkole, bo się boi, żeby jej nie zniszczyła. To znaczy ciebie. Nie, kukielki! – Machnęła ręką, rozzłoszczona i zmieszana. – Nauczycielka zaniepokoiła się tym nieco i zasugerowała...

Możesz się z Emilką widywać. Tutaj. W każdą niedzielę. Na początek z godzinkę. Ja wyskoczę do jakiejś kawiarni, przynajmniej odetchnę od dziecka.

Nataniel w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Bał się, że on pobiegnie do dziecka, chwyci je w ramiona i w tym momencie rozlegną się krzyki, Iwona wezwie ochronę parku, czy wręcz policję, oskarży go o złamanie umowy i Nataniel już nigdy nie zobaczy Emilki. Zosia musiała obawiać się tego samego, bo przytrzymała go kurczowo za rękę.

Ale Iwona odezwała się zniecierpliwionym tonem:

– To nie jest żaden podstęp. Możesz zobaczyć się z dzieckiem. Kurator... on też jest tego zdania. Prawdę mówiąc, wymógł na mnie zgodę. Dla dobra dziecka.

– Dziękuję... bardzo ci dziękuję, Iwonko – wydusił Nataniel, jeszcze nie wierząc w swoje szczęście.

Ona patrzyła nań z mieszaniną triumfu i pogardy, gdy nagle napotkała spojrzenie Zosi Micińskiej. I ono starło z twarzy kobiety wszelkie pogardliwe uśmieški.

„Jesteś złym, zepsutym do szpiku kości, podłym człowiekiem” – mówiła Zosia bez słów. „Znęcasz się nad kimś, kto kiedyś cię kochał, a potem, mimo że go zdradziłaś, zaopiekował się twoim dzieckiem. Zamiast być mu wdzięczna i go uszanować, gardzisz nim, dla chorej satysfakcji zadajesz mu wciąż nowe cierpienie. Śmieję się, śmieję, dopóki możesz. Ktoś kiedyś wyrówna rachunki. Nie będzie to Nataniel, jest zbyt dobrym człowiekiem, żeby się mścić, ale sprawiedliwość cię dopadnie”.

Zosia odwróciła wzrok.

Iwona próbowała przybrać poprzedni wyraz twarzy, ale w końcu rzuciła do wpatrującego się w nią chłopaka:

– No już, idź do niej.

Nataniel pobiegł. Bojąc się, że Iwona zmieni zdanie, rzucił się biegiem

w kierunku drobnej dziewczynki w kolorowej kurteczce. Ona odwróciła się nagle w jego stronę i z takim samym skowytym jak kilka miesięcy temu na widok matki ruszyła biegiem ku Natanielowi. Wpadła w jego rozpostarte ramiona. Objęła go za szyję i schowała buzię, nadal rozchyloną do krzyku, na jego piersi. Trwali tak, wtuleni jedno w drugie, długo. Bardzo długo.

Wreszcie Nataniel uniósł załzawione oczy. Ucałował skroń małej, jak marzył przez te wszystkie niezdolnie samotne dni.

– Jesteś, Miluszek – wyszeptał. – Znów jesteś. I będziesz.

Dziewczynka uniosła nań czarne źrenice, błyszczące od łez.

– Dlaczego mnie oddałeś, Natuuuś? No dlaczego?

– Nigdy cię nie oddałem! – wykrzyknął zaskoczony. – Twoja mama...

– Mamusia powiedziała, że już mnie nie chciałeś. Oddałeś mnie mamusi i nie chcesz nawet do mnie przyjechać.

„Iwona, niech cię szlag!”, krzyknął w duchu, lecz było w tym więcej gorzkości niż złości. Liczyło się to i tylko to, że od dziś będzie mógł dziewczynkę widywać co tydzień. Może przyjdzie taki dzień, że Iwona pozwoli mu zabrać dziecko na weekend? Albo ferie? Mógł ją jedynie o to prosić. Nie miał do Emilki żadnych praw. Tylko miłość.

I tak się stało.

Iwona nie była z tych czułych, oddanych matek, które z radością zajmują się swymi pociechami przez cały boży dzień. Szybko spodobały się jej weekendy wolne od opieki nad dzieckiem. Nataniel zaczął odbierać Emilkę w piątek po szkole i odprowadzać ją wprost do klasy w poniedziałek rano.

Znów czuł się szczęśliwy. Emilka zaś nie musiała już rozmawiać z kukielką. Iwona miała weekendy całe dla siebie, a już przebąkiwała, że wyrwałaby się na narty w najbliższe święta. Być może wolność spodoba się jej tak bardzo, albo przeciwnie – znów popadnie w konflikt z prawem i pójdzie siedzieć – że Emilka wróci do Nataniela już na zawsze...

To jednak nie był koniec niespodzianek.

Jedna z nich przyjechała późnym listopadowym rankiem. Na skuterze Zenka-listonosza. W jego przepastnej torbie. Była niewielka. Miała piękne, grube, błyszczące okładki i kartki zadrukowane pewną opowieścią. Pełno było w niej też zachwycających rysunków. Oto ze Stanów wydawca przysłał Natanielowi pierwszy egzemplarz jego książki, zatytułowanej: „Gdzie jest Dziecko?!”.

ROZDZIAŁ XXV



Świat, dotychczas w miarę stabilny, nagle stanął na głowie. Nataniel z nikomu nieznanego, skromnego grafika stał się nagle pisarzem, a książkę jego autorstwa zaczęły kupować dzieci na całym świecie! Pokochały bohaterów, pokochały ilustracje. Do starego dworu na Mazurach zaczęły przychodzić tony listów od małych czytelników i ich rodziców. Zenek przesiadł się do seicento, bo na skuterku już nie dawał rady... Nataniel stał się znany na całym świecie. Tylko nie w Polsce. Żaden z polskich wydawców nie zakupił praw do książki i polskie dzieci nie poznały tej historii.

Miało to oczywiście dobre strony: w tutejszym, sennym życiu Nataniela nic się nie zmieniło. No, oprócz tego, że Nataniel mógł – na razie bardzo ostrożnie, bo wiadomo, los jest kapryśny i znów jakiegoś Kaźmirza Jarząbka naśle – myśleć o odkupieniu dworu od Oliwii Kraszewskiej. A skoro myślał o domu, nadszedł czas, by pomyśleć i o rodzinie.

– Zamieszkałabyś ze mną? – zapytał Zosię, gdy w pewien piątkowy leniwy ranek, poprzedzony szaloną, pełną namiętności nocą, otworzyła oczy i patrzyła z bezgraniczną miłością na ukochanego mężczyznę.

On postawił na szafce przy łóżku tacę ze smakołykami, wrócił do łóżka, objął dziewczynę i powtórzył pytanie.

– Właściwie mieszkam z tobą – odparła, sięgając po rogalika z różanym nadzieniem. Jej mama wczoraj napiekła ich mnóstwo dla Mateusza, Siergieja, Nataniela i Zosi. – Mój dom stoi pusty. Bywam tylko w lecznicy.

– Wieeem, ale to nie to samo. Chciałbym wiedzieć, że jesteśmy razem.

– Jesteśmy razem! – krzyknęła i zanurkowała pod kołdrę, chcąc

udowodnić mu ustami, jak bardzo jest mu oddana.

Przez kolejnych kilka minut Nataniel nie mógł myśleć o niczym innym niż o gorących wargach dziewczyny pieszczących jego męskość. Później zapomniał o całym świecie, rewanzując się Zosi tak, jak potrafił najlepiej...

Gdy dziewczyna doszła do siebie po wszechogarniającej rozkoszy, zjadła w biegu śniadanie i pognąła do lecznicy, gdzie już czekał na nią pierwszy pacjent.

Nataniel został sam i mógł zająć się zleceniami, ale nie pracował zbyt długo. Klakson, który rozległ się pod domem, oznajmił, że przyjechał jak zawsze serdecznie oczekiwany gość.

– Madzia! – wykrzyknął chłopak, wybiegając siostrze naprzeciw. – Myślałem, że spotkamy się jutro, jak zwykle, w Ujazdowskich!

– Mam tydzień wolnego, więc natychmiast się urwałam – odparła, rozradowana. Uwielbiała dwór nad jeziorem, Senną i jej mieszkańców. Szczególnie jednego. Oprócz brata, rzecz jasna.

Nataniel przechylił głowę, próbując się domyślić, na co dziś jest wystylizowana. Miała na sobie niesamowity śnieżnobiały płaszcz, długi do kostek, lamowany srebrzystym haftem i ozdobiony milionem skrzących się w słońcu kryształków.

– Bałwan? – strzelił.

– Sam jesteś bałwan! – zachnęła się. – Zaproponuj coś innego! Albo nie, pojedę do Siergieja, on zgadnie na pewno.

– Och, nie musisz szukać wymówki. Od dawna wiem, że przyjeżdżasz do niego, a nie do mnie. – Nataniel uśmiechnął się złośliwie, wiedząc, jaka będzie jej reakcja.

Nie znosiła podejrzeń, że podkochuje się w Sodarowie, co z kolei dla nikogo nie było tajemnicą. Może tylko dla Siergieja, który uważał, że są li tylko dobrymi przyjaciółmi.

– Nie potrzebuję żadnych wymówek. Wystarczyłoby mi to, co mam w aktówce – odparła wyniośle. – Biznesplan, jakbyś chciał wiedzieć. Odprowadzisz mnie do niego? – Uśmiechnęła się ślicznie, żeby przebłagać brata: ledwo przyjechała, a już go porzuca dla innego!

Jednak Nataniel – i reszta świata, oprócz Siergieja, rzecz jasna – miał rację: Magda już dawno uświadomiła sobie, że jest zakochana w tym zimnym, nieprzystępnym mężczyźnie, który – była o tym przekonana – potrafił być jak najbardziej gorący, ale nie dla Magdy. Dla niej miał tylko przyjaźń, nic więcej.

Nataniel narzucił na grzbiet ciepłą kurtkę i ruszyli, ciesząc się słonecznym, choć mroźnym dniem i swoim towarzystwem.

– Kochasz go? – Chłopak raczej stwierdził fakt, niż zadał pytanie.

Ona wzruszyła ramionami.

– Jakie ma znaczenie, co ja do niego czuję, skoro on uważa mnie za kumpla. Nawet nie za kumpelkę...

– Tu bym polemizował – odparł Nataniel w zamyśleniu. – Siergiej doskonale zdaje sobie sprawę z twojej kobiecości. Doprawdy nietrudno ją przeoczyć. – Magda musiała parsknąć śmiechem, ale smutny był to śmiech.

– On nadal kocha swoją Martę. – Spojrzała na brata z żalem w oczach.

– I będzie kochał jeszcze długo, może do końca życia, ale wiesz... my, mężczyźni, mamy pojemne serca. Znajdujemy w nich miejsce dla wszystkich, których kochamy. Może... spróbowałybyś... no nie wiem... pouwodzić go trochę?

– A myślisz, że co robię od dnia, w którym ujrzałam Siergieja po raz pierwszy? – odparła Magda, posyłając bratu szelmowski uśmiech. – Powiedz mi lepiej, co z tobą i Zosią...

– A co ma być? Jest dobrze, a nawet więcej. Jest świetnie, wspaniale i cudownie.

– To twoje zdanie czy jej również?

Nataniel spojrział na siostrę zaskoczony. O co jej chodzi? Czyżby Zosia zwierzyła się Magdzie, że nie jest szczęśliwa?! Może dlatego siostra przyjechała do Sennej, a nie odwrotnie? Chciały namówić się z Zosią za jego plecami?

– Mówiła coś? – rzucił od niechcienia, w duszy jednak mocno zaniepokojony. – Nie dawniej niż godzinę temu zapytałem Zosię, czy chce ze mną zamieszkać. Zdziwiła się i odparła, że przecież mieszkamy razem...

– Nat! – Magda stanęła tak nagle, że obejrzał się zaskoczony. – Pytasz narzeczoną, która marzy o ślubie, czy chce z tobą zamieszkać?! Z choinki się urwałeś, człowieku?! Na co ty czekasz? Aż Zosia porośnie mchem?!

– D-dlaczego miałyby porosnąć...? O czym ty mówisz?

– Pytam, kiedy się z nią ożenisz!

– Ale... przecież się jej oświadczyłem. Nosi mój pierścionek. Oficjalnie jesteśmy narzeczeństwem. Po co od razu ślub?

Magda westchnęła ciężko. I gadaj tu z facetami...

– Człowieku... – zaczęła powoli, ważąc słowa. – Dziewczynie po takich przejściach, jakie ma za sobą Zosia Micińska, tak... okaleczonej, z tak poważną „usterką”, jaką jest niepłodność, nie wystarcza „mieszkanie razem”. Ona nadal czuje się niepewna twojej miłości i jej niewarta.

– Co ty pieprzysz?! Zosia niewarta mojej miłości?! To najlepsza, najcudowniejsza...

– Jej to powiedz, nie mnie. Najlepiej wtedy, gdy będziesz ustalał z proboszczem datę ślubu – ucięła Magda. – Zosia boi się, że pewnego dnia, gdy na horyzoncie pojawi się Iwona-bis, pełna ognia, seksapilu i zdolności rozrodczych, jej, Zosi, wskażesz drzwi. I „zamieszkasz” z pełnowartościową kobietą.

– Chyba sobie kpisz. – Nataniel aż się wstrząsnął na wspomnienie Iwony.

– Bardzo bym chciała, ale jestem akurat zupełnie poważna. Nam pomieszkiwanie z ukochanym facetem nie wystarcza. Co cię właściwie powstrzymuje przed wzięciem z Zosią ślubu?

– Nic! – wykrzyknął Nataniel, zdziwiony, że ona o to pyta. – Mogę żenić się z nią choćby jutro! Po prostu myślałem... że pomieszkam razem z rok, dotrzemy się, zyskamy pewność, że ja jestem jej przeznaczeniem, a ona moim...

– A jeśli nie, to „rozejdziemy się, pozostając przyjaciółmi”? – dokończyła Magda. – Jeśli nie jesteś pewien, czy ją kochasz, przestań zawracać jej i sobie głowę. Szukaj następnej laski, co otumani cię, owinie wokół palca, po czym porzuci i podeśle, gdy będzie w potrzebie, swoje dziecko na wychowanie. Zosia nigdy by cię tak nie potraktowała, nigdy! A ty, idioto, tego nie doceniasz. I ranisz ją bez sensu. Naprawdę nie czujesz, że jest tą jedyną? – Magda odwróciła brata ku sobie i zajrzała mu prosto w oczy.

Wytrzymał jej wzrok i odparł:

– Nie jestem pewien.

– A kiedy będziesz?

– Nie wiem, Magda. Jest nam świetnie w łóżku, po prostu genialnie. Uwielbiam Zosię. Ale seks to nie wszystko.

– Nadal nie możesz się pogodzić z tym, że nie będziesz miał własnych dzieci – szepnęła ze smutkiem.

Nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył. Po prostu patrzył jej w oczy i milczał.

– Wybacz, bracie. – Uścisnęła mu dłoń, a on odetchnął z ulgą.

Inna by go zrugowała, że przejmuje się taką błahostką, Magda jednak doceniła bezwzględną szczerść chłopaka. Mógł przecież zasypać ją – i Zosię – słodkimi kłamstwami. Nataniel był jednak uczciwy i w stosunku do siebie, i do tych, których kochał.

– Myślałeś o in vitro?

– Tak. Przeczytałem wszystko, co było w internecie, na temat tej metody. Jeśli u Zosi ocalała choć jedna żywa komórka jajowa, jest promil szansy. I ogromne ryzyko, że komórka jest żywa, owszem, ale DNA uszkodzone promieniowaniem. Nie zaryzykuję... – Nie musiał kończyć, czym nie chce ryzykować. Pragnienie posiadania dziecka było u Nataniela przemożne, ale... zdrowego dziecka.

– Rozumiem – odparła Magda cicho i ze smutkiem. – Ta komórka nie musi pochodzić od Zosi.

– Powiedz to jej, Magda – odparł z nagłym gniewem. – Powiedz to wpatrzanej w ciebie jak święty obraz dziewczynie, że hajtniesz się z nią, ale dziecko będziesz miał z inną.

– Zosia mogłaby je urodzić!

Zmilczał. Byli narzeczeństwem od dwóch miesięcy. Czy Magda nie zdaje sobie sprawy, że nieco za wcześnie jest podejmować tak bolesne dla Zosi tematy?!

– Nat... – Kobieta ujęła delikatnie jego dłoń i uścisnęła, by wiedział, że w tej chwili jest całym sercem z nim. I z Zosią. – Ona jest na to gotowa.

Spojrzał na nią, nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Zosia boi się śmiertelnie, że ją porzucisz. Po prostu odchodzi od zmysłów, że mogłaby cię utracić. Zrobi wszystko, byś był szczęśliwy. Nawet jeśli miałyby urodzić dziecko twoje i innej kobiety. Nie wiem, czy istnieje większy dowód miłości – dokończyła stłumionym przez wzruszenie głosem. – Tylko błagam, nie wykorzystaj tego przeciwko niej. – Uścisnęła jego dłoń raz jeszcze.

Nataniel milczał długie chwile. Słowa siostry wstrząsnęły nim do głębi. Sam uważał, że tak jak jest, jest dobrze. Oboje z Zosią są szczęśliwi. Uprawiają wspaniały seks, budzą się razem i razem zasypiają. Jednak była to ułuda szczęścia, bo pod skorupką radosnej, spełnionej dziewczyny kryło się

strwożone serce...

– Boże Narodzenie – odezwał się nagle.

Magda spojrzała nań zdumiona. On westchnął ciężko i dodał:

– To będzie dobra data ślubu?

– Mnie pytasz?! – wykrzyknęła tak szczęśliwa, aż zadławiło ją w gardle. – Biegnij do Zosi i pytaj ją!

Tak zrobił. Wypuścił Magdę z rąk i zawrócił biegiem do Sennej, drogą nad jeziorem, aż wpadł do gabinetu, gdzie doktor Micińska właśnie badała pokaszującego szczeniaka. Przeprosił właściciela stworzenia, wyciągnął dziewczynę na korytarz, ujął jej twarz w dłonie i zapytał, z trudem łapiąc oddech:

– Weźmiemy ślub za sześć tygodni? W Boże Narodzenie?

Oczy dziewczyny zognomniały. Patrzył, jak pojawia się w nich zdumienie, potem niedowierzenie, na koniec bezgraniczne szczęście. Nagle przygasły.

– Magda jednak powiedziała ci o tym? – zapytała cicho. – Prosiłam... nie chciałam wywierać na tobie nacisku...

– Zosiu – przerwał jej groźnie. – Nie ma znaczenia, dzięki komu zrozumiałem to, czego powinienem sam się domyślić. I nie pytam, czy chcesz wziąć ze mną ślub, tylko kiedy. Za sześć tygodni. W Boże Narodzenie... Nie, na miłość boską! Właściwie nawet cię o to nie pytam, tylko się tego domagam!!! Powiedz tak albo...

– Albo? – szepnęła, oglądając się na drzwi, za którymi czekał, podsłuchując, właściciel psiaka.

Nataniel wsunął rękę pod jej fartuch, między uda dziewczyny, i wyszeptał:

– Albo zdejmę ci dzinsy, wejdę w ciebie i będę cię brał tutaj, na korytarzu, przy ludziach, dotąd, aż powiesz „tak”.

– Radzę się zgodzić, pani doktor! – dobiegło z gabinetu.

Zosia obejrzała się, przerażona, na przymknięte drzwi, po czym... parsknęła zduszonym śmiechem. Nataniel nadal trzymał dłoń między jej udami i... naciskał.

– Tak! – szepnęła, czując obezwładniającą radość. I narastające pożądanie.

– No – skwitował jej „tak” Nataniel. – Pójdę do domu poczytać gazetę. Wrócę za maleńki kwadrans i dokończymy, bo... ciasno mi. – Cmoknął ją w czubek nosa i wyszedł. Zosia przytknęła obie dłonie do rozpalonych policzków, co niewiele dało, po czym zarumieniona i szczęśliwa wróciła do pacjenta.

– Czuję się zaproszony – rzekł właściciel psiaka.

Przytaknęła pospiesznie i pochyliła się nad zwierzęciem.

Tymczasem sprawczyni wszystkiego mogła sobie jedynie pomarzyć, by mężczyzna, w którym ona się skrycie kochała, poprosił ją o to samo, co Nataniel Zosię.

Zastała Siergieja w stajni, gdy – jak zwykle w czarnych dżinsach i czarnej koszuli – szczotkował jednego z pięciu koni, które mu zostały. Początkowo zamierzał się pozbyć wszystkich trzynastu oprócz Belli, lecz stanęło na tym, że pięć, wcale nie najpiękniejszych i nie najcenniejszych, sobie zostawił. Każde z tych zwierząt zostało wyrwane z transportu śmierci, każde przeżyło cudem i kosztowało Siergieja ranę postrzałową albo dźgnięcie nożem. Ryzykował własnym życiem, by je ocalić.

Kiedyś w prostych, niemal surowych słowach opowiedział o tym Magdzie Śniegockiej. Nie robił z siebie bohatera, nie kreował się na dobrego samarytanina. Mówił jej też o tym, że był przemytnikiem, czy raczej przewodnikiem, tych, co trudnili się przemytem. Łamał prawo na równi z nimi. Konie ratował, bo mało kto się przejmował głupimi chabetami. Co dzień ubijane były miliony zwierząt, dlaczego więc litować się akurat nad

tymi?

– Bo, widzisz, nawet zwierzę ma prawo do bezbolesnej, szybkiej śmierci i z tym nie walczę, jednak konie przeznaczone na ubój we Włoszech są transportowane tysiące kilometrów w warunkach urągających humanitaryzmowi. To, że my, ludzie, gotujemy zwierzętom przed śmiercią taką katorgę, jest dla mnie nie do zniesienia. Nie mogę patrzeć na transporty spływające krwią ronionych źrebiąt, łamanych nóg, wywlekanych wnętrzności. Inni niech się martwią o ginące z głodu dzieci gdzieś w Afryce, ja postawiłem sobie za punkt honoru walkę z transportami śmierci. O, tutaj, mam ostrzeżenie, żeby tego nie robić... – pokazał jej okrągłą bliznę po kuli – ...co oczywiście mnie nie powstrzymało.

Urósł w jej oczach tamtego dnia.

Kiedy się w nim zakochała? Nie potrafiła powiedzieć.

Po krótkim i bardzo bolesnym małżeńskim epizodzie – Siergiej zdziwił się, że Magda jest rozwódką, sprawiała bowiem wrażenie zatwardziałej singielki, co to „faceci owszem, ale na jedną noc, nie dłużej” – trzymała serce pod kluczem. W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że zakocha się w mężczyźnie trzynaście lat od niej starszym, który na dodatek oddał serce nieżyjącej Marcie Kraszewskiej. Z nią Magda nie mogła – i nie chciała – konkurować.

A jednak...

Ona żyła. Miała Siergieja na wyciągnięcie ręki.

I tak odległego, jakby mieszkał na obcej planecie.

– Mam biznesplan! – zawołała, stając pod boksem Belli, którą akurat szczotkował.

Przeniósł wzrok na kobietę i uśmiechnął się ciepło. Serdecznie polubił tego rajskiego ptaka, który dla niepoznaki nazywał się niewinnie Magda Śniegocka.

– Witam Królową Śniegu – rzucił.

Ona uniosła kciuk do góry.

– Co obstawiał twój brat? – chciał wiedzieć Siergiej.

– Bałwana! Imaginuj sobie, bałwana!

Zaśmiał się krótko swoim niskim, seksownym śmiechem, nie zdając sobie sprawy – a może przeciwnie, któż go tam wie – jak działa on na kobiety. Na Magdę zaś szczególnie.

– Mogę pomóc? – zapytała, wskazując na stojącą bez ruchu, uśpioną hipnotyzującymi pociągnięciami zgrzebła klacz.

– Ty, księżniczko? W tej śnieżnobiałej szacie? W końskim boksie? Serca bym nie miał...

– Przebiorę się! – Gotowa była nałożyć wór pokutny, by ujrzeć w jego spojrzeniu cień uznania.

Komplementował jej stylizacje, owszem. Za każdym razem miał dla niej dobre słowo. Podziwiał jej sukienki, powłóczyste płaszcze, kapelusiki i biżuterię. Tak samo podziwiałby strojne w kolorowe piórka papugi w zoo... Tacy mężczyźni jak Siergiej Sodarow otaczali się pięknymi kobietami, ale kochali silne, niezależne i mające ich głęboko gdzieś, jak Marta Kraszewska. Magda była tego boleśnie świadoma. Niestety, od samego początku należała do tych pierwszych. Co mogła uczynić, żeby Siergiej ujrział to, co kryła w sercu?

Pobiegła do domu, do jego sypialni. Bywała w niej nie raz, przerzucając się z Siergiejem dwuznacznymi komentarzami, a to on wskazywał zapraszającym gestem łóżko, a to ona odpowiadała, że woli sadzić z nim lawendę... Teraz wyciągnęła z szafy jedną z jego nieśmiertelnych czarnych koszul, zrzuciła wspaniałą płaszcz Królowej Śniegu i po chwili była gotowa do fizycznej pracy. Część uwodzenia zwaną „olśnić, oczarować” na dziś zaliczyła. Bez powodzenia.

Po drodze wstąpiła do siodlarni, niegdyś pełnej końskiego ekwipunku, dziś niemal pustej, i już wracała do stajni, uzbrojona w szczotkę i zgrzebło.

– Robiłaś to kiedyś, sikorko? – odezwał się Siergiej z powątpiewaniem.

– Nie. Ale mnie nauczysz.

Weszła do boksu i stanęła blisko mężczyzny.

Czy wiedział, że wystarczy wyciągnąć rękę i ma tę kobietę? Na pewno. I równie na pewno tej ręki nie wyciągał.

– Praktyki w stajni mnie ominęły – dodała. Przecież pamiętał, że skończyła zootechnikę...

Stał za nią, tak blisko, że czuła jego umięśnione, twarde piersi na własnym ciele, chwycił jej dłoń uzbrojoną w zgrzebło za nadgarstek, drugą, trzymającą szczotkę, za drugi i zaczął powolnymi, długimi ruchami szczotkować bok konia. Magda... odpłynęła. Och, oczywiście, trzymała się prosto! Potulnie pozwalała, by wodził jej dłońmi po ciele zwierzęcia, oddech miała równy i spokojny. Jednak wewnątrz...

– Potrafiłabyś tak? – odezwał się cicho.

Poczuła, jak jego oddech muska płatek jej ucha.

– Spoko, łatwizna.

Znów się roześmiał, a ona poczuła ten śmiech głęboko w lędźwiach.

– Mówię o codziennym szczotkowaniu piątki koni. O wywalaniu kilku taczek gnoju. O dźwiganiu wiader z owsem i wodą. O podrywaniu się skoro świt, bo trzeba nakarmić i napić zwierzęta, chociaż położyłaś się parę godzin wcześniej. O ślęczeniu do świtu przy chorej klaczy, pieprzyć, że rano musisz jechać do miasta, bo skarbowka cię ściga, nie wiadomo o co. Potrafiłabyś tak, rozpieszczona Warszawą, kąpana w ptasim mleczku księżniczko? Twoje białe rączki, nieznające fizycznej pracy, zniosłyby złamany paznokietek, pęcherz na kciuku czy otartą skórkę?

Poczuła te słowa jak uderzenie. Jak wzgardę. Krew zawrzała jej w żyłach. „Naprawdę tak mnie odbierasz?!” I odpowiedziała tym samym:

– Nie, Siergiej. Przywykłam do wygodnego życia. Moim miejscem jest

miasto, a całym światem świat mody. Świat pięknych ciuchów i pięknych ludzi. Pachnących dobrymi perfumami, nie gnojem. Tak mnie postrzegasz? To chciałeś usłyszeć?

Cofnął się o krok. Ramiona, jeszcze przed chwilą obejmujące kobietę, opadły. Szklana tafla opadła między te dwie zagubione, samotne dusze, odgradziła je od siebie.

– Poradzisz sobie – skwitował, samemu nie bardzo zdając sobie sprawę, czy mówi o szczotkowaniu klaczy czy o życiu w ogóle, po czym, urażony do żywego, chociaż nie przyznałby się do takich uczuć nawet na torturach, pieprzyć drugie oko i kolejne dwa palce!, wyszedł z boksu.

„Śmierdzą ci gnojem, królewno?” – pomyślał z goryczą. „Wracaj więc do wymuskanych, woniejących różami osobników, którzy tylko z nazwy przypominają mężczyzn!”

W tej sekundzie usłyszał jej krzyk.

Zawrócił w miejscu.

Bella – co tej kobyle odbiło?! – miażdżyła Magdę całym ciałem o ścianę boksu. Może kobieta zadała jej niechcący ból, może przygodny giez wpadł do stajni i ukąsił wrażliwą na ból klacz, tego Sodarow nie wiedział. I nie zastanawiał się nad przyczyną. Próbował wejść do środka, ale zwierzę oparło się zadem o drzwi. Sodarow szarpnął za zasuwę i próbował je pchnąć. Ani drgnęły, przygniecione pięciuset kilogramami.

Kobieta próbowała odepchnąć napierającą na nią masę mięśni. Nie miała takiej siły.

– Sier-giej! – wydusiła. – Po-móż mi!

Pchnął raz jeszcze. Dlaczego te akurat drzwi otwierają się do środka?!

Nic z tego. Drzwi sięgały mu do piersi. Bez namysłu zaczął się po nich wspinać. Wskoczył na grzbiet konia. Spadł po drugiej stronie. Klacz, przerażona nagłym ruchem, kwiknęła. Odskoczyła w bok. Obróciła się i kopnęła z całych sił. Magda, przed sekundą uwolniona od jej ciężaru, padła

bez życia, dzielona końskim kopytem prosto w splot. Zwierzę, przerażone do granic, skoczyło w przód, na Siergieja. Ten chwycił je za kantar. Kliknęła sprzączka. Krótka linka przytrzymała klacz po drugiej stronie boksu.

Mężczyzna, zlany zimnym potem, dopadł do nieruchomego ciała. Porwał je na ręce i przyciskając do piersi, wybiegł na korytarz. Złożył na zimnej betonowej posadzce. Magda nie dawała znaku życia. Rozpoczął reanimację, nie myśląc – przynajmniej nie próbując się zastanawiać – co będzie, jeśli ona umrze. Trzydzieści uciśnień – dwa wdechy – trzydzieści uciśnień...

– Magduś, błagam... – wyszeptał, niecierpliwie ocierając łzy spływające mu po policzku.

Gdy chwyciła płytki oddech, jemu serce omal nie pękło z ulgi.

– Przepraszam... tak bardzo cię przepraszam... – powtarzał, gładząc ją po włosach i policzkach, gdy otwierała oczy.

Spróbowała usiąść, wziął ją z powrotem na ręce i zaniósł do domu. Położył w cichej, oświetlonej promieniami chłodnego słońca sypialni.

– Boże, myślałam, że nie żyję – odezwała się słabo.

– Przyniosę wody. – Poderwał się, ale przytrzymała go za rękę. Tę okaleczoną nożem oprawców.

– Nie trzeba. Poleżę chwilę. Nadal słabawo się czuję.

Siedział, ściskając jej dłoń w swojej, i chciało mu się wyć. Co za lichy go podkusiło, by wtedy, w stajni, zwracać się do niej w ten sposób?! Ta dziewczyna była mu życzliwa, nigdy go nie zraniła. Zasługiwała na sympatię i... Tak... przyznaj sam przed sobą, Sodarow, że Magda zasługiwała na znacznie więcej niż twoją łaskawą sympatię, a ty – wiedząc, co do ciebie czuje – bawiłeś się tym. Szczerze cię radowały jej ukradkowe, pełne tęsknoty spojrzenia, gdy myślała, że ich nie widzisz. Chełpiłeś się w duchu, że pani warszawianka, kreatorka mody, zabujała się w tobie jak dziesiątki lasek przed nią... Dopiero dziś, gdy czułeś, jak ją tracisz, zrozumiałeś, że stracić jej nie możesz...

– Pokaż – odezwał się zduszonym przez niewypłakane łzy głosem. Podciągnął jej bluzkę. Dotknął krwawego śladu na brzuchu, noszącego kształt podkowy. – Rany boskie, mogła cię zabić!

Delikatnie dotknął żeber kobiety. Skrzywiła się z bólu, ale nie wyglądały na złamane.

– Będę żyć – odezwała się już normalnym głosem. – Chyba wrócę do Warszawy. Do ptasiego mleczka...

Znieruchomiał z rękami nadal dotykającymi jej nagiej skóry.

– Wybacz mi tamte podłe słowa – odezwał się cicho. – Nie mogę znieść, że ta, z którą... którą... Że nigdy nie zgodzisz się... Należysz do innego świata – dokończył wreszcie.

Ona uniosła się, dotknęła opuszkami palców jego policzka i rzekła:

– Uważaj, bo możesz się zdziwić.

Jeszcze nie wierzył.

– Madzia... ja i ty...

Ale ona przerwała mu:

– Zapytaj. Zapytaj bez ironii i podłych słów. Po prostu zapytaj.

– Zostałabyś ze mną? – Wreszcie się zdobył na słowa, które chciał powiedzieć w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Tam, w dworku Marty, gdy siedziała na ganku w żółto-zielonej sukience i czarnym kapelusiku.

– Tak, Siergiej. Zostałabym, bo cię kocham. A ty? Jesteś gotów pokochać kogoś innego niż ona?

Zamiast zaprzeczyć czy potwierdzić, ujął jej twarz w dłonie i dotknął wargami jej ust.

ROZDZIAŁ XXVI



*M*agda musiała niemal polec w boju, by zdobyć męczyznę swoich marzeń. Zosia potrzebowała jej pomocy, by Nataniel zaczął myśleć o ślubie. Jakie szanse w porównaniu z tymi dwiema ślicznymi dziewczętami miał ktoś tak pokrzywdzony przez los jak Marianna Micińska? Jej nigdy nikt nie kochał. Nikt nie pragnął ciała naznaczonego kalectwem. Dziecko, które urodziła i pokochała całym sercem, powstało w wyniku gwałtu. Jakieś odczłowieczone bydlę dopadło ćwierć wieku temu poruszającej się na wózku inwalidzkim dziewczyny, która każdego dnia przyjeżdżała na cmentarz modlić się za duszę swojej ukochanej niani, poczekało, aż cmentarz opustoszeje, po czym ściągnęło ją z wózka i brutalnie zgwałciło. I pozostało bezkarne. Pobita do nieprzytomności Marianna nie potrafiła opisać oprawcy...

Ciąża była szokiem dla jej rodziców, lecz ona przyjęła to spokojnie. I stanowczo odmówiła aborcji. Gdy sugerowano jej rodzicom, że nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji i oni powinni podjąć decyzję, posunęła się do szantażu: zabiją w niej dziecko, to ona zabije siebie.

Dlaczego? Bo wierzyła, że to maleństwo jest najlepszym, co może dać światu.

Gdy nikt nie widział, głaskała rosnący brzuch, przemawiała do życia, które w niej rosło, prosiła, by się nie poddawało. Była pewna, że nie przeżyje porodu, dlatego próbowała wszystkie dobre myśli i modlitwy oddać dziecku.

O dziwo urodziła bez problemu. Śliczna, rudowłosa kruszynka stała się oczkiem w głowie mamy i dziadków. Zosia Micińska. Dziecko gwałtu...

Zosia dowiedziała się o tym z szeptów sąsiadów. Odnalazła w gazetach sprzed kilkunastu lat notki o brutalnym gwałcie na niepełnosprawnej,

zażądała w sądzie akt, które dały pewność jej podejrzeniom, i... długo nie mogła się pogodzić ze swoim pochodzeniem.

Nienawidziła tego, który skrzywdził jej matkę. Nie mogła dopuścić do siebie myśli, że jest dzieckiem zwyrodnialca. Ale w końcu ból minął. Pozostał jednak cierń, który przypominał o tragedii sprzed lat. To on kazał Zosi chronić mamę przed mężczyznami. To on kazał się o nią bać, gdy na całe dni zostawała sama. Dzięki niemu Marianna trafiła do domu złamanego rozpaczą po śmierci Marty Mateusza. I tam została...

Pierwsze dni i tygodnie były dla niej trudne. Podwójnie trudne. Musiała sobie radzić z opryskliwym, pogrążonym w żalu za inną mężczyzną i z własnym kalectwem. Tu, w leśniczówce zagubionej wśród mazurskich lasów, nie było nikogo, kto pomógłby jej się umyć, nałożyć ubranie, ugotować obiad, pościelić łóżko. Musiała sobie radzić sama, bo to nie ona wymagała opieki, a Mateusz.

Jednak dała radę!

Nie tylko nauczyła się całkowitej samodzielności, ale też jej cicha, współczująca obecność pomogła wyjść z rozpaczy mężczyźnie.

Dzisiaj, pół roku po tym, jak Marianna przyjechała do leśniczówki, Mateusz nie wyobrażał sobie życia bez tej kobiety. Ją, Marysię Micińską, mniejsza o to, że nie tak piękną i mądrą jak Marta, mógł nie tylko bezkarnie kochać, ale i mieć przy sobie. Ta kobieta mieszkała z nim, kładła się spać i wstawiała w tym samym domu. Razem przygotowywali posiłki, razem je spożywali. Czasem rozmawiając – czego Marianna na początku się wstydziła, nie mogąc wyartykułować ani jednego zdania poprawnie – czasem milcząc. Przy czym to milczenie nigdy Mateuszowi nie przeszkadzało. Przy doktor Kraszewskiej zawsze silił się na elokwencję, musiał sprawiać wrażenie mądrzejszego, niż był. Przy Mariannie niczego nie musiał. Mógł pozostać sobą. Mógł mówić do niej „Misiu” bez obawy, że ona się zachnie, ofuknie go: „Nie jestem żadną Misią!”. Mógł zniecka porywać ją w ramiona i tulić, tulić do utraty tchu, nie bojąc się, że Marianna go odepchnie. Mógł wreszcie

ją kochać, a jego serce nie łkało z żalu, że ona pragnie innego. Dla Marianny Micińskiej nie istniał żaden Siergiej Sodarow, tylko on, Mateusz Józwik.

Któregoś dnia zdobył się na coś więcej niż przytulanki i pocałunki, i... było wspaniale. Marianna kochała się z nim z takim samym łagodnym, niemal pokornym oddaniem, z jakim pielęgnowała go, gdy był chory. Gdy brał ją, starając się być uważnym i delikatnym, szeptała mu słowa miłości. Nie przeżywała rozkoszy, przynajmniej on o tym nie wiedział, ale wystarczyło jej, że daje rozkosz jemu. Czuła się potrzebna. Niezbędna! I to dla Marianny było wszystkim.

Aż do dnia, gdy oboje zrozumieli, że jedno nie istnieje bez drugiego, a taką miłość, jak pan z niewolnicą, to Mateusz może sam ze sobą uprawiać.

Pod koniec listopada Marianna dostała list z dortmundzkiej kliniki, która prowadziła badania osób dotkniętych jej schorzeniem. Koordynator programu informował Mariannę, że została zakwalifikowana do zabiegu.

– Jakiego zabiegu? – zaniepokoił się Mateusz, gdy kobieta podzieliła się z nim tą radością.

– Moo-oogą ca-a-alkowicie-ee przywró-óócić mi sprawno-oo-ość mowy i ru-uu-uuu... – Umilkła.

Bezgranicznie podekscytowana, nie potrafiła wykrztusić krnąbrnych głosek. Jej piękne, szmaragdowoniebieskie oczy płonęły podnieceniem i radością. Oto dostała szansę na normalność! Gdy wróci z dortmundzkiej kliniki, nie będzie skazana na wózek, może nawet odrzuci kule! Stanie się zwyczajną, nawet niebrzydką kobietą, jakich tysiące! Co za nieoczekiwany uśmiech losu! Co za radość!

Mateusz nagle zrozumiał dwie rzeczy: że kocha Mariannę taką, jaka jest, i właśnie za to, że taka jest: niepełnosprawna, za to cała jego, i że może ją stracić.

– Po co ci to? – burknął. – Przecież niczego ci nie brakuje.

– Bę-ee-ędę mówiła norma-aa-alnie. Będę choo-o-odziła normalnie-ee.

Będę zwy-y-ykłą ko-oo...

– Jesteś! Dla mnie jesteś najzwyklejsza pod słońcem! – wykrzyknął. I nagle zrozumiał, jak to zabrzmiało. I jak musiało ją zranić. – Misiu... – zaczął miękko. – Widzisz, nie każdy rodzi się piękny i bez wad. Spójrz na mnie. Stary ze mnie cap, jak mówi Sodarow, chociaż jest ode mnie młodszy zaledwie o rok. Nie jestem tak przystojny jak on. Marta wolała tamtego drania niż mnie, porządnego człowieka, ale czy to znaczy, że jestem gorszy? Brzydszy – tak, ale przecież nie mniej wartościowy od tamtego Ruska! Teraz spójrz na siebie... Tak, masz słabe nóżki, tak, język trochę cię nie słucha, ale przecież masz mnie do pomocy, a do twojej mowy przywykłem. Pokroją cię Szwaby, a może wcale nie chcą cię leczyć, tylko na narządy przerobią. Po co ci to? Nie chcę cię stracić dla jakiegoś bogatego starucha, któremu potrzebne twoje serce czy płuca! Misiu, proszę... pomyśl nad tym... Napisz do nich, że... się rozmyśliłaś! Albo nic nie pisz! Udajmy, że tego listu nie było. Co ty na to, duszeńko?

Marianna słuchała jego słów, patrzyła prosto w oczy mężczyzny, jakby chciała zajrzeć w jego serce. Wreszcie... gdy usłyszała, jak nazywa ją „duszeńką”... słowem, którym obdarzał tylko Martę... bez słowa wyjęła mu list z ręki i wrzuciła do ognia.

Tej nocy kochał ją tak, że po raz pierwszy przeżyła rozkosz.

Nie musiał wiedzieć – i nigdy się nie dowie – że ten list napisała ona sama.

Czasami bowiem, żeby pojąć najprostszą prawdę, potrzebujemy nie łagodnych zakłęb, a smagnięcia batem przez grzbiet.

– Duszeńko... – odezwał Mateusz następnego dnia przy śniadaniu.

Wyglądał zupełnie inaczej niż pół roku wcześniej. Nabrał ciała, karmiony dbałą ręką Marianny. Oczy błyszczały mu zadowoleniem z życia. Zaraz po obudzeniu nabrał ochoty na seks i go dostał. Przed nim był dzień wypełniony zwykłą pracą: w garażu stał zabytkowy samochód do remontu. Gdy Mateusz odszykuje auto na błysk, jak niegdyś srebrną strzałę Nataniela, zapłaca mu za

to dobre pieniądze, które pozwolą na skromne życie we dwoje do następnego zlecenia.

Czegóż więcej niż spokojnego życia u boku kochanej kobiety było Mateuszowi trzeba?

Tej kobiety.

Odchrząknął i zaczął raz jeszcze, od dłuższej chwili smarując kromkę chleba masłem:

– Duszeńko... Tak sobie pomyślałem... Żyjemy od jakiegoś czasu jak mąż i żona, ale przecież nie jesteśmy małżeństwem... Jakoś to tak nie po bożemu. Ludzie we wsi zaczynają sarkać. Proboszcz ostatnio mnie zaczepił i pytał, jakże to tak... Może... co pomyślałabyś, Marysiu, gdybyśmy tak wzięli ślub? Jak Pan Bóg przykazał?

Ona uniosła nań poważne spojrzenie. Milczała.

– Będę dobrym mężem, przyrzekam ci, duszko moja. Nie musisz nigdzie wyjeżdżać, po obcych krajach szczęścia szukać. Po co ci Niemce jakieś, skoro masz tutaj, w Polsce, takiego mnie?

– Dobrze – odezwała się nagle.

Mateusz, gotowy prosić ją i błagać tak długo, aż ulegnie, uniósł brwi, a Marianna powtórzyła, chyba po raz pierwszy bez zająknięcia:

– Dobrze. Zgadzam się.

Wstał, jeszcze niepewny, czy z niego nie kpi. Dotarła też doń powaga słów, które wypowiedział. Do tej pory bał się, że Marianna wyjedzie i już nie wróci. Teraz zrozumiał, że po prostu pokochał tę kobietę i chce z nią, z żadną inną, przeżyć resztę swoich dni. Marty już nie spotka... Och, po co ci druga Marta, durniu?! Do następnej będziesz wzdychał przez całe lata?! Marianna! Taka kobieta jest ci pisana, a nie panie doktorowe, co nigdy na ciebie łaskawym okiem nie spojrzały! Marianny ty się trzymaj, stary capie! Jedynie w tym Sodarow ma rację, tak cię nazywając! Stary, głupi cap, co do świętego obrazka wzdychał!

Obszedł stół, ujął dłoń kobiety, pochylił się nisko i ucałował ją.

– Ja mam coś dla ciebie, Marysiu, coś dla ciebie mam. Zaraz tutaj... – Przeszukał jedną kieszeń spodni, potem drugą i wreszcie drżącą dłonią wyjął niewielkie pudełko. W niezgrabnych palcach mężczyzny błysnął skromny złoty pierścionek z cyrkoniowym oczkiem. – Zechciałabyś mnie, duszeńko, za męża? Tak, wiesz, na wieki wieków, amen?

Marianna pocałowała go w usta. To wystarczyło za całą odpowiedź.

– To co, zbieramy się?! – wykrzyknął uradowany, gdy zaręczynowy pierścionek ozdobił dłoń kobiety. – Jedziemy do Antosi?

*

Mała, najwyżej czteroletnia dziewczynka siedzi w kącie niewielkiej, jasnej sali i słucha, jak delikatnie opadają tęczowe mydlane bańki. Najpierw ciche dmuchnięcie, a potem ten dźwięk, tak niezwykły, niedostępny tym, którzy widzą. Każde inne dziecko wyciągnęłoby rączki i ze śmiechem zaczęłoby łapać tęczowe cuda, ale nie Tosia. Ona trwa bez ruchu, oczarowana, zapadnięta w wyobraźnię i... słucha.

Ding-dong – niczym najcichsze uderzenie zegarowego serca – tak właśnie brzmią mydlane bańki, gdy dotkną okna, parapetu albo podłogi. Dziewczynka wyciąga ku nim ręce, by zachować je choć na chwilę, pochwycić zachwyty, jaki wypełnia jej małe, czteroletnie serduszko. Mruga niewidzącymi oczami, tak pięknymi, że to aż niemożliwe, niesprawiedliwe!, że nie widzą, i nagle pragnie podzielić się swym zachwytem z najbliższą, najukochańszą istotą na ziemi.

– Mamo... – szepce. – Mamuniu...

Usteczka dziewczynki wyginają się w podkówkę, bo wie, że odpowiedzi nie będzie. Mama nie przyjdzie. Nie porwie jej w ramiona, nie roześmieje się razem z nią, nie krzyknie w zachwycie: „Jakie śliczne są te bańki, Tosiulku!”.

Ale zanim z pięknych, granatowych oczu dziecka popłyną łzy, ktoś przytuli je i odezwie się głosem tak czułym, tak kochanym jak jeszcze

niedawno jej mama:

– Tosiuu-uuniu, koo-ochanie. Już jee-estem. Nie płacz, pro-ooszę, serdusz-szko moje. Już jeste-em.

*

– Ta dziewczynka potrzebuje rodziny – upierał się Mateusz, chociaż doprawdy nikt się z nim nie sprzeczał. Każde bez wyjątku dziecko powinno mieć kochających rodziców, mamę, tatę... – Tutaj ma jej namiastkę. Przyjeżdżamy z Marysią codziennie. Spędzamy z Tosią tyle czasu, ile to możliwe. Przywozimy jej ubranka i zabawki. Bawimy się z nią. Marysia piecze jej ulubione ciasteczka, ja, tak właśnie, ja, stary człowiek!, gotuję jej rosołki z lanymi kluseczkami, które uwielbia... Po co ją odsyłacie?! Przecież ma tutaj wszystko!

– Panie Mateuszu, proszę nas zrozumieć... – odezwała się dyrektorka błagalnym tonem. Jej samej ścisnęło się serce na myśl, że musi oddać to biedne, niewidzące niebożątko do sierocińca, podczas gdy tutaj Tosia była pod opieką wykwalifikowanego personelu, ale... – Zamykamy ośrodek na czas remontu. Inne dzieci mają opiekunów, przebywają tu czasowo. Tylko Tosia...

Tak. Dwa miesiące temu ta dziewczynka miała jeszcze mamę, tatę i dwóch niewiele od niej starszych braci. Wyrwali się ze szponów wojny we wschodniej Ukrainie i uciekali jak najdalej od koszmaru, do spokojnej, bezpiecznej Polski.

Mężczyzna zasnął za kierownicą – takie były przypuszczenia śledczych – zjechał na przeciwległy pas, wprost pod koła rozpędzonego TIR-a. Z całej pięćosobowej rodziny ocalała jedynie Tosia. Wypadła z wraku samochodu. Znalaziono ją dopiero o świcie, jak pełzła przed siebie, nie widząc nic oprócz czerni. Uszkodzony mózg przestał odbierać obraz świata. Wyłączył się.

Od czasu, gdy ją znaleziono, aż do dziś Tosia Kuryłek – taki dokument miała przy sobie – wypowiadała jedynie to słowo: „Mama, mamunia”. Całymi dniami trwała wsłuchana w otaczający ją świat, patrząc przed siebie

ogromnymi, niewidzącymi oczami, i próbowała zrozumieć ciemność dzięki dźwiękom.

Jak ta drobniutka, nieszczęśliwa dziewczynka poradzi sobie w domu dziecka?!

– Może... pani dyrektor... może zabierzemy ją na czas remontu do siebie? – odezwał się Mateusz błagalnie. – Jesteśmy, ja i Marianna, porządnymi ludźmi. Nieba Tosiuni przychylimy. Bardzo proszę...

– Panie Mateuszu, wierzę panu! – wykrzyknęła z rozpaczą dyrektorka ośrodka. – Przychodzi pan do nas z Reksiem od lat tylko po to, by dać trochę radości naszym podopiecznym. Kochają pana i kochają Reksia, ale... proszę zrozumieć... są procedury... To nie takie proste! Gdybyście mieli państwo status rodziny zastępczej, jednak... biorąc pod uwagę niepełnosprawność pani Marianny... i pana wiek... i to, że nie posiada pan dobrego, gwarantującego stały zarobek zawodu... Proszę się nie gniewać, ale wątpię, czy jakikolwiek sąd powierzy Tosię państwa opiece. Możecie państwo spróbować, ale czasu jest mało... naprawdę niewiele...

– Zosia – odezwała się nagle Marianna, która zwykle przy obcych milczała. – Muu-usimy wróó-óócić z Zo-oo-osią.

Mateusz przytaknął, przytulił małą, milczącą dziewczynkę i bez większych nadziei ruszył do samochodu. W Zosi, z jej kochającym cały świat i wszystkie żyjące na nim istoty sercem, nadzieja! Jeśli nie ona i Nataniel, to kto?!

Ale doktor Micińskiej w domu ani w lecznicy nie zastali.

Wyrwała się bowiem na pewne wyjątkowe zakupy...

Magda krytycznym okiem patrzyła na kolejną suknię ślubną, którą sprzedawczyni próbowała wcisnąć Zosi za pół ceny. Owszem, szczupłej dziewczynie, której figury mogła pozazdrościć każda, ślicznie było w dziewiczej bieli, ale...

– Jest taka zwyczajna – zaszepotała Magda, gdy sprzedawczyni poszła po

kolejną ślubną kreację. – Ty musisz mieć coś ekstra! Coś fantastycznego!

– Była naprawdę piękna – odezwała się Zosia słabym głosem. – Miała śliczny tren i koronki... Skromna i szykowna.

– Skromna i szykowna będziesz w trumnie! A tren ci Nataniel skomponuje! – rozeźliła się kobieta. – W dniu ślubu masz rzucić na kolana tych, co byli tak durni, że ci się nie oświadczyli!

– Ale ja ich nie chcę! Chcę tylko Nataniela!

– Jego też masz rzucić na kolana.

– Rzuciłam! Gdy prosił mnie o rękę, klęczał z pierścieniem w dłoni.

– Och... nie spieraj się z kimś, kto ma modę w małym palcu. Prosiłam, błagałam: pozwól, bym sama zaprojektowała dla ciebie suknię marzeń. Uszyję ją w trymiga, bo wiem, w czym chciałabym cię widzieć, ale...

– Teraz w modzie są prześwitujące gorsety i kieszenie, słyszysz mnie?, kieszenie przy spódnicy! Nie chcę prześwitów ani kieszeni! – Zosia, gdy jej przyszła szwagierka nawet nie zerknęła na następną propozycję i odesłała ją do magazynu, była bliska płaczu.

– Chodź, laska. – Magda pociągnęła ją do wyjścia. – Wstąpimy do hurtowni tkanin. Tam ci pokażę, jak powinnaś wyglądać.

I cóż... Przez następną godzinę Zosia stała sztywno niczym manekin, podczas gdy Magda uwijała się dookoła niej, upinając kilometry białej satyny i tiulu. Przyglądała się swemu dziełu przez chwilę, po czym cmokała, kręciła głową i zdejmowała z dziewczyny całe upięcie. Wybierała inny materiał, jedwab albo atlas, po czym zaczynała od nowa.

Wreszcie! Aż klasnęła w rękę, zachwycona swym dziełem. Zosia zerknęła w lustro po przeciwległej stronie sali i ujrzała... prawdę mówiąc, niczego nie ujrzała, bo pod stosem bieli w ogóle nie było jej widać.

Magda, widząc oszołomione spojrzenie dziewczyny, poprosiła:

– Zaufaj mi.

– Próbuję! – jęknęła Zosia. – Madziu, chciałabym zachwycić Nataniela. Pragnęłabym, żeby zapamiętał mnie w mojej ślicznej ślubnej sukni do końca życia. Proszę, błagam...

Magda ujęła ją za złożone jak do modlitwy ręce i powtórzyła: „Zaufaj mi”, z taką mocą, że dziewczyna skapitulowała.

– Dobrze – odezwała się. – Jeśli Nat ucieknie sprzed ołtarza, będzie to twoja i tylko twoja wina.

Magda z powagą pokiwała głową.

Wróciły do samochodu. Kobieta, zadowolona i niecierpliwa, już chciałyby mieć miękką tkaninę w rękach, drapować ją na manekinie, wyobrażając sobie, że jest to panna młoda, zaś owa panna przerażona, że najważniejszy dzień w swoim życiu będzie zależeć od szalonej projektantki.

Telefon, który wypadł jej z kieszeni, właśnie rozdzwonił się po raz trzydziesty.

– Zosiu, córeńko, gdzie się podziewasz?! – Usłyszała głos Mateusza, gdy tylko odebrała połączenie. Nie dał jej dojść do słowa. – Słuchaj, dziewczynko kochana, musisz pojechać do Olsztyna, Nataniela już tam wysłałem, i...

– Jestem w Olsztynie – udało się jej wtrącić.

– To dobrze! To wspaniale! Pojedź, bardzo cię proszę, naprawdę bardzo, do ośrodka dla niewidomych dzieci... Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę...

– Tam czeka na ciebie pani dyrektor. Jest taka sprawa, Zosieńko, taka mała dziewczynka, sierotka, ona bardzo ciebie i Nataniela potrzebuje. – Głos mu się załamał. Musiał przerwać.

– Panie Mateuszu – odezwała się ostrożnie dziewczyna – czy mówi pan o dziecku, które potrzebuje rodziny zastępczej?

– Nie, Zosiu, mówię o dziecku, które potrzebuje rodziny. Bez „zastępczej”.

Pięć minut później parkowały pod ośrodkiem. Niemal w tym samym momencie co Nataniel.

Wysiadł z samochodu poważny. Spojrzał na swoją narzeczoną. Odpowiedziała równie poważnym wzrokiem.

– Idźcie sami – odezwała się nagle Magda, czując, że w tej dziwnej chwili, w której magia zdaje się unosić w powietrzu, powinni być tylko we dwoje, bo za chwilę dołączy do nich trzecia istota, tak jak oni spragniona miłości, czułości i ciepła.

Nataniel ujął dłoń Zosi i zacisnął na niej palce. Odpowiedziała równie silnym uściskiem.

– Jeśli ją pokochamy... – odezwał się zduszonym głosem – wiesz, że rozstanie będzie straszne?

– Jeśli ją pokochamy... – powtórzyła za nim – zrobimy wszystko, by nigdy jej nie stracić.

Dyrektorka, która wyszła im naprzeciw, poprowadziła ich do niewielkiego, jasnego pokoju, w którego kącie siedziała drobna, jasnowłosa dziewczynka. Przed nią stało urządzenie do puszczania tęczowych baniek. Unosiły się w powietrzu dookoła dziecka, osiadały na jego złocistych włoskach, granatowej sukience lamowanej białą tasiemką, na wyciągniętych ku nim rączkach.

W milczeniu próbowało je łapać.

Nagle opuściło ręce. Zwróciło głowę ku nadchodzącym. Nasłuchiwało przez chwilę, żeby wyszeptać:

– Mama? Mamunia?

Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę. Z pociemniałych z rozpaczy oczu popłynęły wielkie łzy. Zosia wyrwała rękę z uścisku Nataniela i biegiem ruszyła do dziecka. Porwała je w ramiona, przytuliła z całych sił i wyszeptała:

– Już jestem, skowroneczku. Już przy tobie jestem...

ROZDZIAŁ XXVII



Czarnowłosa dziewczynka w błękitnej, lekkiej niczym chmurka sukience prowadziła za rękę jasnowłosą czterolatkę, odzianą dokładnie tak samo. Obie niosły koszyczki z płatkami karminowych róż.

Kościół przystrojono tak pięknie jak chyba jeszcze nigdy. Już Magdy Śniegockiej była w tym głowa, żeby zachwycić gości! Zamiast kwiatów, którymi zwykle ozdabiano ławki i ołtarz, wszędzie unosiły się cudne, delikatne płatki śniegu, skrzące się kryształowym blaskiem. Było przecież Boże Narodzenie!

Nataniel, czekający na swą narzeczoną pod ołtarzem, uśmiechnął się do dwóch ślicznych dziewczynek, które nadchodziły, kurczowo trzymając się za ręce. Emilka prowadziła swą ociemniałą siostrzyczkę tak, by mała przypadkiem się nie potknęła, nie przewróciła. Pokochała Tosię od pierwszej chwili, gdy tylko Nataniel przyprowadził do domu to niebożątko.

– Miluszko – powiedział wtedy, klękając przed swą sześćioletnią siostrą – Zosia za chwilę przyprowadzi dziewczynkę, która straciła swoją mamę i swojego tatę. Jest zupełnie sama, tak jak ty kiedyś, pamiętasz? Chcemy się nią zaopiekować. Może zostanie naszą córeczką, a twoją siostrzyczką. Proszę cię, Emilko, bądź dla niej dobra.

Dziewczynka skinęła poważnie głową, a gdy Zosia wprowadziła Antosię do pokoju... wszelkie obawy Nataniela rozwiały się w jednej chwili. Małej nie dało się nie kochać. Tak po prostu. Od tamtego dnia dziewczynki były nierozłączne.

Magda, zachwycona swym dziełem – sukienki dziewczynek także uszyła ona – poprowadziła je do pierwszej ławki, gdzie Tosię wzięła na kolana

Marianna, a Emilka usiadła tuż przy niej.

Rozbrzmiały pierwsze dźwięki „Ave Maria” Schuberta.

Drzwi kościoła rozwarły się na oścież, wpuszczając do środka chmurę śniegowych płatków. Z ich mgiełki wyłoniła się, prowadzona przez Mateusza, panna młoda tak śliczna, że wszyscy – przyjaciele, znajomi i sąsiedzi z Sennej – umilkli z zachwytem. W sukni wyczarowanej przez Magdę, lekkiej i zwiewnej, ozdobionej miriadem kryształków, niepozorna aż do dziś doktor Micińska przeistoczyła się w postać z baśni. Kryształki lśniły, rzucając na rozpromienioną szczęściem twarz dziewczyny delikatne błyski.

Nataniel poczuł łyzy pod powiekami.

Zosia stanęła przed nim i obdarzyła go uśmiechem tak ślicznym i pełnym miłości, że łyzy nagle obeschły, mocno bijące serce przycichło. Wzburzenie ostatnich dni przed ślubem, milion rozterek i wątpliwości – to wszystko odeszło. Czuł... ukojenie. Tak właśnie. Odnalazł drugą połówkę duszy. Dziewczyna, którą miał przed sobą, spoglądająca nań nieśmiało zza mgiełki welonu, będzie towarzyszyć mu na drodze życia, czy słońce czy deszcz, czy ta droga będzie prosta i łatwa, czy zawiła i pełna wybojów. Nieważne. Za chwilę złożą przysięgę, nie tylko przed ludźmi i Bogiem, lecz przede wszystkim przed sobą nawzajem. I dla niego, i dla niej nie będą to puste słowa. Oboje nosili je w sercu już od dawna. Słowa tęsknoty za domem, za rodziną, za ukochaną osobą, z którą dzielić będą smutki i radości.

Zosia wyciągnęła ku niemu obie dłonie. Zamknął je w swoich.

Poczuł, że od tej chwili już nigdy nie będzie sam.

Płatki śniegu, które wirowały do tej pory w powietrzu, opadły na ich głowy jak błogosławieństwo aniołów. Mała Tosia wyciągnęła rączki i łapała skrzące się drobinki.

Miłość, najpiękniejsza, najczystsza miłość – tylko ona – sprawiła kolejny cud...

KONIEC

Trylogia Mazurska



Leśna Trylogia



Seria Owocowa



Seria z Kokardką



Seria Kwiatowa



Seria z Czarnym Kotem



Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

WSTĘP

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXVII](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Katarzyna Michalak

Koncepcja okładki

Katarzyna Michalak

Opracowanie graficzne okładki

Magdalena Zawadzka

Fotografie na okładce

Copyright © Jake Olson / Trevillion Images

Copyright © milosz_g / Adobe Stock

Grafika na stronie tytułowej

Copyright © science photo / Adobe Stock

Grafiki na stronach rozdziałowych

Copyright © Eskymaks / Adobe Stock

Opracowanie tekstu

DreamTeam

ISBN 978-83-240-4862-5



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

The logo for Woblink, featuring the word "woblink" in a bold, black, sans-serif font. The letter 'o' is stylized with a blue dot above it and a red dot below it.

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek